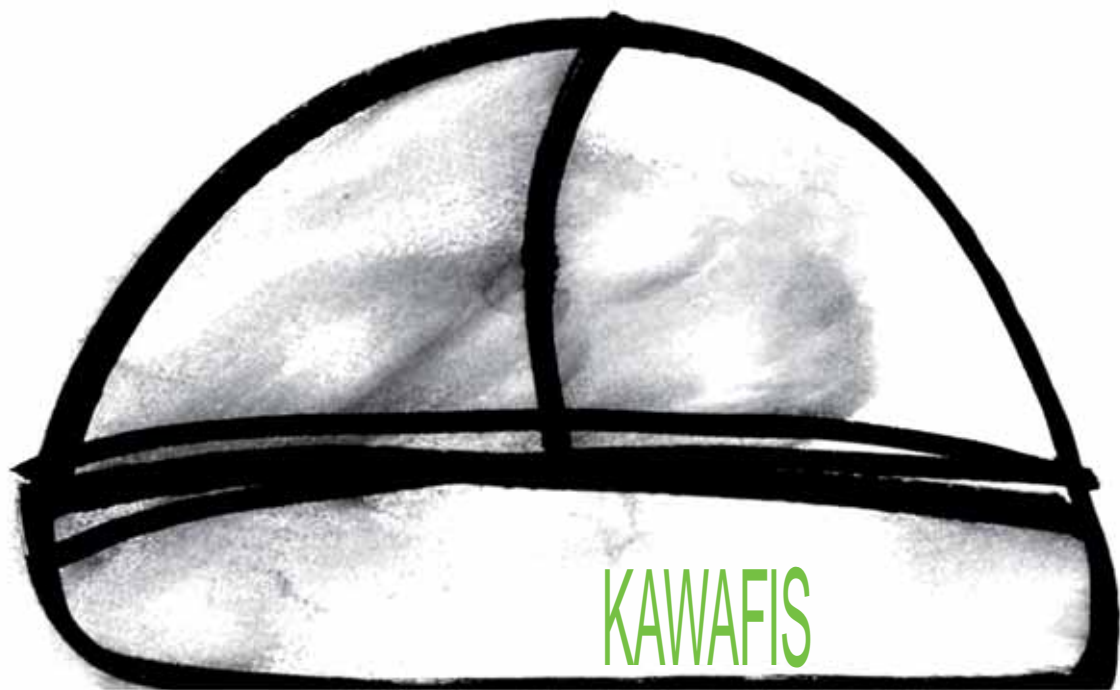
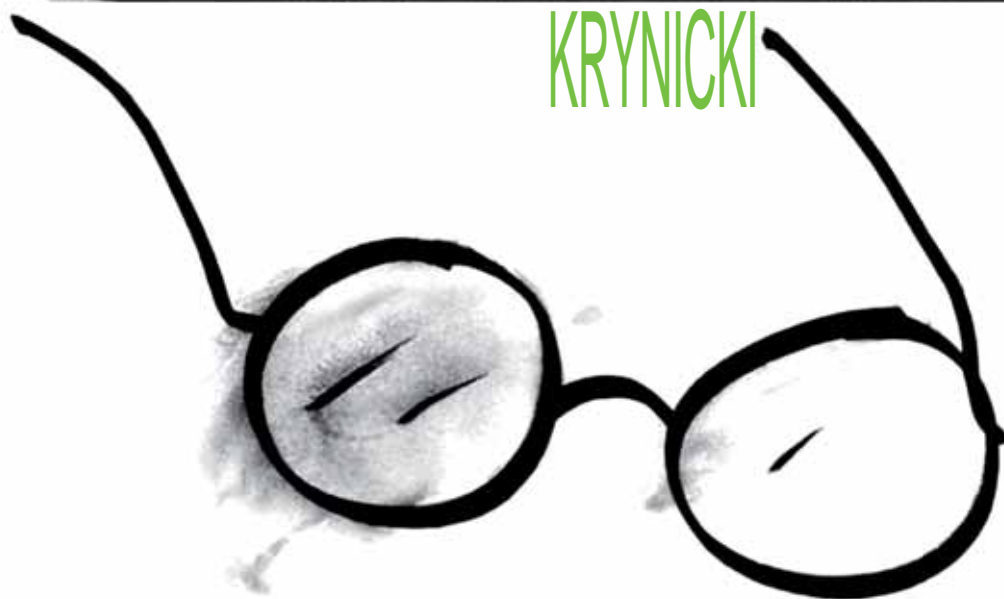


KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

78



KAWAFIS
KRYNICKI



ZESPÓŁ:

Adam Bednarek, Jan Błoński, Stefan Chwin, Aleksander Fiut,
Michał Głowiński, Marek Kędzierski, Julian Kornhauser, Leszek Szaruga

REDAKCJA:

Krzysztof Myszkowski – redaktor naczelny
Paweł Tański – sekretarz redakcji
Barbara Dąbrowa – biuro redakcji

KONSTANDINOS KAWAFIS	6	<i>Che fece... mil gran rifiuto</i> // To, Co Potem
	7	Czekając na barbarzyńców
	8	Salome
	9	Na cmentarzu // Miasto
	10	Wieczorem
IRENEUSZ KANIA	11	Kawafis, czyli o anatomii pamięci
KONSTANDINOS KAWAFIS	17	Grób Lanesa
	18	Grób Ignatiosa // Hebrajczyków (50 po Chr.)
	19	Aimilianos Monai, Aleksandryjczyk, 628–655 po Chr. //
		Epitafium Antiocha, króla Kommageny
	20	Aleksander Janneus i Aleksandra
KRZYSZTOF LISOWSKI	21	O najsłynniejszym wierszu Konstandinosa Kawafisa
ZBIGNIEW HERBERT	27	Śnił mi się znowu Miłosz
JULIA HARTWIG	30	W objęciach świata
	31	Odchodzą opiekuńczy bogowie
	32	Odchodzisz z krainy kwiatów
TADEUSZ RÓŻEWICZ	34	Mozaika bułgarska z roku 1978
TADEUSZ RÓŻEWICZ	41	Listy do Hanny i Mieczysława Porębskich i do Stanisława Różewicza
RYSZARD KRYNICKI	51	10 maja 2008

GŁOSY I GŁOSY na 70. urodziny Ryszarda Krynickiego

53 JULIA HARTWIG, KATARZYNA HERBERT, JACEK GUTOROW,
BOGUSŁAW KIERC, PIOTR KŁOCZOWSKI, KRZYSZTOF LISOWSKI, ADAM MICHNIK, KRZYSZTOF MYŚKOWSKI,
ANNA NASIŁOWSKA, MICHAŁ RUSINEK, LESZEK SZARUGA, PIOTR SZEWC

MATSUO BASHŌ	75	Haiku w tłumaczeniu Ryszarda Krynickiego
JACEK ŁUKASIEWICZ	79	Wrażliwości (Ślimak i... wewnątrz kamienia)
RYSZARD KRYNICKI	93	Ludzie, koty, miejsca, książki (16 fotografii z lat 2006–2012)
RYSZARD KRYNICKI		
w rozmowie		
Z RENATĄ GORCZYŃSKĄ	109	Poezja prezycji

LESZEK A. MOCZULSKI	121	Piosenka na koniec świata. O zagrożeniach
MAREK SKWARNICKI	123	Pamięć się budzi
	124	Śmiechu warte
	125	Dar // Odmowa

ANKIETA: MOI MISTRZOWIE

STEFAN CHWIN	126
MAREK SKWARNICKI	128

ANKIETA: PO CO LITERATURA?

PIOTR MATYWIECKI	129	
LESZEK A. MOCZULSKI	132	Zapiski // <i>Ars Poetica</i>
MAREK SKWARNICKI	134	
PIOTR MATYWIECKI	135	Rachmistrz i wędrowiec // Symbol
	136	*** <i>(Nie przedstawiam się nawet sobie –...)</i> //
		*** <i>(Każde narodziny oszukują śmierć...)</i>
LESZEK SZARUGA	137	Dane Elementarne (fragment)
PIOTR SZEWC	151	Dzikie królestwo // Zacznę wróżyć
	152	Pani Skórkowa // Ciotki staruszki //
		Nie znam innego świata

VARIA

STEFAN CHWIN	153	Pisanie i depresja
MICHAŁ GŁOWIŃSKI	160	Małe szkice
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	163	Addenda (29)
MAREK SKWARNICKI	167	Hejnał mariacki (16)
LESZEK SZARUGA	172	Jazda (26)
PIOTR SZEWC	177	Z powodu i bez powodu (31)

RECENZJE

PAWEŁ TAŃSKI	180	Bez początku
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	184	Droga na szczyt
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	187	<i>Science fiction</i> i to, co najważniejsze
NOTY O AUTORACH	193	
NOTY O KSIĄŻKACH	195	
NOWE KSIĄŻKI	206	

Dnia 12 marca 2013 roku zmarł w Krakowie



Marek Skwarnicki

poeta, prozaik

R. I. P.

Archiwum „Kwartalnika Artystycznego”



KONSTANDINOS KAWAFIS

w przekładzie Ireneusza Kani

Che fece... il gran rifiuto

(„... który dokonał wielkiej odmowy” – Dante, *Pieśń* III, 60)

W życiu niektórych przychodzi godzina,
gdy trzeba wielkie Tak wyrzec albo wielkie Nie,
i jest już jasne, w kim skrywało się
Tak gotowe od dawna. Ten odtąd się wspina

coraz wyżej – syt honorów, satysfakcji, chwały.
Ten drugi nie żałuje. Jeszcze raz by wyrzekł
swoje „nie”. A przecież ściąga go wciąż niżej
to „nie” – słuszne – przez lata, jakie mu zostały.

To, Co Potem

Wierzę w To, Co Potem. Nie omrocą mi głowy
apetyty doczesne, praktyczne. To nie jest gotowy
pogląd, lecz instynkt. Niebiańskimi słowy

życie będzie dopełnione, samo bez sensu przecież.
Do spoczynku i nagrody prace tęsknią człowiecze.
Więc gdy już cokolwiek widzieć przestanę w tym świecie,
na jego Stworzyciela swe oczy otworzę.
Nieśmiertelnego życia strumień z Ewangelii Bożej
popłynie – życia, którego nic już nie przemoże.

Czekając na barbarzyńców

– Na co czekamy, zebrani na rynku?

Na barbarzyńców, mają przybyć dzisiaj.

– Skąd dziś w Senacie taka bezczynność?

Czemuż Senatorowie siedzą, praw nie stanowią?

Bo dziś mają przyjść barbarzyńcy.

Na cóż teraz komu prawa Senatorów?

Gdy przyjdą barbarzyńcy, ustanowią prawa.

– Czemu nasz cesarz wstał z łoża tak wcześniej
i zasiadł w największej bramie miasta
na tronie, dostojny, z koroną na głowie?

Bo dziś mają przyjść barbarzyńcy,
A cesarz czeka, by powitać
ich wodza. Przygotował nawet
dla niego pergamin, w którym wypisał
liczne tytuły i nazwy godności.

– Czemu dwaj konsulowie i pretorzy wyszli dziś
w swoich czerwonych haftowanych togach;
czemu bransolety włożyli ciężkie od ametystów
i pierścienie z przezroczystymi szmaragdami;
czemuż wspierają się na drogocennych laskach
wykwintnie inkrustowanych srebrem i złotem?

Bo dziś mają przyjść barbarzyńcy,
A takie rzeczy olśniewają barbarzyńców.

– Czemu, inaczej niż zwykle, nie zjawiają się retorzy,
by swe wywody prezentować, wypowiadać kwestie?

Bo dziś mają przyjść barbarzyńcy,
a ich mowne popisy i oracje nudzą

– Ale skąd raptem ten niepokój, skąd
zakłopotanie. (Nagle spoważniały twarze).
Dlaczego szybko pustoszeją ulice i place,
a wszyscy, zamyśleni, wracają do domów?

Bo już noc zapadła, a barbarzyńcy nie przyszli.
Parę zaś osób, przybyłych znad granic,
mówi, że nie ma już tam barbarzyńców.

Cóż teraz pocniemy bez barbarzyńców?
Ci ludzie byli jakimś rozwiązaniem.

Salome

Salome przynosi na złotej paterze
Jana Chrzciciela głowę
młodemu sofście, Grekowi,
któremu na miłości nie bardzo zależy.

„Salome, myślałem – chłopiec odpowiada –
że to raczej będzie twoja głowa”.
A niby żartem powiedział te słowa.
Nazajutrz jej niewolnik zadyszany wpada

ze złotą tacą, na niej leży ścięta
głowa Miłośnicy w jasnych włosów chmurze.
Ale sofista zatonął w lekturze,
toteż, czego chciał wczoraj, już nie pamięta.

Czuje wstręt na widok krwi kapiącej z misy,
więc rozkazuje, by precz uniesiono
sprzed jego oczu tę rzecz okrwawioną;
i nadal Platoński dialog czyta w ciszy.

Na cmentarzu

Jeśli na cmentarne ścieżki
wspomnienie skieruje twe kroki,
pokłonić się nie omieszkaj
świętej tajni przyszłości, którą kryją mroki.
Twa myśl niech leci aż przed Tron Niebieski.
A tu wąskie łóżę stoi,
na nim snem zaśniesz najgłębszym z głębokich,
Jezus cię otuli miłosierdziem swoim.

Umiłowana przez nas wszystkich wiara
śmierci i grobom nadaje znaczenie.
W sutych pogańskich ofiarach
ona się nie kocha, obrzędów nie ceni.
Sensu nie widzi w złocie ani darach,
bo tu wąskie łóżę stoi,
na nim snem zaśniesz najgłębszym z głębokich,
a Jezus cię otuli miłosierdziem swoim.

Miasto

Powiedziałeś: „Do innego przeniosę się kraju, nad inne morze.
Na pewno jest gdzieś inne, lepsze od tego miasto.
Tu, cokolwiek zrobię, będzie jak zapisany już wyrok.
A moje serce – jak trup – jest pogrzebane.
Jak długo mój umysł będzie tkwił w martwocie.
Gdziekolwiek wzrok obrócę, na cokolwiek spojrzę,
tu widzę tylko czarne ruiny mego życia,
tu, gdzieś tyle lat spędził, zniszczył je i strwoił”.

Nie znajdziesz nowych miejsc, nad inne morza nie dotrzesz.
Miasto pójdzie za tobą. Po drogach będziesz krążył
tych samych. W tych samych dzielnicach się zestarzejesz,
w tych samych domach posiwieją ci włosy.

Zawsze do tego samego trafisz miasta. Rzuć nadzieję,
że jest dla ciebie statek w inne strony, albo droga.
Tak, jakieś zrujnował swoje życie tutaj,
w tym ciasnym kącie, zrujnowałeś je wszędzie.

Wieczorem

Zresztą trwać to nie mogło; długie lata
doświadczeń to mi mówią. Gdyż niespodziewanie
wszystko się urwało – bo tak chciały Fata.
Lecz w jak mocnych wtedy tonęliśmy aromatach
i w jak wykwintne łoże się kładliśmy,
jakim upojeniom ciała oddaliśmy.

Dalekie echo tamtych dni rozkoszy,
niejasne ich odczucie do mnie przypłynęło:
musnął mnie tamten, obu nas trawiący płomień,
więc znów pewien list wziąłem w swoje dłonie
i czytałem, czytałem, aż zapadła ciemność.

Potem, w smutnym nastroju, wyszedłem na balkon,
by myśli odmienić i przynajmniej spojrzeć
przez chwilę na kochane miasto,
na ożywione ulice, ruch w sklepach.

IRENEUSZ KANIA

Kawafis, czyli o anatomii pamięci

Wiersz jest wyzwaniem rzuconym czasowi, śmierci, zapomnieniu, poeta zaś to ktoś obdarzony talentem utrwalenia w słowie – bądź w materii wyobraźni – chwili przeszłej: jakiegoś doznania, przeżycia, wzruszenia, przelotnie ujranej twarzy, zapachu, linii ciała. Poezja jest zatem sztuką „uteraźniejszania” przeszłości, sprawiania, by znikniona już chwila trwała w wiecznym *nunc stans*.

Wszystko to są oczywiście banały. Jeśli tu je przywołuję, to dlatego, że twórczość Konstandinosa Kawafisa jest jedną z najwspanialszych w naszej kulturze egzemplifikacji powyższych banalnych prawd – najwspanialszych dlatego, że owa twórczość prawie nigdy o banał się nie ociera. Jest tak, ponieważ Kawafis po mistrzowsku stosował metodę „uteraźniejszania” przeszłości w wymiarze zarówno osobistym, jak i ponadpersonalnym, mianowicie historycznym i historyzoficznym. Jedną z chyba najcelniejszych ilustracji tej Kawafisowej metody jest wiersz *Cezarion* z 1918 roku. Oto jego fragment:

(...) Już rozeznawszy się jakoś w epoce,
książkę miałem odłożyć, gdyby pewna drobna
i nieistotna wzmianka o królu Cezarionie
raptem uwagi mojej nie przykuła...

Ta „drobna wzmianka” staje się dla poety nitką, która, odwijana, wprowadza go w labirynt odległego czasu, natłoczony twarzami, emocjami, myślami i powszednią krzątanią mieszkańców Aleksandrii, Konstantynopola, Smyrny, Efezu czy też nieznanego nam z imienia miasteczka w bliskowschodniej krainie Osroene; zajęci swoimi codziennymi sprawami nieraz nawet nie przeczuwają, że gdzieś niedaleko wydarza się Historia. Ale wie to poeta i zderza te dwa wymiary rzeczywistości z sobą. Istotnie, do bardzo wielu wierszy asumpt Kawafisowi dają zdarzenia z historii „świeckiej” bądź „świętej”. Nieraz takie wiersze wyglądałyby na suche komentarze intelektualisty czy mędrca do pospolicie znanych faktów dziejowych lub mitycznych, gdyby nie to, że pojawia się w ich niemal

zawsze żywy człowiek. Kawafis, anatem *à rebours*, bierze twarde, suchy szkielet faktów na wieki utrwalonych w annałach, i obleka go w nerwy, ciało, pulsującą krew i skórę pojedynczego człowieka – znanego mu, poznanego kiedyś przelotnie albo całkiem anonimowego. Tym sposobem historia staje się terazniejszością, a protokolarny z pozoru, precyzyjny i oszczędny opis dziejowego epizodu przedzierzga się w poezję (często nadzwyczaj zmysłową, gdy owiewa ją tchnienie odautorskiej emocji). Niekiedy zresztą ramy takiego epizodu pękają pod naporem głębokiej, profetycznej refleksji, czy intuicji historiozoficznej – i otrzymujemy coś takiego jak *Czekając na barbarzyńców*, wiersz mający obecnie rangę klasycznej, uniwersalnej diagnozy schyłku każdej cywilizacji, tekst, do którego wciąż powracamy usiłując pojąć – na razie bez poważniejszych, jak się zdaje, rezultatów – zawartą w nim lekcję.

Kiedy indziej mamy w tych wierszach do czynienia z prostą wypowiedzią liryczną, zwykle o śmierci kogoś ongiś kochanego lub o miłości w ogóle. Śmierć występuje tu nierzadko w sztafażu sentymentalnym, a nawet, jak na nasz gust, nieco kiczowatym: oto biały marmur grobowca osypany różami, fiołkami bądź liliami... Dawna miłość uobecnia się śmiało w nienaganej cielesnej urodzie efeba – w linii szyi czy ramion, w błysku szarych lub niebieskich oczu, w niepowtarzalnym wykroju bardzo czerwonych ust; a wszystko skąpane w mocnych aromatach drogich olejków i pachnidła, szeleszczące jedwabiem wykwintnej odzieży czy pościeli (choć scenerią dawnych, umarłych już miłości bywa też nędzna izdebka z pospolitymi sprzętami). Tchnie z tych ułowionych pamięcią scen aura dekadencji, tak pięknie nam pasującej do atmosfery Aleksandrii z książek Durrella czy E.M. Forstera (którzy zresztą znali osobiście Kawafisa).

Stosownie do tego smutek, przenikający wiele wierszy Aleksandryjczyka, jest umiarkowany; to raczej melancholia. Kawafis, wszak rasowy Grek, wie, że co prawda jednostkowe życie, *bios*, przepada nieodwołalnie, ale życie jako takie – *zoē* – jest niezniszczalne, trwa wiecznie. I to wieczne, ciągle odradzające się życie, Kawafis głęboko kocha: z bolesnej melancholii wspomnień leczy poetę widok tłumów na gwarnej ulicy, obserwowanej z balkonu (wiersz *Wieczorem*).

„Greckość” Kawafisowej poezji to nie tylko pełna znawstwa fascynacja wielką historią Hellady i Bizancjum z ich kulturą i językiem, z ich mitami i literaturą. Wiąż Kawafisa z Grecją jest głębsza, sięga do jednostkowych, ponadczasowych, bo powtarzających się z wieku na wiek losów ubogich, bezimiennych Greków. Jednym z takich ponadhistorycznych wyznaczników greckiego losu – może nawet najważniejszym – jest wychodźstwo w rozmaitych swoich postaciach: jako emigracja polityczna, wygnanie, „czystka etniczna”, emigracja pod ciśnię-

niem zwykłej biedy. *Ksenitià*, obczyzna; grecki los. W nowszych utworach poetyckich, na przykład w tekstach *rembétika tragoúdia*, pieśni miejskich marginesowych subkultur, *ksenitià* występuje często, zwykle z przymiotnikiem „czarna”: *máwri ksenitià*. Weźmy na przykład dwa wiersze Kawafisa – *Modlitwa* i *W porcie* i zestawmy je z tekstem jednej z najbardziej znanych w Grecji pieśni *rembétika*, *Kápoia mána* (*Jakaś matka*), pióra wielkiego Wasilisa Tsitsanisa (1915–1984), kompozytora i wykonawcy:

Jakaś matka ciężko wzdycha
dzień i noc spokoju nie ma
synka swego oczekuje
bo od lat go nie widziała.

Ale gdy nadzieję traci,
ktoś wiadomość jej przynosi,
że jej dziecko jednak żyje
i na pewno kiedyś wróci.

A więc z cierpliwością czeka
i z wielką w sercu tęsknotą,
aż jej dzielny junak wróci,
wróci z tej czarnej obczyzny.
[ap'ti máwri ksenitià].

W poezji ludowej tradycyjną figurą udręki czekania na powrót z „czarnej obczyzny” jest stara matka, zazwyczaj czekająca daremnie. (Zresztą figura ta pojawia się też u innych poetów Grecji, jak na przykład u Kaftantzisa w wierszu *Skarga żołnierza zabitego na Krecie* – zob. Janusz Strasburger, *Poeci Nowej Grecji*, Warszawa 1978).

Tak też u Kawafisa.

*

Chaos, upadek, rozpad, zapomnienie. Taki jest los wielkich imperiów – i każdego z nas, w każdej epoce. Kawafis w swoich wierszach historycznych jest historyzoficznym pesymistą. Tkająca się kanwa dziejów to dla poety skomplikowana, pełna zbrodni i szaleństw gra przypadku, kaprysu bogów i kosmicznego Prawa, któremu nawet bogowie muszą być posłuszni. Przed Mojrami drżą wszyscy.

Uprzywilejowanym sztafażem historycznej dekadencji są dla Kawafisa czasy upadku cesarstwa rzymskiego i pogaństwa, potem imperium bizantyjskiego – czasy „prześciowe”, bo oglądające narodziny nowej synkretycznej zrazu cywilizacji pogańsko-chrześcijańskiej, powstającej na dawnych obszarach cesarstwa

rzymskiego, państw hellenistycznych i wielkich monarchii bliskowschodnich. Poeta jest rozdarty między tym tak mu drogim, a odchodzącym w mroki światem wyrafinowanych antycznych kultur, naznaczonych jednak tragizmem ślepego Fatum, i światem rodzącym się w cieniu Krzyża, który obietnicę miłości, pociechy i współczucia niesie każdemu człowiekowi bez różnicy (zob. wiersz *Na cmentarzu*). Kawafis, szczerzy chrześcijanin, miał snadź z oficjalnym Kościołem prawosławnym stosunki nie najlepsze, skoro w kwietniu 1933 roku, już na łożu śmierci, gniewał się na sugestie otoczenia, by przyjął wizytę patriarchy Aleksandrii; uparcie odmawiał. W końcu jednak dał się przekonać. „Gdy hierarcha wszedł do pokoju chorego – pisze I.A. Saregiannis – ujrzał Kawafisa siedzącego, modlącego się z twarzą poważną, gotowego dopełnić wszystkich wymaganych przez Kościół prawosławny formalności” (w książce będącej podstawą niniejszych przekładów – *Apánta poietiká, Chronologióio K.P. Kawáfí*).

*

To, co wyżej napisałem, jest niemal pełnym repertuarem tych motywów poezji Kawafisa, które najbardziej mnie u niego urzekają i sprawiają, że wracam do niej od dziesiątków lat – od 1967 roku, kiedy to wpadł mi w ręce żółty, szeluszający celofanem tomik z legendarnej już (jakże spospolitowano w ostatnich latach to słowo!) serii poetyckiej PIW-u z przekładami nieodżałowanego Zygmunta Kubiaka. Zasłużony ten tłumacz co parę lat publikował potem nowe, ustawicznie rozszerzane i ulepszone edycje swych przekładów, opatrując je coraz obszerniejszymi i dokładniejszymi komentarzami i przypisami. Są to edycje już klasyczne, pomnikowe. W miarę jednak, jak je pochłaniałem i jednocześnie pogłębiałem swoją znajomość mowy nowogreckiej, rósł mój niedosyt i dojrzewało we mnie postanowienie, by czytać ulubionego poetę w oryginale.

Okazało się to nie takie proste – z powodów raczej nieoczekiwanych a trywialnych. Otóż jeżdżąc systematycznie, już od połowy lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku do Grecji, stwierdziłem z osłupieniem, że nie sposób w odwiedzianych przeze mnie księgarniach zdobyć Kawafisa po grecku! Oferowano mi natomiast wydania francuskie, angielskie, które mnie, rzecz jasna, nie interesowały.

Sytuacja ta powtarzała się przez kilka lat. Ale zdarzyło mi się w 1999 roku, że na Krecie, w Rethymno trafiłem do księgarni w okolicy portu; jej właścicielka – miła pani w średnim wieku, na moje rytualne już pytanie o Kawafisa odpowiedziała po dłuższym namyśle: „Jest tylko jedna możliwość. Niech pan pójdzie do Sitareniosia”.

Pustymi o tej porze – wczesne wrześnieowe popołudnie, czas sjeisty – i rozprężonymi uliczkami starego miasta ruszyłem pod wskazany adres (ulica Jera-kari 144). Trafiłem do ciasnego i zawalonego książkami ni to magazynu, ni to antykwariatu. Właściciela jakoś nie było widać, więc przez dłuższą chwilę zwie-dzałem wzrokowo półki pełne wszystkiego, o czym marzyć może ktoś taki jak ja – początkujący amator literatury nowogreckiej: edycje klasyków – Solomo-sa, Kornarosa, Bounialisa, Psicharisa; potem pisarze współcześni – Kazantzakis, Prewelakis, Palamas, Lilika Nakou, Seferis, Elytis, Ritsos, Papadiamantis... Ale Kawafisa nie zauważyłem.

W końcu się okrzyknąłem (po angielsku, bo mojej greczyźnie jeszcze nie ufałem), i po niemałej chwili z głębi wąskiego pomieszczenia wynurzył się właś-ciciel – nieduży, rozczochrany z oczyma zaczerwienionymi. Gdy mu wyłuszczy-łem cel mojej wizyty schylił się i spod zakurzonej nieco lady wyjął książkę, któ-rą mi podał oburącz, jak na tacy. „Masz; ta książka czekała na ciebie”. Okazałem niejake zdumienie, więc dopowiedział: „Zamówiłem ją parę lat temu, ale nikt dotąd o Kawafisa mnie nie zapytał. Jesteś pierwszy”.

Było to ostateczne naówczas, pełne wydanie wierszy Aleksandryjczyka: *Apánta poietiká*, Ateny 1990, wydawnictwo Ypsilon / Biblia. Dwieście pięćdzie-siąt sześć utworów, cena – 4400 drachm. Kiedy jednak wyciągnąłem pieniądze, księgarz powiedział „Cztery tysiące”. „Dlaczego? – spytałem. – Przecież widzę tu cenę: 4400”. Dlatego, że mówisz po grecku i będziesz tego Kawafisa czytał po grecku” – odparł ów dziwny człowiek.

Nazywał się Artemis Sitarenios.

Teraz, gdy po kilkunastu latach obcowania z wierszami Kawafisa w orygi-nałach zdecydowałem się go przekładać, owo spotkanie w Rethymno przypo-mniałem sobie w sposób szczególnie plastyczny. Przez wszystkie te lata nie miałem żadnego kontaktu z Artemisem Sitareniosem. Co się z nim dzieje? Czy jeszcze żyje?

Jakkolwiek jest, również jemu dedykuję zamieszczone tu przekłady. Dzię-kuję ci, Artemis. *S'efcharistó, Artémi. Na'se kalá.*

*

Poetyckie dzieło Konstandinosa Kawafisa jest objętościowo bardzo szczupłe: wszystkiego dwieście pięćdziesiąt sześć wierszy. Powstawały one w ciągu pięć-dziesięciu sześciu lat, co daje przeciętną cztery utwory na rok – a więc niewiele. Tłumaczyć to bodaj wypadnie bardzo wysokimi wymaganiami, jakie poeta swej twórczości stawiał: utworów umieszczonych przezeń w kategorii trzeciej, „wier-

szy odrzuconych" (*apokerygména poiémata*), jest dwadzieścia siedem; kategoria druga, *anékdota poiémata* (wiersze niepublikowane), zawiera ich siedemdziesiąt pięć (w tym trzy pisane po angielsku; pierwszy, zaczynający się od słów „*More happy you, performing Member*”, powstał prawdopodobnie w 1877 roku, a więc gdy poeta miał czternaście lat! Ale ta data jest hipotetyczna).

Główny korpus utworów uznanych przez Kawafisa za nadające się do publikacji składa się ze stu pięćdziesięciu czterech wierszy; nieco ponad połowę całego jego dorobku. Tak więc Kawafis był dla siebie, jako twórcy, bardzo surowy. My, ludzie dzisiejsi, czytający te wiersze osiemdziesiąt lat po śmierci autora, zastanawiamy się nieraz, co kazało mu uznać za niewarte publikacji utwory tak wdzięczne jak *Dünya güzeli*, *Weizades do swej ukochanej*, *Gdy kochałem, przyjaciele* czy *Nichori*; tak poruszające jak *Na cmentarzu* czy *Salome*; tak zabawne jak *Dom z ogrodem* itd. I dochodzimy do wniosku, że mamy jednak prawo, a może nawet obowiązek patrzeć na jego dzieło i oceniać je inaczej, niż on sam. Mówiąc krótko, z naszej perspektywy widziane dzieło to obroniło się, przeszło próbę czasu, dowiodło swej wyrównanej, wysokiej wartości. Kawafis nie mógł, rzecz jasna, być tego wszystkiego całkiem pewien.

KONSTANDINOS KAWAFIS

w przekładzie Jacka Hajduka

Grób Lanesa

Lanes, którego kochałeś, nie leży tutaj, Marku,
w grobie, który odwiedzasz i oplakujesz i przy którym trwasz godzinami.
Lanesa, którego kochałeś, masz bliżej siebie
w domu swoim, kiedy zamykasz się i wpatrujesz w obraz,
który zachował coś z tego, co było w nim warte uwagi,
który zachował coś z tego, co kochałeś.

Pamiętasz, Marku, kiedy z pałacu prokonsula
przyprowadziłeś sławnego cyrenajskiego malarza
i z jaką przebiegłością ten artysta,
ledwie ujrzał twego przyjaciela, chciał was przekonać,
że absolutnie trzeba go przedstawić jako Hiacynta
(dzięki temu obraz jego stanie się bardziej znany).

Lecz twój Lanes nie używał swej urody w ten sposób;
stanowczo się sprzeciwiając powiedział, że ma być sportretowany
nie jako żaden Hiacynt, ani ktokolwiek inny,
ale jako Lanes, syn Rameticha, Aleksandryjczyk.

Grób Ignatiosa

Tu nie jestem Kleonem, słynnym
w Aleksandrii (gdzie niełatwo o podziw)
dzięki moim wspaniałym domom, dzięki ogrodom,
dzięki moim koniom i rydwanom,
dzięki diamentom i jedwabiom, które nosilem.
Wszystko to odeszło. Tu nie jestem tamtym Kleonem;
niech jego dwadzieścia dziewięć lat zostanie wymazane.
Jestem Ignatios, lektor, który bardzo późno
przebudził się; mimo to, przeżyłem dziesięć szczęśliwych miesięcy
w pokoju Chrystusa i pod jego opieką.

Hebrajczyków (50 po Chr.)

Malarz i poeta, biegacz i dyskobol,
przystojny jak Eudymion – Jantes, syn Antoniosa.
Z rodu zaprzyjaźnionego z Synagogą.

„Dni, które cenię najwyżej, to te,
w których rzekam się poszukiwań estetycznych,
w których odrzucam piękny i twardy hellenizm
z jego kurczowym przywiązaniem
do efemerycznych, doskonale rzeźbionych białych ciał.
I staję się tym, kim chciałem
na zawsze pozostać: synem Hebrajczyków, synem świętych Hebrajczyków”.

Jego deklaracja jest bardzo stanowcza: „Na zawsze
pozostać synem Hebrajczyków, synem świętych Hebrajczyków”.

Ale nie pozostał kimś takim wcale.
Hedonizm i Sztuka Aleksandrii
uczyniły go swoim nieodrodnym dzieckiem.

Aimilianos Monai, Aleksandryjczyk, 628–655 po Chr.

Ze słów, z postawy i ze sposobu życia
nadzwyczajną wykonam zbroję;
i tak stawię czoło złym ludziom,
będąc wolnym od strachu i niemocy.

Zechcą mi zaszkodzić. Ale żaden z tych,
którzy mnie podejda, nie będzie wiedział,
gdzie znajdują się moje rany, moje słabe strony,
pod fałszerstwami, które mnie okryją.

Słowa chełpliwe Aimilianosa Monai.
Ciekawe, czy wykonał kiedyś tę zbroję?
Tak czy inaczej, nie nosił jej długo.
W wieku dwudziestu siedmiu lat, na Sycylii, umarł.

Epitafium Antiocha, króla Kommageny

Kiedy wróciła, zasmucona, z jego pogrzebu,
siostra tego wstrzemięźliwie i skromnie żyjącego,
tego bardzo uczonego Antiocha, króla
Kommageny, zapragnęła dla niego epitafium.
Efezyjski sofista Kallistratos – goszczący
regularnie w kraiku kommageńskim,
a w domu królewskim
chętnie i często przyjmowany –
napisał je, poinstruowany przez syryjskich dworzan,
i wysłał je do starej dominy.

„Królowi Antiochowi, dobroczyńcy,
należy się słusznie, o, Kommageńczycy, cześć.
Był przezornym zarządcą kraju.

Zaistniał jako sprawiedliwy, mądry, odważny.
Zaistniał wreszcie jako ten najlepszy, jako Zhellenizowany –
nie zna ludzkość wartości szlachetniejszej;
wszystko, co ponad, należy do bogów”.

Aleksander Janneus i Aleksandra

Zwycięscy i w pełni zadowoleni,
król Aleksander Janneus
i żona jego, królowa Aleksandra,
kroczą z muzyką na przedzie
i z wszelkim majestatem i przepychem,
kroczą ulicami Jerozolimy.
Wspaniale wypełnione zostało dzieło,
któremu początek dał wielki Juda Machabeusz
i czterej przesławni bracia jego;
i które później niestrudzenie kontynuowano pośród
licznych niebezpieczeństw i licznych trudności.
Skończyła się wszelka zależność od zarozumiałych
monarchów antiocheńskich. Oto
król Aleksander Janneus
i żona jego, królowa Aleksandra,
we wszystkim równi Seleucydom.
Judejczycy dobrzy, Judejczycy prawi, Judejczycy wierni – przede
wszystkim.

Ale również, ilekroć wymagają tego okoliczności,
i mowy greckiej mistrzowie;
i z Hellenami, i ze zhellenizowanymi
monarchami będący w stosunkach – jak równi z równymi, niech to
wybrzmi.

Zaiste wspaniale wypełnione zostało,
chwalebnie wypełnione zostało
dzieło, któremu początek dał wielki Juda Machabeusz
i czterej przesławni bracia jego.

KRZYSZTOF LISOWSKI

O najśłynniejszym wierszu
Konstandinosa Kawafisa

W roku 1904, kiedy umierał Anton Czechow i rodził się nasz Gombrowicz, Konstandinos Kawafis zdecydował się na opublikowanie pierwszego zbioru wierszy, zawierającego zaledwie czternaście utworów. Tym samym dał przykład poetyckiej rozważliwości, namysłu, skromności i niespieszności. W tzw. kanonie ta m.in. partia tekstów jest zgrupowana w cyklu pod wspólną, porządkującą chronologię, nazwą: „*ekdota poemata przed 1911*”. Wydaje zbiór prywatnie w Aleksandrii. Rozprowadza wśród przyjaciół, rozdaje w kawiarniach znajomym, wysyła do pisarzy.

Wśród owych czternastu tekstów znajdujemy utwór, który obok *Itaki*, może najlepiej znamy, poetycką wizytówkę Kawafisa, jego herb i wyznanie – *Czekając na barbarzyńców*.

Najbardziej zasłużony w Polsce tłumacz, biograf i komentator twórczości Aleksandryjczyka, Zygmunt Kubiak, nie opatruje tego mistrzowskiego wiersza żadnym objaśnieniem. Gdy zadałem obu współczesnym tłumaczom Kawafisowego kanonu – Jackowi Hajdukowi i Ireneuszowi Kani – pytanie „naiwne”: jakie było źródło, przyczyna, pierwotny pomysł, inspiracja dla powstania wiersza o nadchodzących barbarzyńcach, obaj stwierdzili mniej więcej to samo. Kania sformułował to następująco – wiersz sumuje refleksje historiozoficzne pozbawionego złudzeń poety. W końcu Kawafis w wierszach „historycznych” prawie zawsze pisał o epokach upadku.

Jak znaczący był wpływ Kawafisa na lirykę polską, szczególnie tę kulturową, klasycyzującą, intelektualno-spekulatywną? Pisałem o tym w *Greckim lustrze*. Wydaje się, że tu warto pokazać jeszcze inne znaczące lekturowe znaleziska.

Oto w *Lekturach nadobowięzkowych*, przy okazji omawiania poezji nowogreckiej, Wisława Szymborska notuje: „Kawafis przezwyciężył niebezpieczeństwo nadmiernej literackości w ten sposób, że na pozór uległ jej całkowicie. (...) Postępował jak rasowy epik, i był nim naturalnie na dzisiejszy sposób”.

Dużo później Czesław Miłosz pomieszcza w swojej słynnej antologii *Wypisy z ksiąg użytecznych* dwa wiersze Kawafisa, a *Czekając na barbarzyńców* poprzedza takim komentarzem: „Wreszcie ASPEKT POWTARZANIA SIĘ SYTUACJI HISTORYCZNYCH. Wbrew spodziewaniu, wiersz Kawafisa, który, zadawałoby się, streszcza wiele wydarzeń dwudziestego wieku, został napisany w 1898, drukowany po raz pierwszy w 1904. Co prowadzi mnie do myśli, że Kawafis, wyprawiając się w przeszłość, w dzieje cywilizacji helleńskiej, znajdował tam rodzaj metahistorii, powtarzające się i odnawiające się wzorce”.

Gdy spytałem o to, kiedy wiersz powstał, translatorzy dawali nieco różne odpowiedzi. Sprawę, jak widać wyżej, wyjaśnia Miłosz, a jednoznacznie wypowiada się w tej kwestii polski poeta i tłumacz, Grek z pochodzenia, Nikos Chaziniolau. W swojej historii literatury nowogreckiej informuje: „Kawafis w komentarzu do swoich utworów twierdził: »Aktualne wydarzenia nie stanowią inspiracji twórczej. Potrzebny jest czas. Dopiero mogę odtworzyć – zrekonstruować!«. Był wierny temu wyznaniu, do wyjątków możemy zaliczyć utwór *Czekając na barbarzyńców* (*Periménontas tus warwarus*) wydany w 1904 roku i nawiązujący do tragicznych wydarzeń historycznych Sudanu, kiedy we wrześniu 1898 roku napadli nań Anglicy. (...) Wszyscy doskonale wiedzieli, o jakich barbarzyńcach była mowa w utworze. Gazety codziennie ich tak nazywały. W roku 1904 jednak, już po pięciu latach, temat stracił na aktualności. Dlatego Kawafis wydając swój utwór, umieszcza pod nim datę 1904”.

Przynajmy, dosyć niejasne to rozumowanie, ale spróbujmy prześledzić kontekst. Co też takiego stało się w Sudanie? 2 września 1898 roku generał Horatio Kitchener stłumił ostatecznie powstanie mahdystów, rozgromił ich armię pod Omdurmanem. Przeciw dzidom i łukom wystawił doborowe oddziały egipsko-brytyjskie, przeciw kamieniom ciężkie karabiny maszynowe Maxima i kawalerię (służył w niej niejaki Winston Churchill, który przebieg bitwy fachowo relacjonował dla „Morning Post”). Niewątpliwie więc Anglicy nazywani byli barbarzyńcami, również z racji okrutnego traktowania przeciwnika. Odmawiano pomocy medycznej rannym rebeliantom, zabijano wziętych do niewoli, a po zdobyciu Omdurmanu sprofanowano grób Mahdiego. Kitchener – późniejszy baron, adiutant królowej Wiktorii, kawaler Orderu Łaźni, zatrzymał głowę sudańskiego „mesjasza”. Planował ponoć przerobić czaszkę na bibelot zdobiący gabinet – puchar albo kałamarz.

Kiedy te wieści dotarły do opinii publicznej „cywilizowanego świata”, pogromca Sudańczyków został poproszony przez królową o wyjaśnienia. Głowę Mahdiego pochowano na cmentarzu w Wadi Halfie, na prawym brzegu Nilu.

Być może Kawafis rzeczywiście śledził uważnie kampanię sudańską, śmiał jednak twierdzić, iż czytanie o jej okrucieństwach, aktach ludobójstwa miało wpływ na powstanie wiersza równie nieznacznym, jak inne wypadki polityczne tego czasu. Z pewnością obserwował, co dzieje się w Grecji – czyż nie przynębiały go klęski greckiej partyzantki w Macedonii w walkach z Turkami, czy nie zastanawiały zamieszki z powodu opublikowania Nowego Testamentu w języku ludu – greczyźnie *dimotiki*, czy nie mierziło, że w związku z wszechogarniającą korupcją i „systemem klienteli politycznej” co chwila zmieniały się rządy w Atenach?

To wszystko obserwował, uważnie i krytycznie, ze swej wyspy wiecznej teraźniejszości, z Aleksandrii, którą kochał i nienawidził. W tamtej „wiecznej chwili”, w której snuł historiozoficzne rozważania, rodziła się dopiero wielkość założyciela miasta, uwiecznianego – na wzór Heliosa – na monetach. Sarenka pasła się jeszcze obok Iwa. Państwa rozkwitały, filozofowie przechadzali się w gajach oliwnych, barbarzyńcy dopiero rodzili się, niewinni i bezbronni, za dalekimi przełęczami.

W swoim posłowie do przetłumaczonego z nowogreckiego wyboru wierszy właśnie pod tytułem *Czekając na barbarzyńców* Ireneusz Kania pisze: „...historia staje się teraźniejszością, a protokolarny z pozoru, precyzyjny i oszczędny opis dziejowego epizodu przedzierzga się w poezję (...). Niekiedy zresztą ramy takiego epizodu pękają pod naporem, głębokiej, profetycznej refleksji czy intuicji historiozoficznej – i otrzymujemy coś takiego jak *Czekając na barbarzyńców*, wiersz mający obecnie rangę klasycznej, uniwersalnej diagnozy schyłku każdej cywilizacji (...). Chaos, upadek, rozpad, zapomnienie. Taki jest los wielkich imperiów – i każdego z nas, w każdej epoce. Kawafis w swoich wierszach historycznych jest historiozoficznym pesymistą”.

Po tym wszystkim zapytałem siebie samego, co jest tak pociągającego w tym wierszu? Zamysł, styl, język? Bo przecież wiersz powstał około 115 lat temu. Jakież poezje Koraba-Brzozowskiego, Staffa, Micińskiego, Tetmajera, Leśmiana (chyba pisane wtedy jeszcze po rosyjsku) pozostały dla nas z tamtej epoki przesilenia? Czy znajdziemy takie, które potrafilibyśmy przytaczać swobodnie z pamięci, przeglądając się z przyjemnością w lustrach ich wiecznej aktualności, nie irytowani archaicznym rekwizytorium, patosem dekadentyzmu, koturnowością dykcji?

Nie widzę, nie pamiętam takich, podobnych. A wiersz zmarłego w 1933 roku Kawafisa – paradoksalnie – może się wydać utworem z lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia, napisanym na przykład przez Miłosza, Herberta czy Brodskiego.

Widać, tajemnica trwa w uniwersalności konceptu – pokazaniu nie jakiegoś „przygranicznego miasta”, jak chcieliby niektórzy interpretatorzy (w jakim mieście na dalekich rubieżach przebywaliby jednocześnie najwięksi dostojnicy imperium: cesarz, obaj konsulowie, pretorzy, senat?), lecz cesarskiej stolicy czekającej na ostateczne rozwiązanie, najazd Obcych, kiedy już całkowicie rozpręga się maszyneria państwa, prawo nie działa, i zamiast „życia na niby” zarówno władza, jak i lud pragną Wielkiej Odmiany, zaprowadzenia ładu, tęsknią do nowego porządku. A któż tego nie zrobi lepiej od przybyszów, barbarzyńców.

Zastanawiałem się, skąd u Kawafisa – po fazie zauroczenia francuskim symbolizmem – ten styl zwięzły, zobiektywizowany, a w wierszu ironia, „poważny żart”, namysł sformułowany precyzyjnie, oszczędnie i nowocześnie. Wszak, przypomniałem sobie, dzieciństwo spędził Kawafis w Anglii, obok greki jego pierwszym językiem był angielski, z modelem wychowania, stylem życia, edukacji, porządkiem lektur. Cóż więc teraz ten człowiek około czterdziestoletni, zapatrzony coraz uważniej w przeszłość ogromnej Hellady i jeszcze potężniejszego imperium Rzymu, miałby od czasu do czasu czytać? Do jakiej lektury powracać – takiej, która uczyłaby w cudowny sposób dystansu, ironii, zrozumienia dla błędów możliwych i dla potrzeb, nadziei mas.

Sięgnąłem do Edwarda Gibbona, do *Zmierzchu i upadku cesarstwa rzymskiego*, i prawie na chybił trafił znalazłem w dziele XVIII-wiecznego historyka dwa passusy o pochodzie barbarzyńców, stanowiące coś w rodzaju „najbliższego zaplecza” dla wspomnianego wiersza. Nie tylko opowiedziane zdarzenia, snuta przez Anglika refleksja, ale i ton żalu pomieszanego z ironiczną obserwacją dawno minionych zdarzeń blisko korespondują z akcją i światem przedstawionym wiersza Aleksandryczyka.

Spójrzmy na te cytaty z *Upadku cesarstwa rzymskiego na Zachodzie*:

„Teby zawdzięczały ocalenie nie tyle mocy swoich siedmiu bram, ile zapalczywemu pośpiechowi Alaryka, który dążył naprzód, aby zająć Ateny i ważny port Pireus. Naglony niecierpliwością, wysunął propozycję kapitulacji, by uniknąć zwłoki i niebezpieczeństw oblężenia. Gdy tylko Ateńczycy usłyszeli głos gockiego herolda, łatwo dali się przekonać do oddania wielkiej części swych bogactw jako okupu za miasto Minerwy i jego mieszkańców. Traktat zatwierdzono uroczystymi przysięgami i przestrzegano go z obustronną lojalnością. Władcę Gotów z małym i dobranym orszakiem wpuszczono do miasta; z przyjemnością wziął odświeżającą kąpiel, przyjął zaproszenie na wspianą ucztę wyprawioną przez urzędnika i starał się pokazać, że nieobce są mu obyczaje cywilizowanych narodów”. I dalej:

(o sytuacji w Italii): „... barbarzyńcy wynurzyli się z cienia i ogólnej pogardy; wojownicy Germanii i Scytii pojawili się w prowincjach najpierw jako pokorni słudzy, potem sojusznicy, a w końcu panowie Rzymian, których kolejno znieważali lub bronili. Nienawiść ludu tłumił strach; Rzymianie szanowali odwagę i splendor wojowniczych przywódców, obdarzanych godnościami państwowymi, a losy Rzymu długo zależały od miecza tych groźnych przybyszów”. (...)

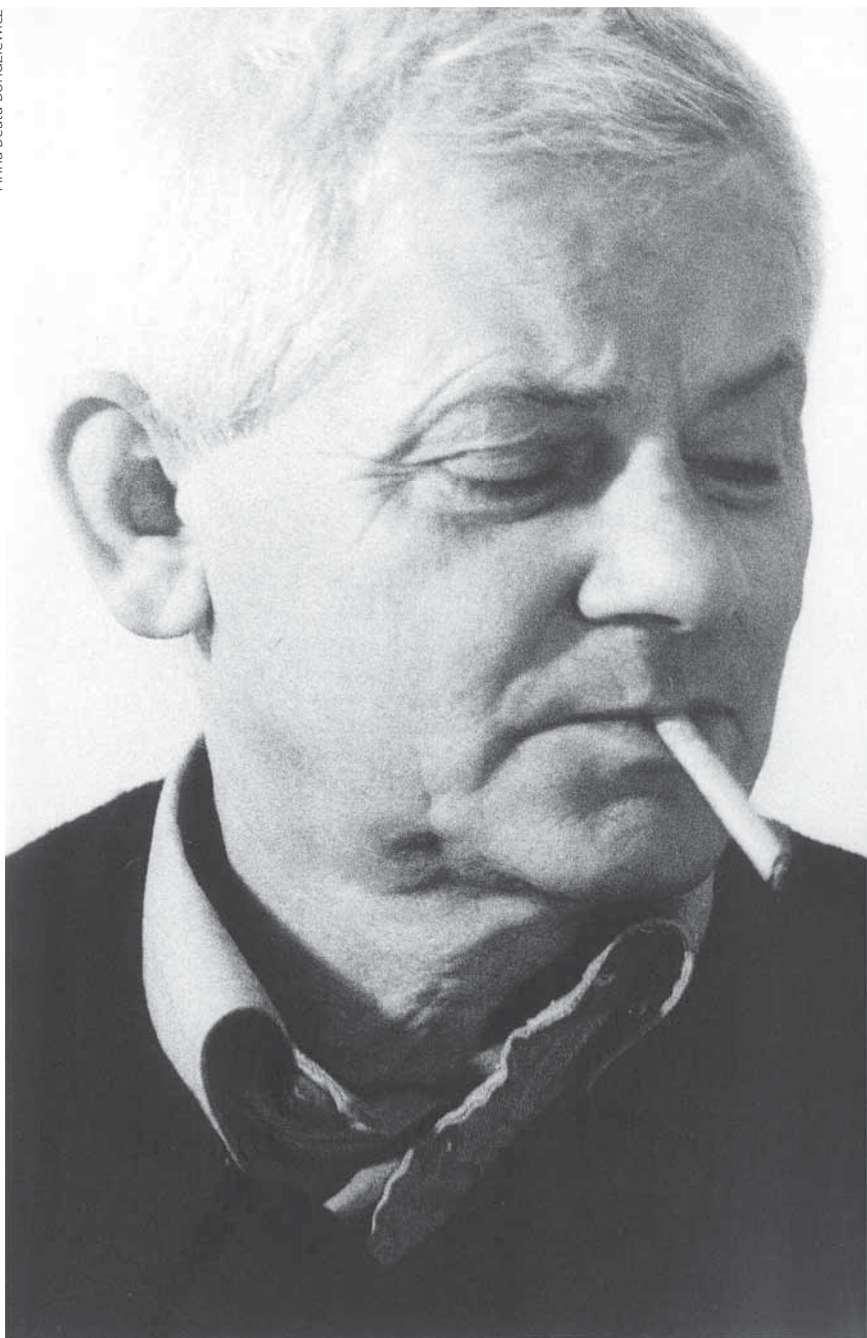
„Stosunkowo najmniej nieszczęśliwi byli ci, którzy bez szemrania podporządkowali się przemożnej potędze. Skoro pragnęli żyć, winni byli niejakką wdzięczność tyranowi, który darował im życie, a skoro był absolutnym panem ich majątków, to pozostawioną im część należało przyjąć jako dar szczerzy i dobrowolny”.

W przypisie do ostatnich zdań cytatu najwybitniejszy angielski historyk XVIII wieku przywołuje list Cycerona, który pociesza przyjaciela, Papirusza Petusa, zasmuconego życiem w cieniu tyranii: „uznałem, że najlepiej jest pozostać przy życiu”.

Zastanawiałem się, czy ta intuicja okaże się trafna, czy Kawafis w ogóle znał i czytywał Gibbona. Jakaż była moja radość, gdy znalazłem informację, iż *Zmierzch i upadek*... był jedną z jego istotnych lektur, że na marginesie tego dzieła pozostawiał uwagi i glosy. Istnieje nawet praca naukowa Diany Haas *Cavafy's Reading Notes on Gibbon's Decline and Fall (Notatki Kawafisa na Zmierzchu i upadku Gibbona)*, w której możemy przeczytać, że wiersze z tych lat, kiedy powstał utwór *Czekając na barbarzyńców* „odzwierciedlają zbliżenie do ironicznego podejścia Gibbona do historii”, a dzięki historykowi angielskiemu Aleksandryczyk „porzucił romantyczne rozumienie historiografii i oddalił się od symbolistycznego mistycyzmu jego estetyki”.

Czy jest to wiarygodne objaśnienie, „jakieś rozwiązanie” tajemnicy, wiecznej aktualności, tego wiersza?

Anna Beata Bohdziewicz



ZBIGNIEW HERBERT

Śnił mi się znowu Miłosz

Śnił mi się znowu Miłosz tym razem był to
sen pełny to znaczy grał w nim rolę główną
wielka szyba oświetlona słonecznym światłem
tak jasnym że mrużyłem oczy

Śnił mi się różnie czasem w ogrodzie
wiszącym w Kalifornii wtedy myślałem że jest szczęście
lub w Dzielnicy Łacińskiej [...] [...] o krawę[dź] [?] baru
przesuwał się szybko przez szklany ekran
miał pod pachą opasłe tomy pewnie Swedenborga

jak nauczyciel który prowadzi leniwego ucznia
na Sąd Ostateczny

Nota

Istnieje tylko brulion tego utworu, zanotowany przez Zbigniewa Herberta w Notatniku 105 na k. 35 *verso* (tekst) oraz przeciwległej k. 36 *recto* (tytuł).

Słowo: „znowu” w pierwszym wersie ujęte ręką Z.H. w nawias kwadratowy.

Dwóch słów w trzeciej linijce drugiej strofy nie potrafię odczytać.

Zazwyczaj unikam podawania do druku wierszy nie do końca odczytanych – w tym wypadku obawiam się jednak, iż te dwa słowa są niestety nieczytelne.

Odstęp między drugą strofą o zakończeniu jest podwójny, co oznacza prawdopodobnie, że Herbert zostawił miejsce na brakujące dwa albo trzy wersy.

Notatnik 105 opisany przez Herberta jako: W/ 78 [Wiersze/ 1978] zawiera m.in. notatki do wierszy *Izydora Duncan* i *Nasze Dziecko* oraz bruliony wierszy *Znaki i Pokolenie/ Generacja*. Wiersz *Izydora Duncan* poeta włączył do tomu *Raport z obłązonego Miasta i inne wiersze* (Paryż 1983), natomiast *Nasze dziecko* opublikował jedynie w „Tygodniku Powszechnym” w roku 1980 (w numerze 14 z 6 kwietnia).

R. K.

Elżbieta Lemp



JULIA HARTWIG

W OBJĘCIACH ŚWIATA

ciasnych i niewygodnych
okrutnych a stworzonych do radości
z których chciałbyś uwolnić się
pragnąc zarazem trwać w nich wiecznie
Objęcie miłosne i ekstatyczne
Życie twój uścisk za mocny

Pisanie słów nieważkich
sen krótki i niespokojny
najazd obrazów przeszłości
do najmniejszego szczegółu znanych
jakbym twarz przy jego twarzy trzymała
szukając w niej ucieczki
mijaj nocy
z którą nie mam porozumienia

Odchodzą opiekuńczy bogowie

odchodzi posłaniec który cię strzegł
strzeż się takiej chwili
kiedy obawa cię ogarnie
i rozpoznasz przerażającą wieżę Babel
którą wyśnił Piranesi

Radości proste życie proste
dane nam były od zarania
więc skąd to samobójcze poczucie winy
które jak grzech pierworodny
jest nie do naprawienia

A może boimy się że same już słowa
popchną nas w przepaść
niech będą więc uczczone i pochwalone
te dni i te chwile kiedy jest tylko
śpiew i milczenie

Odchodzisz z krainy kwiatów
i śpiewających ptaków

wchodzisz w ciszę piasków
i odległego morza

Stąpaj ostrożnie
piaski mogą być ruchome

Nad tobą niebo spienione obłokami
w tobie
przysypane pyłem lat

głosy tych
którzy nas milcząc osądzali

Elzbieta Lempp



TADEUSZ RÓŻEWICZ

Mozaika bułgarska z roku 1978

I

czarny kamyk
biały kamyk
niebieska muszelka
czerwone wino
czarny kamyk
żółty czarny
brak kamyka
w mozaice

kamyk który zginął
wypadł po drodze
do domu pisarza
w Sitniakowie w Bułgarii
w lipcu 1978 roku

brak kamyka w mozaice
przywraca kamykowi
kształt
puste miejsce
po kamyku skupia na
sobie uwagę

strumień turkusowych kamyków
kamyk żółty kamyk zielony
czarny

przeszedł Człowiek
dobre utro
dzień dobry

obejrzałem się za nim
portki jak stary worek
na jednym pośladku
czarna dziura
na drugim łąta
jak słonecznik

oddala się
błękitnieje
płowieje
wybielony
wietrzeje

otoczyły mnie skały
wypalone trawy
mchy kamienie
w nozdrza uderzył
zjęłczały ostry zapach
kożucha sera
na skale stał brudnożółty
rogaty cap

przeszedł człowiek
pomyślałem
i tak będziemy się mijali
do końca
i po końcu świata
obejrzałem się za nim
na jednym pośladku dziura

jak słonecznik
na drugim czarna łąta

II

pada deszcz
deszcz pada

i pada
pijemy herbatę
czeren czaj
w pałacyku myśliwskim
Cara Ferdynanda
i Cara Borysa
wypchany orzeł
„erlegt von SR. Kön. Hoheit
Fürst Ferdinand I. von Bulgarien
Rimaszégs 9 XII 1904”
Rogi jelenia
„erlegt am 21. Januar 1912
Hirschpark
Bartkowa”

Schlafzimmer
na ścianie kalendarz rok 1906
„Verlag der Neuen Photogr. Gesell.
Steglitz – Berlin
März
Meistersinger Fanget an!
So rief der Lenz in den Wald
April
Parsifal Der Winter floh
und Lenz ist da
Erwache! Erwache dem Lenz!”

obok wiszą sztychy i oleodruki
Josef Chelmonski
Polowanie na cietrzewia
Otto Recknagel München 1887
Gestörte Liebeserklärung
(na obrazku widzimy
jak lis zagryza tokującego
głuszca samica odlatuje)
Hans Rudolf Schulze
Gralsburg

„In fernem Land
unnahbar euren Schritten
Liegt eine Burg,
die Monsalvat genannt...”
i jeszcze
ręcznie malowana laurka
Borysa dla Ojca
1 grudnia 1907 rok Sofia
czerwone róże

Kiedy pan odjeżdża
„kogá zaminawáte”
czytam rozmówki bułgarskie

Odjeżdżam jutro
za tydzień
za miesiąc
„zamináwam útre
sled edna sédmica
sled edin mésec”

i Mickiewicz odwiedził
Bułgarię
„i Mickewicz e posetił
Bałgárijá”
Król Polski Władysław
Warneńczyk zginął
pod Warną
„pólskijat krał Władisláw
Wárnenczik zagina pri Wárna”

czytam rozmówki bułgarskie

pada deszcz mgła za oknem
przeszła stara poetka Kalina Malina
zdaje mi się że pisze bajki dla dzieci
a może dla dorosłych

chodzę po pokoju ziewam
za ścianą albo w ścianie
w suficie w starej szafie
stukanie – (maszyn)
to panie
piszą erotyki
dla dzieci
ziewam przeglądam
pożółkłe karty
„Dîner le 28 Mai 1901
Potage d’orge
Gigot d’agneau garni
Pulet (a może poulet?) nouveau
frits
Pudding Diplomat
Dîner le 10 Mai 1901
Potage crème d’oseille
Langue de boeuf
aux pinards
Poulets rotis
riz. Salade
Choux-fleurs Sce. holland.
Poudingue”
i co jeszcze jedli
„caviar
miroton salade
viandes”
jedli i jedli
mój boże takie małe
carstwo a tak jedli

a my? też nieźle
„jajca wareni
jajca na oczi
grach
piper
grozdowa rakija”

sery owoce kefir
a gdzie menu
tego człowieka
co mi zaginął
przepadł
za zakrętem historii
w drodze na Borowec

1978–1994

[wiersz z tomu: *zawsze fragment*, Wrocław 1996]

Droga
Haniu

podziel

świe

Zostaniesz podziel do gołębca w Ławie

proszę o zwrot pieniędzy poleconych

do góry. karta pomyłki pomyłkami(?)

Wzrost to rzecz - gdybyś był chłodem
nie ogolony ci do chłodu i któryś
bohaterem podziel.

Wzrost podziel i techniczne pomyłki

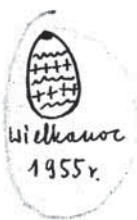
W tej chwili już mi rośnie broda

Odnegam przed jaskiniami (teraz

romantycznie się kocham) któryś

możliwy do podziel (nary - zły zły

- dzień napisem) o'szumi (z ławie)



Chcę na odpowiedź

i podziel ze romantyką

niesieptwosia

i serdecznie do podzięk

Podzięk

1

TADEUSZ RÓŻEWICZ

Listy do Hanny i Mieczysława Porębskich
i do Stanisława Różewicza

pędzel

Łódź

Droga

Haniu

Zostawiłem pędzel do golenia w łazience

proszę o zwrot przesyłką poleconą

do Gliwic. Koszta przesyłki pokrywam (?)

Zrób to zaraz – gdyż będę chodził

nieogolony aż do chwili w której

odzyskam pędzel.

Wsadź pędzel w tekturowe pudełeczko.

W tej chwili już mi rośnie broda.

Ostrzegam przed gośćmi (teraz

rozmaici ludzie się kręcą) którzy

mogliby ów pędzel (szary – z węgier-

skim napisem) świsnąć (z łazienki).

Wielkanoc

1955 r.

Czekam na odpowiedź

i pędzel ze zrozumiałą

niecierpliwością

i serdecznie Was pozdrawiam

Tadeusz

Wł. Brodny,

Najpierw to co wiadomo o sztuce - "Alchemia słowa" - Paramitowski - książka
 ma ma już w plinijskich biogramach. Długość mi, że mi mogłem ci
 tego starożytności (tytuł widać, że linijem i śmiertelny był miś wstępy
 o iylekark). Wyobraź sobie, że jedyny iylekły małustem u siebie - bydl
 to wiadomości illiczka - i restat bez przemodyfikacji (!) u moim bogactw.
 Czy linia grani maleje czy wzrasta? Ja po prostu od was przejechałem
 do Krakowa - to okazało się, że poizyż pory. Wony został mieniony -
 no i nie chciałem już wrócić na wieś do was - gdzie przemawiałem na
 moim i mójemu wistym linijy porci.

W Krakowie pomysłem do sztuki i tu się okazało, że, chociaż
 u snopkiem "fraszki" - jest rodzisty, wieś elichet miały
 miod - chyba, że pocieniyłby się "szaleń" który dodaje
 niesamowitego blasku krakowski galerii. Wprowadzi wielość
 parę sztukach (ona u sprowadził karciański szkocki i t.p. On
 wiatriska, napręta) która z potwornym wydziałem wazy
 mieniył onie szat - natomiast lnej kolejana u wle wielu
 rzele jak konie na ten widok - dwie rzeźbiarce próbowały
 i opuszczyły go, a u nich wstawił kilka wybranych rzeźbiarce
 i t.d. i t.d. Jak widnieć stare rzeźbiarce historyczno-sztukowe
 odgrywa się we mnie, i wzięte obierami się interesują.

Jak praca z kolekcją, czy ja jeszcze męczy? Wziął
 jest roboty i tu mojemu pocienieniu domaga się pomiarów (!)
 Ja sam starszy się i już prawie u tyjein magistrem nie zostanę;
 jutro wybiegnę się pod Opole do POM u Zygmunta Niemcewiczów
 żeby zobaczyć i napisać reportaż dla tygodnika "Wies."

Będzie roboty wazy i t.d.
 spójnie dno, czy elichet cizgle po nocach
 pracuje? Robię mu z tego powodu ogromną
 reklamę wśród ludzi z literatury i rzeźbiarstwa
 "potwornie chętnie pracuje" powiedział i t.d.

Wł. Brodny

Jeden z wielu wazył zwiś

Problemy 4.

P.S. 30. Womay wyliczamy się koda 45-46 II.
 ma dwa try dni - kaja linie się
 z tym, że pocienione (eventy) linki
 stały się:

Szał

Gliw. 25.II. 53r.

Moi Drodzy,

Najpierw to co miałem załatwić – „Alchemia słowa” Parandowskiego – książki nie ma już w gliwickich księgarniach. Przykro mi, że nie mogłem Ci tego Haniu załatwić (tym więcej, że liczyłem iż śmieiej będę mówił wtedy o żyletkach). Wyobraź sobie, że jedną żyletkę znalazłem u siebie – była to własność Mietka – i została bez premedytacji (!) w moim bagażu. Czy liczba gości maleje czy wzrasta? Ja prosto od Was pojechałem do Krakowa – bo okazało się, że pociąg posp. nocny został zniesiony – no i nie chciałem już wracać na noc do Was – gdyż przeczuwałem na moim miejscu większą liczbą gości.

W Krakowie poszedłem do sukiennic i tu się okazało, że „Chłopiec ze snopkiem” Gieryskiego jest zdjęty, więc Mietek miałby zawód – chyba, że pocieszyłby się „Szałem”, który dodaje niezawodnego blasku krakowskiej galerii. Wprawdzie widziałem parę sztubacką (ona w spodniach narciarskich i chusteczka i t.p. on wiatrówka, czapeczka) która z pobłażliwym wydukiem warg mierzyła onże szął – natomiast trzej kolejarze w sile wieku rzeli jak konie na ten widok – dwie zakonnice podniosły i opuściły głowy a na ich woskowych licach wybarwił się rumieniec i t. d. i t. d. Jak widzicie stare nawyczki historyczno-sztuczne odzywają się we mnie, i ciągle obrazami się interesuję.

Jak Joanna z kokluszem, czy ją jeszcze męczy? Kamil jest zdrowy i ku mojemu przerażeniu domaga się pomarańczy (!?) Ja sam starzeję się i już pewnie w życiu magistrzem nie zostanę; jutro wybieram się pod Opole do POM-u w Dąbrowie Niemodlińskiej żeby zobaczyć i napisać reportaż dla tygodnika „Wieś”.

Bądźcie zdrowi wszyscy i tędzy,
śpijcie dużo, czy Mietek ciągle po nocach
pracuje? Robię mu z tego powodu ogromną
reklamę wśród ludzi z którymi rozmawiam
„potwornie chłopak pracuje” powiadam i t.d.

Całuję Was
jeden z wielu waszych gości

Tadeusz R.

P.S. Do Warszawy wybieram się koło 15–16 III
na dwa trzy dni – więc liczcie się
z tym, że powiększę (ewent.) liczbę
stałych gości.

Tadeusz

15000 1950 (1950)

Drogi Stary, Twój pierwszy list otrzymałem. Objętości był dla mnie naprawdę nieproporcjonalnie, 29.
Honoraj przyjechałem do „domu” ze spóźnioną wstęgą - produkcyjną. Siedzieliśmy kilka dni
w obrocie, stowarzyszeni, w kancelarii spóźnieni - (tęże pod uwagę je wzięli jęz dla flakla
równie trudny jak chiński -) wiele się dowiedziałem i robiałem. Teraz ma to do siebie
że z obrotu opadają różne rzeczy - widzi się, że to wszystko bardzo, ciężko idzie
i bieżąco jakis czas. Kiedy chiałem znowu robić coś z ubraniami fraszów, których
„kiedyś było” nigdzie nie ma - dobiegam do wniosku, że wstąpił
u nas pierwszy na kurs pustego fraszu - co oczywiście musi się skończyć ładowaniem
na niechęć. - Wyobraź sobie, że u każdej zsi - grzeczność to się walczy u której
po jej stronie zsi chłopcy (często biedni, niepełni, kady, prawie wszystkie kobiety,
inteligentne, wiejskie (apteczki, powiaty, naukowe, itp.).
nie ma) to i potęga - kościół: proboszcz, siostry zakonne, itd. - z drugiej
strony znowu ma grupę biednych chłopów - partyzant, ber, nioży, ber
winnos wszystkie organizacje jest - praca i rozrywka się (!). Rozmawiałem
z tymi zsi i inteligentnymi - no, oni są lojalni - ale przy każdej okazji
to są ci ludzie nieny - Rozmawiałem zsi trochę o tym o
rodni - u polski ai stoch od zapachu zsi, trawy, dno - no
piznie - a przy tym walczy, której, na oko, nie ma - której czegoś trzeba
wzgrzebywać, której trzeba pomagać - ci ludzie dnie pianny. Dile
porozu ile gadaniny - pełno tego trzeba odgarniać i czy ci robimy.
Odmów więcej me podobne rzeczy - we wszystkich demokracjach i wolności.
Myśl, że byś nie mógł ułamać i u nas to pominiemy więcej.
Podpunkt. Ma ten nasz pismo i miłośnik - miserowy niewiele. Pismo podobne
kilka dni nie ma leży na ogólnie - teraz u którego prawie wszystkie
możemy oświeconie. Między innymi mają bardzo starą najpiękniejszą „Europe”
(i jest u tym wsi prawy - przede wszystkim on). Murek cię - galeria
obrazów, dzieł, cię i ułamać ułamać ułamać (pod względem
ilości i jakości) byłem u akademii - obywateli wszystkich klasy przy
pracy malowania - naby - morali. Dile się możemy ułamać i ułamać -
u to rektor folus - z ułamać; który ułamać - to tutaj o wiele więcej
prawy z ułamać - to też ułamać ułamać - to tutaj o wiele więcej
grupy ułamać z drugimi i trzecimi, albo ułamać ułamać - modelki -
modelki ai za ułamać ułamać - Kierownictwem ułamać naby jest bardzo
ułamać ułamać ułamać ułamać Stróbl - stary jęz. Byli ułamać
poinic z ułamać ułamać ułamać ułamać. Pokazywał nam żywy cę.
ułamać ułamać ułamać ułamać - ułamać ułamać - Głównie G.B.S. - Cytat
ułamać ułamać ułamać ułamać - ułamać ułamać ułamać ułamać
Na ułamać ułamać ułamać ułamać ułamać ułamać ułamać ułamać
Stróbl pokazywał listy od ułamać ułamać ułamać ułamać - ułamać
i ułamać: „demokraty”. Teraz naby pierwszy ułamać ułamać ułamać
demokraty i t.d. Dowiedziałem się od niego, że ułamać jest ułamać ułamać
- co ułamać ułamać ułamać ułamać

Drogi Stary, Twój piękny list otrzymałem. Objętość była dla mnie naprawdę niespodzianką. Wczoraj przyjechałem do „domu” ze spółdzielni rolniczej-produkcyjnej. Siedziałem kilka dni w oborach, stodołach, w kancelarii spółdzielni – (biorąc pod uwagę że węgierski jest dla Polaka równie trudny jak chiński –) wiele się dowiedziałem i zobaczyłem. Teren ma to do siebie, że z człowieka opadają różne złudzenia – widzi się, że to wszystko twardo, ciężko idzie i będzie tak szło jakiś czas. Kiedy chciałem przymierzyć całe ubranko frazesów, którego „lekką ręką” używają moi koledzy po piórze – doszedłem do wniosku, że młodzi u nas płyną na kurs pustego frazesu – co oczywiście musi się skończyć lądowaniem na mieliźnie. – Wyobraź sobie, że w każdej wsi, gminie toczy się walka w której po jednej stronie są chłopci (często i biedni, nie tylko „kułacy”), prawie wszystkie kobiety, inteligencja wiejska (apteka, poczta, nauczycielstwo, doktor, weterynarz, przedszkolanka itd. (to, że są w partii nic jeszcze nie mówi) no i potęga – kościół: proboszcz, siostry zakonne itd. – z drugiej strony zazwyczaj mała grupa biednych chłopów – partyjnych, bez szkoły, bez uświadczenia politycznego, kadry aktywistów słabe, agitatorzy słabi – ale mimo wszystko organizacja jest – pracuje i rozwija się (!). Rozmawiałem ja na tej wsi z inteligencją – no, oni są lojalni – ale przy każdej okazji wychodzi z tego worka kilka szydeł. Rozpisałem się trochę o tym bo to są ciekawe rzeczy – Rozumiesz wiosna na wsi: wszystko kwitnie, rośnie, rodzi – na polach aż słodko od zapachu zboża, trawy, drzew – no pięknie – a przy tym walka, której na oko, nie ma – którą często trzeba wygrzebywać, której trzeba pomagać – ciekawe dwie płaszczyzny. A ile pozorów ile gadaniny – pełno tego trzeba odgarniać żeby coś zobaczyć. Odcinek wiejski na podobne cechy – we wszystkich demokracjach ludowych. Myślę, że będę niedługo w Warszawie i u Was to pomówimy więcej.

Budapeszt. Ma teraz około półtora miliona ludzi – zniszczony niewiele. Pięknie położony, kilka dzielnic miasta leży na wzgórzach – Dunaj na którym prawie wszystkie mosty odbudowane. Niewiasty mają bodaj sławę najpiękniejszych w Europie (i jest w tym coś prawdy – przede wszystkim oczy). Muzea ciekawe – galeria obrazów duża, ciekawsza i wartościowsza od warszawskiej (pod względem ilości i jakości). Byłem w Akademii – obejrzałem wszystkie klasy przy pracy malarstwa – rzeźby – mozaiki. O ile się mogłem zorientować i mówił mi to rektor Solus – z warszawskiej szkoły sztuki plastycznej – to tutaj o wiele więcej pracują z żywego modelu – toteż w każdej sali trafialiśmy na nagusa, grupę nagusów z drągami, łopatami, albo wdzięczną niewiastę – modelkę – modelki aż za ładnie zbudowane – . Kierownikiem oddziału rzeźby jest bardzo znany i ceniony na Zachodzie rzeźbiarz Strobl – starszy jegomość. Byliśmy później z wizytą w jego prywatnej pracowni. Pokazywał nam głowy całej królewskiej angielskiej rodziny – bardzo udane – Głowę G.B.S.^A – Czytał nam kilka listów Shawa bardzo dowcipnych – poza tym można tam było zobaczyć wielu lordów angielskich,

generałów niemieckich i t.d. wszystko dobra robota. Na biurku obok siebie stoją fotografie króla angielskiego i Stalina – Pan Strobl pokazywał listy od króla angielskiego (rzeczywiście bardzo skromna papeteria) i mówił: „demokrata”. Teraz rzeźbi piękny posąg Ufności, dobrą głowę, Lenina i t.d. Dowiedziałem się od niego, że Shaw jest świetnym dramaturgiem, co mnie tak oszołomiło, że [...]

Pokazywał nam też piękną kozetkę – dar od marszałka Woroszyłowa – potem pokazywał mi swoje muskuły (ma 60-tkę) rzeczywiście tęgie – a na zakończenie wypiliśmy po dużym kieliszku palinki (tutejszej wódki) i p. S. powiedział, że miał piękne życie. Tak więc opisałem Ci jedną z dość licznych wizyt. Dla Budapesztu charakterystyczne są, wielkie, czerwone, neony – pięcioramienne gwiazdy na wszystkich zakładkach fabrycznych i większych obiektach – świecą cały wieczór i noc. Ciekawe też rzeczy widziałem w szkole artystycznej przy kopalni węgla w Tatabanyi. Piszesz, że wyobrażasz sobie jak tu „spędzam czas” – ej, chyba nie! Z Tobą to podobieństwo, że chodzę tu dużo do kina na mierne filmy. A poza tym? Jak będę w W-wie, to się spytaj – opowiem. Jeśli Cię to ciekawi. Myślę, że zobaczymy się niedługo. W Budapeszcie też jest dobra muzyka i koncerty (no ale ja z tego nie korzystam – bo nie słyszę co grają). Za to balet w operze jest taki, że naprawdę człowiek, wstydzi się swojego spokojnego mieszczańsko-robotniczego żywota – takie brzuchy, nogi, piersi i tego cała kupa i muzyka do tego. – Właściwie to są prawie diabelskie sztuczki. Teraz są tu ciągle burze – siedzę wieczorem przy zgaszonym świetle i patrzę jak pierony walą na całe niebo i świecą błyskawice.

Nasz chłopiec, który się urodził na początku marca jest tęgi, zdrowy, silny i ma na imię Kamil. Wisława czuje się dobrze. Gdyby się nam udało jesienią to byśmy odwiedzili Was razem tylko, że nigdy nie wiadomo jak się tołoży.

Sztuki teatralne i teatr są tutaj takie sobie. Sztuki o tematyce współczesnej autorów węgierskich przeważnie nędzne.

Wasze przenosiny do Warszawy to na pewno szczęśliwy pomysł. Z tego co mi piszesz wynioskowałem, że urządziliście się (jak na Warszawę) zupełnie dobrze. Ja myślę, że ten Kraków przy jego wszystkich pięknościach – ma złe powietrze – może jak go przewiercą do „Giganta – huty stali” znów powieje tam inny wiatr. I dla Ciebie dobrze – bo mówiąc między nami – w Krakowie jako krytyk pracowałbyś w zatrutej mocno atmosferze. Po prostu w Warszawie będziesz (tak myślę) pracował w czystym powietrzu. Piszesz o Grupie Krakowskiej, że może nawet nie widzieli wysawy, to byłoby nie-dobrze – szkoda. Do zobaczenia. Ściskam Cię serdecznie

Tadeusz.

P.S. Hani dziękuję za pozdrowienia. Jak wrócę obiecuję jej przywieźć serię zdjęć zrobionych w czasie pamiętnej wizyty w Międzyzdrojach – niech tylko będzie cierpliwa. Poza tym życzę jej dobrego zdrowia.

T.

Kochany Stasiu, przed godziną wróciłem z King-Konga" (prod. Laurentis).
pode mną siedziaty "Tabli" (lat 7-8)... bilety po 30 zł! Pamiętam
- King-Konga "i kinem - na tydzień mowy, żeby dzień wypuścić (i chyba
"młodzieńcy oholniej ki nie!) ja nie byłem... Który to rok?! 1935?!
Nie pamiętam? Na kinem "niechciał King-Kong (reklama) i trzymał
na dloni blondynki i "negliżu". Nie pomyślał, Stasiu, do Zeligmanego,
byłem sprawdzie na dloni - ale wczasygnawce na widok ognika
i nie ani do Urakova, ani do Zeligmanego. Pewnie się zobaczymy
i Warnerie? Mielisimy gości, (dużego kłumna i port z donaldem
Cerniawskiego - z rodziną) jutro wybieramy się na pantomimę
Tomanewskiego... Babcia wisi ogórki... ja wyśmiałem trochę no
wstał bibliotekę - ostatnio 10 książek o obywateli śmierci -
(tak. Takie się zapomniał!) pociągłem to jak rekonstrukcja
ramienia. Wydaje mi się, że młodzieńcy nana powstania
to wyśmiał... to sam King-Kong nie załatwi zięcia i pamięci...
dłonie myśli mi chodzić po głowie... próbuję pisać poemat
o E. Poundzie - ramieniem pmer roślaków w klatce - ten
czymśalny poetą jak wien w czasie wojny orkalować prezydenta
Roosevelta a chłabi Hitlera i Mussoliniego... może gdyby
był i Majdanek albo Treblince... rozumiałby wygłosz...
między Celin, Benn, Hamann, Karajan, Gröndgens...
i jenne paru Francuzów i Anglików... też się "pomyśli"...
"Es geht alles vorbei, es geht alles vorbei"... Nie wiem na jaki
temat decyduję się... Tępy coś konkretnego już umówiłeś z Hebe-
-nowskim - czy jedyną jesienią do Sopota? Wada dener, jeśli się
nie wróci do kupy... to się rozeleś na elementy pierwsze, albo
ramieniem i wziętą sharpetkę.

Sześcian Was, Chłopy - dla Dzierzgot uciadowania

Tablen

78.8.78r

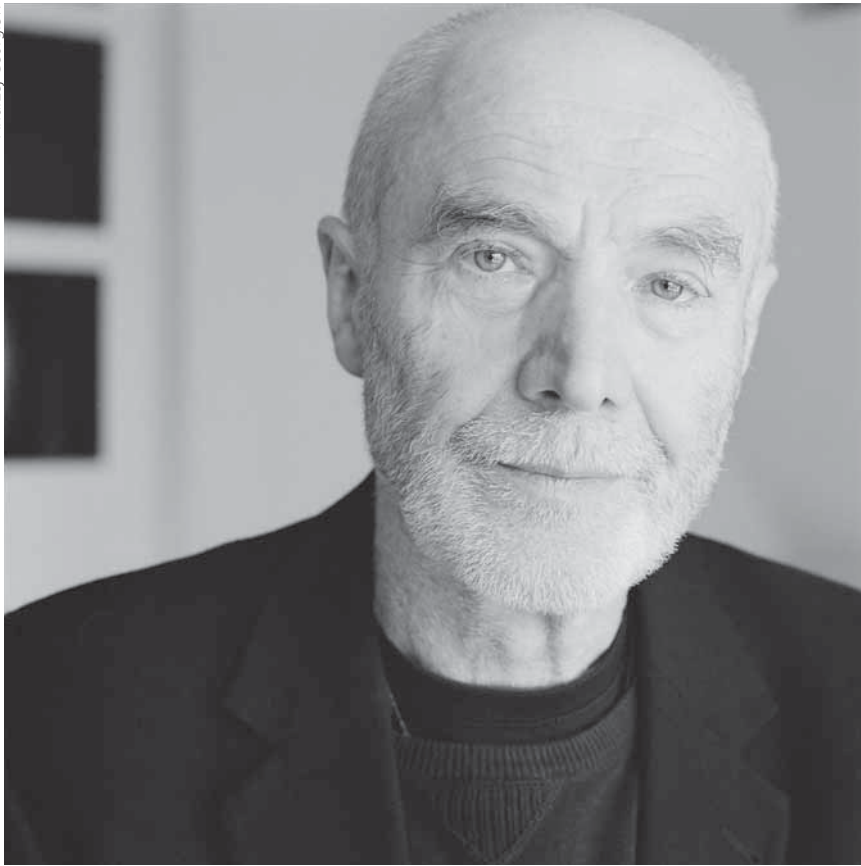
Kochany Stasiu, przed godziną wróciłem z „King-Konga” (prod. Laurentis) przede mną siedziały „łebki” (lat 7–8)... bilety po 30 zł! Pamiętasz „King-Konga” w Kinemie – nie było mowy, żeby dzieci wpuszczali (i chyba młodzieży szkolnej też nie!) ja nie byłem... Który to rok?! 1935?! Nie pamiętasz? Na „Kinemie” siedział King-Kong (reklama) i trzymał na dłoni blondynkę w „negliżu”. Nie przyjadę, Stasiu, do Zakopanego, byłem wprowadzie na dworcu – ale zrezygnowałem na widok ogonka; więc ani do Krakowa, ani do Zakopanego. Pewnie się zobaczymy w Warszawie? Mieliśmy gości (mojego tłumacza i poetę z Londynu Czerniawskiego – z rodziną) jutro wybieramy się na pantomimę Tomaszewskiego ...Babcia kisi ogórki... ja czytam kolejno całą bibliotekę – ostatnio 10 książek o obozach śmierci – (tak łatwo się zapomina!) przeżyłem to jak rekwizyty zamknięte. Wydaje mi się, że młodzież nasza powinna to czytać... bo sam King-Kong nie załatwi życia i pamięci... dziwne myśli mi chodzą po głowie... próbuję pisać poemat o E. Pound’cie – zamkniętym przez rodaków w klatce – ten genialny poeta jak wiesz w czasie wojny szkalował prezydenta Roosevelta a chwalił Hitlera i Mussoliniego... może gdyby był w Majdanku albo Treblince... rozumiałby wszystko... niestety Celin, Benn, Hamsun, Karajan, Gündgens... i jeszcze paru Francuzów i Anglików... też się „pomylili”... „Es gehet alles worüber, es gehet alles worbei”... Nie wiem na jaki temat decydujesz się... I czy coś konkretnego już umówiłeś z Hebanowskim – czy jedziesz jesienią do Sopotu? Pada deszcz. Jeśli się nie zbiorę do kupy... to się rozlecę na elementy pierwsze, albo zamienię w zużytą skarpetkę.

Ściskam Was, Chłopcy – Dla Dziewcząt ucałowania

Tadeusz

18.8.78r.

Andrzej Georgiew



RYSZARD KRYNICKI

10 maja 2008

Dziewczyna
w kusym T-shircie
i biodrówkach
jakie jeszcze nosi się
w tym sezonie

niepewnie
uśmiecha się do obiektywu

Nieznajomy
którego o to przed chwilą poprosiła
robi jej
pamiątkowe zdjęcie
na tle szeroko otwartych
ozdobnych drzwiczek

krematoryjnego pieca
w Mauthausen

Ryszard Krynicki



G Ł O S Y I G Ł O S Y

NA 70. URODZINY
RYSZARDA KRYNICKIEGO

JULIA HARTWIG

Słówko o poezji Ryszarda Krynickiego

Podróż jest jednym z żywiołów poezji Ryszarda Krynickiego. Jest obietnicą, spełnieniem, drogowskazem, który wieść może ku nicości. Motto zbioru poezji Ryszarda Krynickiego, wzięte z *Podróży do piekieł* Bolesława Micińskiego brzmi: „Podróż może być poszukiwaniem samego siebie, może być ucieczką przed sobą, może mieć charakter pokuty”. Przyjaciele Ryszarda Krynickiego wiedzą dobrze, jak ważną rolę odgrywają podróże w jego życiu, jak często bywa on w drodze.

A przecież jest człowiekiem wielkiej pracy. Mimo to widzę go tak, jak w jego wierszu *Purgatorium*:

Nocą, w pustym przedziale. Niczego
nie pragnę, nikogo się nie obawiam. W oddali
pełgają ogniki czyśćca: mojego miasta.

Związany z kulturą niemiecką, tłumacz poezji niemieckiej, wielokrotnie przemierzył tamten kraj od Berlina do Kolonii, od Monachium do Düsseldorfu. Wiedeń, miasto, w którym się urodził, często bywał mu zapewne po drodze, a w najdalszych swoich podróżach zawadził nawet o Japonię, ojczyznę swoich

ukochanych haiku. Wspominam o tych rzeczywisłych podróżach, aby uwierzyć tak częste użycie motywu podróży w jego wierszach.

królestwo moje nie jest z tej parafii
królestwo me kalectwo z innej jest ucieczki
z kalectwa ucieczki jestem syn przymusowej podróży

Podróż ta nie jest, widać, podróżą byle jaką, jest podróżą tego, kto nieustannie szuka dla siebie miejsca: „przeznaczony z ostatniej poczekalni – dokąd mam uciekać z dworca wieczoru”. Towarzyszą mu w tej drodze „zorce, świty i tajemne znaki”, bo ten, który podróżuje, jest poetą uwiedzionym przez podróżę.

królestwo moje nie jest z tej parafii
królestwo me kalectwo z innej jest ucieczki
z kalectwa ucieczki jestem syn przymusowej podróży
na bezdrożu podróży rozbić mi namioty (...)

Pamiętam takie zdarzenie z dawnych lat, gdy wracając z jakiegoś spotkania w Łodzi, późną już nocą, mineliśmy niespodzianie wylaniającego się z gęstego obłoku ciemności samotnego przechodnia, w którym rozpoznaliśmy poetę, którego nazywam tu poetą podróży; minął nas i zniknął z naszych oczu tak szybko, jak się pojawił.

W poezji Ryszarda Krynickiego życie jest to „podróż trwała, jak z wysokiego mostu spadanie, nieskończona choć ograniczona snem i rozkładem zdań”. I jest „jak czytanie obcojęzycznej książki zbudzony w bezsennym śnie czytam tę podróż od końca w nieznanym języku”. Do języka tego wraca w mowie miłosnej:

(...) mieszkamy przez skórę za daleko,
by mówić o rozłące; trwało to między nami jak zbyt długa podróż. (...)

kosmyk włosów mi zostaw, ścieżkę twej odmowy, kosmyk krwi z krwiobiegu
podróży (...)

udaj się w podróż – nieruchomą – która przybliży ci nieruchomy świat
ulotna podróż, która cię utrwali
w jaskrawo białym świetle poranka

I udaj się w podróż-śmiertelną – w której zmartwychwstajesz.
udaj się do nieznanego kraju, którego stolicą mogłoby być nieznanie

Choć poezji takich pytań się nie zadaje, zaryzykuję: do jakiego kraju wybierają się poeci i czym jest podróż, o jakiej mówi w zacytowanych tu wersach? Sam ich autor, jakby przewidując, że takie pytanie może być zadane, ubiega je, zapytując jakby w cudzym imieniu:

„Co ukrywasz pan pod płaszczkiem podróży?”.

Agresywna forma tego przypuszczalnego pytania i wyczuwalna w nim niechęć do autora wierszy, zdaje się wskazywać na odbiorcę niechętnego, podejrzliwego i niezbyt z poezją obeznanego. A na to pytanie jest tylko jedna odpowiedź:

Bo to są, proszę pana, wiersze oniryczne.

KATARZYNA HERBERT

Ryszarda Krynickiego poznaliśmy w latach siedemdziesiątych. Należał wówczas do młodych poetów z grupy „Nowej Fali”. Zbigniewa Herberta bardzo interesowali ci młodzi, zapowiadający się znakomicie koledzy. Bliższa znajomość zawiązała się, gdy Zbigniew Herbert odwiedził kilka razy Poznań z odczytami. W mojej pamięci utrwaliło się spotkanie z Ryszardem i Krystyną Krynickimi, gdy odwiedziliśmy ich w Poznaniu, w mieszkaniu przy ulicy Chrobrego, gdzie właściwie mieszkali najpierw książki, a potem Oni wraz z małą wówczas Natalią – córką. Było to mieszkanie w bloku, bardzo małe. Już wtedy zaczęli wydawać książki, zawsze bardzo starannie przygotowane zarówno od strony redakcyjnej, jak i graficznej. Kiedy przenieśli się do Krakowa, w tym czasie Herbert był już bardzo chory i Ryszard czasem przyjeżdżał do Warszawy, i wtedy odwiedzał Zbigniewa.

89 wierszy Herberta jest wyborem autorskim, ale bez pomocy Ryszarda, który cierpliwie wspomagał autora, byłoby trudne przygotowanie tego tomu. Cóż mogę jeszcze powiedzieć? Nie byłoby książek Herberta na rynku księgarskim, gdyby nie praca Ryszarda nad odczytywaniem rękopisów, aby do perfekcji doprowadzić teksty, które ukazały się potem w tomach wierszy wydanych przez a5.

Ryszard jest wspaniałym, bardzo lojalnym przyjacielem i jestem szczęśliwa, że mogę się zaliczyć, tak mi się wydaje, do grona jego przyjaciół.

JACEK GUTOROW

Jechaliśmy z Mińska do Nowogródka. Było słonecznie, potem burzowo, a na bis pojawiła się wspaniała tęcza. Białoruś, bez dwóch zdań. Parafrazując znaną wypowiedź Bolesława Leśmiana chciało się wykrzyknąć: „Były tam lasy mickiewiczowskie, ach, drogi panie, co za lasy”. Z Panem Ryszardem Krynickim ucięliśmy dłuższą (jak na nas) pogawędkę. Chciałem zapytać o liryki lozańskie, temat jakoś się wymknął. Ciekawiła mnie opinia Pana Ryszarda, wszak jego poezja jest zupełnie wyjątkowym na mapie poezji polskiej przykładem autentycznego, poruszającego minimalizmu, minimalizmu niebanalnego, opartego na jakimś intuicyjnym, a może językowym, zrozumieniu ciszy, jej wygórowanych warunków i niełatwych do spełnienia oczekiwań. Ale pochłonął nas pejzaż. Komuś, kto łatwo traci głowę dla przestrzeni, niełatwo rozprawiać o poezji w takich warunkach. W każde słowo wtrącają się stępy, bagniska, bezdroża i niezęglowne rzeki. Chodziliśmy po Nowogródku, podglądaliśmy ludzi, przysłuchiwalismy się muzyce miejsca. W wielkiej ciszy popołudnia recytowaliśmy szeptem wiersze. Może raczej pojedyncze słowa. Ciche, strzeliste, wczesnojesienne światło. Nad wodą wielką i czystą.

BOGUSŁAW KIERC

„Byt pojedynczy, rozdwojony w sobie”

Na początku jawnego wdawania się w sprawy poetyckie, jego wiersze były mi najbliższe spośród publikacji moich rówieśników. Podobala mi się ich konkretna cielesność i mówienie świadome mówienia. Takie mówienie.

Ówczasie podporządkowywano je kryteriom rygorów, gier i zabaw językowych tak zwanej poezji lingwistycznej, ale język liryki Ryszarda Krynickiego był od razu – także w kategoriach kompozycji – „dzikim mięsem”. Nie tylko frazeologicznie jako nadmierna ziarnina, rozrastająca się na trudno gojących się ranach, ale i w osobnych pojęciach dzikości i mięsności. Dzikiej mięsności.

Kiedy teraz o tym piszę, jawi mi się *Ukrzyżowanie* Grunewalda z ołtarza w Isenheim. Podobnie odczuwam to, co od zawsze było istotnym walorem poezji Krynickiego, a w miarę lat stało się jej wyróżnikiem – etyczną bolesność ironii; we wczesnych wierszach dynamizowanej przez kontekst społeczno-polityczny.

Wierni czytelnicy autora *Magnetycznego punktu* wiedzą, że włączając do nowych zbiorów, poprawia dawne wiersze i że nie są to poprawki zadość czyniące wysokim normom sztuki poetyckiej jedynie. W przestrzeni między wersją dawną i nową mieści się coś, co nie ma ustalonego wyrazu, odbłask, refleks niepochwytany jest i nie jest świata.

Nad *Organizmem zbiorowym* umieścił motto z *Mostaru* Juliana Przybosia: „Świat nie-i-jest”. Czytam tę formułę jako fundamentalną dla ontologii poetyckiej Ryszarda Krynickiego.

Mostar pojawił się w styczniowym numerze „Poezji” w 1966 roku (później włączył go Przybóś do zbioru *Kwiat nieznany* z roku 1970). Nie dociekam tutaj, jakie konsekwencje mogła mieć (i zapewne miała) lektura tego wiersza w uwyrażeniu epifanii Ryszarda, „albo – wiem poezja bywa – jeśli wcześniej jest, / jak transfuzyjna krew i przeszczep serca...”.

Przybosiowe „nie-i-jest” uwydatnia Krynickiego dynamiczne nieistnienie – przeczuwane i odkrywane w najwcześniejszych wierszach: „O czymkolwiek powiedziałeś, że jest – w nicość się przemienia: / (...) / dla Najwyższego tyle znaczy nieistnienia, / co list, który nie napisany – a otwarty – płonie”.

A w dedykowanym Zbigniewowi Herbertowi *Przekreślonym początku* (który stał się tytułowym wierszem najnowszej książki wydanej przez Biuro Literackie):

Przekreślony początek, z drugiej
strony: biel,

pośród nich tyle życia, nie
do wyrażenia –

– to jeszcze kartka papieru: zmięta
w popielnicze płonie

już mała nieskończoność? nic?
niewielki światła i cienia

Między jedną a drugą stroną kartki „tyle życia, nie / do wyrażenia” – i to tyle życia płonie! Te rozmaite pomniejszone modele nieskończoności (nicości)

w wierszach Krynickiego wznicią coś (coś?) w rodzaju *hieron chrema*, świętego ognia. W jego żarze, blasku czy tylko – błysku mieszczą się nieobrzeżone czasy i przestrzenie. (Jak we śnie). Pod *Przekreślonym początkiem* jest podwójne datowanie: 1974; 1985. *O czymkolwiek mówisz* następuje zaraz po *Kto wybiera samotność* na początku *Organizmu zbiorowego* z 1975 roku. W *Magnetycznym punkcie* (1996), będącym wyborem wierszy, *O czymkolwiek mówisz* nie ma. Brak również motto z Przybosia, a drugie motto, które poprzedzało *Organizm zbiorowy*, znane zdanie Blake'a o drzwiach percepcji, ma zamiast słowa „oczyścić” słowo „odsłonić”.

To są – powiem prymitywnie – decyzje i czynności poetyckie o zasadniczym znaczeniu. Świadczą o tym, że pątnik jest już w innym miejscu, na innej wysokości czy głębokości (wgłębności) swojej podróży (mogącej – jak u Micińskiego – mieć charakter pokuty i kary). Że będąc niemal w bezruchu, w niewidzialnym migotaniu nie-i-jest, znalazł się po stronie jest, gdzie z nicości prześwituje coś. Jak w tym fragmencie *Zoharu*, kiedy z ukrycia w nieskończoności, wyłania się ciemny płomień, który dopiero przybrawszy wymiary przestrzenne, rozbłyśkuje kolorami. Albowiem wewnątrz płomienia biło źródło i z niego wytrysnął najwyższy punkt (*reszít*), pierwsze słowo stwórcze.

Myślę o tych pozorach bezruchu, o cienkości grzbietu kartki, kiedy wypada mówić o starym poecie Ryszardzie Krynickim. Śmieję się, bo Ryszard pewnie nigdy nie będzie starym poetą, także dlatego, że protuberancja jego światła, jego Wielki Wybuch nastąpił w młodości, którą natychmiast rozpoznał jako podróż właśnie. On stale jest w podróży. W tej podróży.

I choć niestały, stary Julian Przyboś nie dożył siedemdziesiątki, a ta miara lat była całością doczesnego życia Kawafisa, wydaje się, że skalę czasu wyznacza Ryszardowi Krynickiemu miłorząb japoński, długowieczne drzewo, *gingo biloba*, rozslawione przez Goethego, na którego cześć posadził je autor *Kamienia, szronu*. Dwoista pojedynczość: „*Fühlst du nicht an meinen Liedern, / Dass ich eins und doppelt bin?*”.

Moja pozornie żartobliwa konstatacja chce uwydatnić ważność tego, co w liryce Jubilata jest wspólnotą czy osmozą bytów; byciem wobec i wśród bycia zwierząt, drzew, kamieni, obłoków. Wyczuleniem na „cichnący psalm ziemi, nieme nawoływanie się / planet, pożegnanie galaktyk”.

PIOTR KŁOCZOWSKI

„A poza tym dzisiaj rysuje się możliwość trzeciej fali: np. nowe wiersze Krynickiego są jak pchnięcia w serce – zwłaszcza dla krytyka: tak nikt nie pisał, chyba bardzo, bardzo dawno temu...”.

Jan Błoński latem 1978 roku w wywiadzie dla „Więzi”! To zdanie udało się przemycić redaktorom mimo zapisu cenzury na Ryszarda Krynickiego. Dzisiaj, ta trzecia fala z 1978 roku wkroczyła w czas swoich bogatych spełnień, historii indywidualnej drogi, rzeczywistej obecności, po latach pracy duchowej, intelektualnej, poetyckiej. Krynicki, Zagajewski, Barańczak... są dzisiaj dla nas zupełnie różni, nie do pomylenia. Każdy z osobnym miejscem w naszym życiu. *Sérénité* i melancholia Zagajewskiego, poezja wymykania się świata i czasu Barańczaka. Tylko nie wiem, dlaczego wiersze Krynickiego – kilka jego wierszy – są nadal i zawsze „jak pchnięcia w serce”...

KRZYSZTOF LISOWSKI

Podobają mi się wiersze Krynickiego, z późniejszego okresu, te krótkie, skupione i jeszcze późniejsze, z których wiele w oszczędnym najnowszym wyborze *Przekreślony początek*, te, które Stanisław Bereś określa zbiorowo jako „olśnienia metafizyczne, fenomenologię snu i stanów uczuciowo-kontemplacyjnych”.

„Niepodlegli nicości” – ten program, który był też przesłaniem Czesława Miłosza – odpowiada mi. Uwagi godna jest jego pokora i upominanie się o Nieobecnych, jak w wierszu o Abrahamie Suckewerze. Widać, dzięki takim i podobnym tekstom, że poeta myśli niezwykle poważnie o całym „gospodarstwie poezji” polskiej, daje świadectwo, uchyla bram niepamięci.

Krynickiego warto wysoko cenić jako tłumacza liryki niemieckojęzycznej, z której dokonał wiele przejął do swojej twórczości.

Poetę zobaczyłem po raz pierwszy bodaj w krakowskim klubie Pod Jaszczurami, na kameralnym spotkaniu, na które przyniosłem dwa jego zbiorki wy-

dane w krakowskiej bezdebitowej oficynie KOS – *Niewiele więcej i Nasze życie rośnie* (z ilustracjami Jana Sawki). Na tym ostatnim podpisał mi się: „w Krakowie, 15 czerwca 1987”.

ADAM MICHNIK

Uwagi o wierszach Ryszarda Krynickiego

Pisano często o polemice Krynickiego ze „światem gazety”. Dlaczego pisał o gazecie? Dlaczego szydził z dziennika telewizyjnego? Bowiem świat, w którym żyliśmy, był skodyfikowany przez swój propagandowy obraz: oficjalny zapis był rodzajem ramy obowiązkowej. Słowa i zakłęcia przylegały do rzeczywistości, oblepiały ją, określały jej kształt. Życie było oblepione gazetą, ukryte w jej wnętrzu – język płacht gazetowych skrywał prawdę życia. Krynicki – obok Barańczaka, Zagajewskiego i kilku innych jeszcze – przegryzał się przez te zwały gazetowego papieru drukowanego kłamstwem. Tak rozumiem sens jego wysiłku: odkrycie i nazywanie rzeczy prawdziwym słowem; wyzwolenie własnej wrażliwości przez poddanie języka kłamstw rytualnych próbie języka własnego, przez brutalną, choć ironiczną konfrontację obu języków. (...)

Miłość i czyszciec. Przez to zostaliśmy naznaczeni. Trudno opowiedzieć o tym naznaczeniu, które nosiliśmy z dumą, jak inni rozetki Legii Honorowej. Poznałem Ryszarda Krynickiego gdzieś na początku lat siedemdziesiątych, po Wielkim Szoku, jaki przyniosły poprzednie lata. Było to – pamiętam – w Poznaniu, w mieszkaniu Stanisława Barańczaka. Wznowiłem w trybie eksternistycznym studia i uczyłem się po nowemu myśleć o tym, co wokół. Miałem za sobą relegację z uczelni, półtora roku więzienia, dwa lata pracy w fabryce jako spawacz. Spotykaliśmy się w poznańskim mieszkaniu Ani i Staszka Barańczaków, chodziliśmy po ulicach i knajpach, rozmawiając o polityce i literaturze. O polityce może najwięcej, o literaturze – z pewnością najciekawiej.

Ryszard i Stanisław byli już autorami głośnych wierszy, tomów poetyckich. Teatr Ósmego Dnia przygotował cały spektakl oparty na wierszach Barańczaka. „Odra” opublikowała słynny wiersz Krynickiego *Nasz specjalny wysłannik*, który był brutalnym skwitowaniem stosunku poety do komunistycznej propagan-

dy i komunistycznej rzeczywistości. O tym było już głośno w Polsce. Co różniło tych poetów od wielkiej rzeszy ich rówieśników? Talent? Nie tylko talent. Bunt? Bunt przeciw rzeczywistości jest naturalną i częstą formułą poetyckiego debiutu. Bunt jest często sposobem na zaistnienie na literackim rynku, metodą osiągnięcia znaczącego miejsca.

Krynicki, Barańczak, Zagajewski przeciwnie. Skazywali się stopniowo na ostre cięcia cenzury, zaś później także te ich pochlastane już przez cenzurę tomy wierszy nie mogły ujrzeć światła dziennego. Poeci zaczęli podpisywać listy protestacyjne przeciw ograniczaniu swobód obywatelskich, przeciw represjom wobec opozycji demokratycznej. Potem zaczęli publikować swoje utwory w prasie podziemnej, co stało się jednym z ważnych źródeł znaczenia tej prasy. Na oficjalnym rynku nie istnieli – wybrali niebyt. Zrezygnowali z oficjalnego uznania, z nagród, z miejsca w TV i na czołówkach prasy literackiej. Poeci – sami tego może nie wiedząc – wypracowywali nowy język rozmowy o rzeczywistości. To dzięki nim nasza generacja – pokolenie '68 – mogła porozumiewać się własną mową. Przestaliśmy być niewolnikami cudzych słów – zdobywaliśmy odrębność i wolność.

Rysiek mówił niewiele, słuchał uważnie. Staszek podobnie. Ale nad każdym z ich słów ciążył wielki bagaż przemyśleń i intuicji, do których zdolni są tylko poeci. Tylko poeta – myślę – potrafi zajrzeć rzeczywistości pod skórę, w gąszcz zwojów mózgowych, w głąb serca. Poezja – jestem przekonany – jest rodzajem wiedzy tajemnej, a wiersz retortą alchemika i teleskopem.

Krynicki zawsze był poetą metafizycznym, szukającym Boga – bacznie wsłuchanym w głosy z zaświatów. Ale to on właśnie, wiosną 1977, na spotkaniu poetów w Kłodzku, mówił o powinnościach pisarza swojej generacji językiem zadziwiającej – niemal publicystycznej – prostoty; mówił o znaczeniu, „doświadczeń, narzucanych nam przez procesy społeczne i polityczne, mające tak istotny wpływ na nasze indywidualne doświadczenia oraz indywidualną odpowiedzialność, czyli na odpowiedź, której rzeczywistość od nas wymaga”.

Zastanawiał się: „Co zrobiłem, co zrobiliśmy dla ujawnienia prawdy o sobie, o nas, o czasie, w którym przyszło nam żyć?”. Mówił o „sumieniu” i „indywidualnej odpowiedzialności”, o potrzebie podjęcia wyzwania narzuconego przez współczesne procesy społeczne i wydarzenia polityczne. W ten sposób określał „odповідź, której rzeczywistość od nas wymaga”: „są to – mówił – problemy, których nie może pominąć żaden, świadomy czasów, w których żyje, poeta”. (...)

Jeden z najdziwniejszych wierszy Krynickiego nosi tytuł *Biała plama* i jest dedykowany pamięci Brunona Jasieńskiego. Ten wiersz został uśmiercony za-

nim powstał – los Brunona Jasieńskiego – za sprawą Krynickiego – stał się w polskiej tradycji literackiej swoistym znakiem kulturowym – znakiem unicestwienia kultury w obręczy totalitarnego komunizmu. To też był znak naszej tożsamości. Odrzucić tę obręcz, przekroczyć krąg zniewolonego umysłu – to nazwać zagrożenie. Tym zagrożeniem była cenzura. Ta zewnętrzna – symbolizowana przez nożyczki cenzora oraz ta wewnętrzna, obecna w mózgu pisarza, która w samym procesie tworzenia nakazuje eliminować tematy niebezpieczne czy choćby niewygodne. (...)

To chyba Jan Błoński powiedział, że wiersz Krynickiego jest jak strzał w serce. Często zastanawiam się nad naturą siły tej poezji, tak kruchej przecież i tak bardzo na obronę tego, co kruche, pomyślanej. Poza perfekcją artystyczną, przyczyn szukam w szczególnej perspektywie moralnej Krynickiego. Odczytuję w tych wierszach dziwny i piękny zapis zespolenia etyki heroicznej Conrada z wielką perspektywą metafizyczną. Szukanie i zespolenie rygorystyki moralnego wobec siebie z chrześcijańskim miłosierdziem wobec innych; chronienia statusu samotności poety wyklętego, ale wciąż solidarnego ze wspólnotą skrzywdzoną i poniżoną.

Powiada Stanisław Barańczak w pięknym esej o Krynickim, że ta poezja przebyła drogę od nadmiaru do ascezy. Dorzucę do tego: także drogę od snu do przebudzenia, od podróży pośmiertnych do realnego przekraczania bram więziennych, wciąż trwając w dialektyce samotności i solidarności. Sen był nadmiarem; przebudzenie wymusza ascezę. Dla Ryszarda Krynickiego – poety, który towarzyszy naszym czynom i rozmowom od dwudziestu paru lat – równie ważna jest decyzja nazwania zagrożeń zewnętrznych, jak i wewnętrznych. Problem cenzury zewnętrznej i wewnętrznej jest pytaniem o kształt egzystencji. To, co na zewnątrz: widmo opresyjnego Lewiatana. (...)

Ufna wiara, nieufna wierność, duma i pokora serca – oto los wyklętego (Poety? Myśliciela? Człowieka?) w naszej epoce. Nie jest to arkadyjski obraz losu człowieka. To raczej dość pesymistyczny zapis kondycji tego, który nie chce bić czołem i nie chce bić w twarz, by strawestować wiersz Barańczaka. Wszelako tylko tak osiągnąć można prawdę i jasność widzenia. Cóż bowiem może człowiek?

(Fragmenty szkicu pt. *Biały gołąb szeptu* z książki *Wyznania nawróconego dysydenta*, Fundacja Zeszytów Literackich, Warszawa 2003).

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI

R. K.

Od dziewiętnastu lat publikowane są w „Kwartalniku Artystycznym” wiersze, tłumaczenia i noty Ryszarda Krynickiego, a od czterech jego prezentacje wierszy Zbigniewa Herberta i te obecności są jak kaligraficzne zapisy: odrębne, precyzyjne, wyraziste. Pierwsze ukazało się tłumaczenie Jehudy Amichaja, potem Hansa Arpa, dwa razy Hansa Magnusa Enzensbergera, którego uważa za najwybitniejszego współczesnego poetę języka niemieckiego, Nelly Sachs, Paula Celana (cztery razy), Jürgena Fuchsa, Issy i Bertolta Brechta. Przedstawiliśmy trzy wkładki ze zdjęciami jego autorstwa, dwie rozmowy i wypowiedzi w ankietach.

Do „Trzech wierszy” wybrał *Bądź zdrowa!* Tadeusza Micińskiego, *Krzywdę* Beaty Obertyńskiej i *Jurgowską karczmę* Jerzego Lieberta, które od czasów młodości robią na nim niezwykle wrażenie i do dziś odbiera je bardzo emocjonalnie. Na „Po co pisać?” odpowiedział lapidarnym zapisem:

po co

(genezis z ducha
świętego
Mirona Białoszewskiego:)

po co
piszę po
nic co

po

Ile jest w tych słowach powiedziane, a ile przemilczane, zatrzymane jakby w lustrzanym odbiciu, po obu stronach. Szczątkowe, zanikające wersy otwarte na bezmiar i pustkę i zasklepione w sobie, zwarte, wypełnione działaniem i rezygnacją, usiłowaniem powiedzenia czegoś i niemożnością, dążeniem do pójścia naprzód i wycofywaniem się, ruchem to w jedną, to w drugą stronę.

W rozmowie oraz w komentarzu do „Trzech wierszy” mówi o kompleksie niezadomowienia, o randze *Don Kichota*, *Pani Bovary* i *Auto da fé* – arcydzieł, które wywarły na niego wielki wpływ także dlatego, że stawiają literaturę i życie nią w stanie podejrzenia, o znaczeniu dzieł Franza Kafki, Brunona Schul-

za, Sofoklesa, Williama Shakespeare'a i Fiodora Dostojewskiego, o wierszach Tadeusza Peipera i Mikołaja Sępa Szarzyńskiego, które kształtowały jego wyobraźnię, o Zbigniewie Herbertcie, Czesławie Miłoszu i Wisławie Szymborskiej, według niego najwspanialszych poetach współczesnych, dodając, że nie buntował się tylko przeciw Szymborskiej. Mówi o uwielbianym Issie i zdziwieniu, że napisał ponad trzy tysiące haiku, o podziwie dla Georga Trakla, Reinera Marii Rilkego, Guillaume Apollinaire'a, Maxa Jacoba, Welimira Chlebnikowa, Maryny Cwietajewej, Osipa Mandelsztama, Wystana Hugh'a Audena, Jehudy Amichaja, Natana Zacha, Reinera Kunzega, Josipa Brodskiego i z zastrzeżeniem Gottfrieda Benn'a, o szczególnej bliskości Nelly Sachs i Paula Celana, których tłumaczy od kilkudziesięciu lat. O Samuelu Beckettcie stwierdza, że czytając go ma wrażenie, że „dotyka on nicości od drugiej strony”. Bolesława Leśmiana, Aleksandra Wata, Stanisława Barańczaka, Mirona Białoszewskiego, Julia Przybosia, Marię Pawlikowską-Jasnorzewską, Józefa Czechowicza, a także Rafała Wojaczka wymienia jako poetów mistrzowskich. Taka jest jego mapa literacka. Wyznaje, że Biblioteka Poetycka, którą redaguje w Wydawnictwie a 5, jest w zamierzeniu kontynuacją Biblioteki „Zwrotnicy” i że nie wyobraża sobie życia bez możliwości kontemplowania obrazów, z których niektóre stara się przełożyć na język poezji; napisał wiersze dedykowane m.in. Janowi Lebnsteinowi, Henrykowi Wańkowi, Zdzisławowi Beksińskiemu i Leszko-
wi Sobockiemu.

Zapytany, kim jest dla niego Bóg i czym jest wiara w jego życiu, odpowiada: „Poszukiwaniem. Poszukiwaniem i drogą”.

Ładunek metafizyczny jest najważniejszą siłą i wartością tej poezji. Fascynują go i zajmują wiersze krótkie, kruche i ulotne, zachowane niekiedy jedynie we fragmentach, ułomkach, pojedynczych liniijkach, a ciszę i milczenie uważa za niezbędne składniki mowy, zastrzegając, że trzeba bardzo uważać, żeby ich nie nadużywać.

Podróż, sen i czas to ważne w tej poezji słowa-hasła. Jest w niej rozległa przestrzeń i ruch, wcielanie się w głosy i wcielanie głosów w siebie, szukanie punktów oparcia i znaków tożsamości. Mówi, że wiersz jest dla niego nadzieją i strachem spełnienia – to zastanawiające wyznanie. Ile jest w nim jeszcze wierszy nienapisanych, a także tych, które są nie do napisania?

Chodzi po śladach, krąży, kluczy, błądzi? Szuka osobnego miejsca, cichego schronienia, a może języka, który otworzy przed nim nowe możliwości?

Miłość i trwanie, czekanie, bezdomność i samotność, rozłączenie, śmierć, nic i niepodleganie jej – to także ważne słowa-hasła w tej poezji.

Metafizyczne błyski zjawiają się w *Niewiele więcej* (1981), chociaż były już obecne w *Nasze życie rośnie* (1978), gdzie mówi o zmartwychwstaniu świętego słowa, o modlitwie, o Wszechmogącym, którego Imienia nie ośmiela się wyznać i o krzyżu; przywołani zostają Simone Weil i Leszek Kołakowski.

Mottem *Wierszy, głosów* z 1987 roku są słowa z *Księgi starców*: „Mówiono o abba Agatonie, że przez trzy lata trzymał kamyczek w ustach, aż póki się nie wyćwiczył w milczeniu”. Jest wśród nich niezwykle wiersz bez tytułu:

Nie wiem, czy mam prawo
mówić, milczeć, dotykać
rany. Modlę się. Bez
słów. On

Wie.

Jest także *Purgatorium*, jeden z moich ulubionych wierszy, który pamiętam z pierwszej lektury w „Tygodniku Powszechnym”:

Nocą, w pustym przedziale. Niczego
nie pragnę, nikogo się nie obawiam. W oddali
pełgają ogniki czyścica: mojego miasta.

Wędrujemy po zimnych strefach i wspinamy się po stromych ścieżkach. Obcujemy z horrorem pustki, doświadczamy opuszczenia, widzimy, jak działa zło i jakim ratunkiem jest dobro.

Nadzieja w wierszach Krynickiego związana jest ze zmianą i z wypowiadaniem słów, z wydobywaniem się z milczenia, z dążeniem i nieustępliwością. Jest też w nich zwątpienie i żal.

W miniaturze, która kończy tomik, mówi:

(Z mistrza Eckharta
czy księgi Zohar?)

nic, Bóg

Czy te dwa słowa zostały napisane przeciw nicości i rozpacz, czy są tylko zapisem rezygnacji? W poprzedzającym wierszu z mottem z Herberta: „czy warto zatem zniżyć świętą mowę”, mówi:

(...)
grzeszny język,
którym nie chcę już mówić,

święta mowa,
której
nie czuję się godny

A tomik *Kamień, szron* sygnuje nakazem z Księgi Apokalipsy: „Zapieczętuj to, co mówiło siedem gromów i nie pisz tego” (10, 4).

Motta i dedykacje to ważne znaki w tej poezji.

Mówi mało, coraz mniej i jakby z większym wysiłkiem. Widzimy, jak skupiony jest na słowach, na trudzie ich wypowiedzienia i na milczeniu.

Wycofuje ze swoich wierszy całe wersy i zwrotki. Redukuje, zmienia, wierci dziury w języku. Zostawia za sobą nieme pytania.

Jest jak ślimak Issy, który wspina się na górę.

Dokąd idzie?

I dokąd dojdzie?

ANNA NASIŁOWSKA

Bez granic

To bardzo dobry pomysł, aby o poezji Ryszarda Krynickiego wypowiadało się wiele osób, zwłaszcza – poetów. Ta poezja jest bowiem wielogłosowa, co uderzyło mnie przy kolejnej lekturze. Jest tu Mistrz – Herbert. Ale są także odwołania do Miłosza, niektóre wiersze są nadbudowane na frazach z Miłosza. Odnośniki do Różewicza i do międzywojennej awangardy. Inne tropy to poezja niemiecka, przywoływana w mottach, tłumaczona i stale obecna. I jeszcze Pound, Auden, surrealizm. Żydowska mądrość. I jeszcze Issa, i medytacyjna wrażliwość haiku. Nie są to zapożyczenia, to obszar dialogu. Jest on ogromny; od Dalekiego Wschodu po Zachód, niezamknięty w granicach własnego języka. Czymże jest zresztą ta najbardziej własna kultura, jeśli nie – otwartym obszarem afirmacji, inspiracji i włączania. Pomimo tak licznych odwołań głos poety jest rozpoznawalny, brzmi mocno.

Wiele razy zastanawiałam się, czy istnieje jedna poezja światowa, czy jest ich wiele, związanych z idiomami poszczególnych języków, a jedynie połączonych kładkami i mostami tłumaczeń, które tworzą okazjonalną możliwość przejścia. Intelktualne formuły strukturalizmu, wpływowe u nas od lat sześćdziesiątych, traktowały poezję jako „język w języku” i jednoznacznie wiązały poezję

z systemem konkretnego języka. Potem już tak generalnych pytań o poezję nie zadawano, refleksja przeniosła się na inne tematy, dotyczyła fenomenu języka, który kategoryzuje doświadczenie tak mocno, że odniesienie do realności staje się problematyczne.

Lektura Krynickiego pokazuje, że nie jest utopią wyobrażenie poezji jako wielkiej republiki głosów w otwartej przestrzeni, w której nawet odmienność języków nie tworzy granic.

MICHAŁ RUSINEK

W bibliotece moich rodziców znalazłem kiedyś, kiedy jeszcze byłem w liceum, tom wierszy Ryszarda Krynickiego *Organizm zbiorowy*. Do tej pory pozostał mi w pamięci wiersz *Poezja żywa*, w którym poezja jest porównana do transfuzyjnej krwi:

choćby dawcy już dawno pomarli
w nagłych wypadkach, to ich krew
żyje – i cudze krwiobiegі spokrewnia,
i cudze ożywia wargi.

Od tej pory byłem wyposażony w odpowiedź na pytanie, co robi poezja. Gdyby ktoś mnie o to zapytał (jak dotąd nikt tego nie zrobił), odpowiedziałbym słowami Ryszarda Krynickiego.

*

Autora tego wiersza poznałem w 1996 roku. Postanowiłem poprosić go o dedykację dla mojego ojca na *Organizmie zbiorowym*, dla którego ta książka była ważna. Wprowadziłem tym pana Ryszarda w spore zakłopotanie: wziął ode mnie książkę i oddał dopiero po kilku dniach – z dopiskami, skreśleniami, poprawkami. Książka ta została wydana po ingerencjach cenzury, autor ręcznie przywrócił ją do stanu pierwotnego.

Wiele lat później, w 2010 roku dostałem od niego *Wiersze wybrane*, z dedykacją dla mnie. Książka ta nie została wprawdzie ocenzurowana, ale – jak napisał wydawca, czyli Krystyna Krynicka – nie był to wybór autorski. Ryszard Krynicki kilka wierszy w moim egzemplarzu wykreślił pionową linią, poprawił kilka błędów, zrobił kilka dopisków, ręcznie przywracając do stanu najbliższego jego intencjom.

*

Wierną czytelniczką poezji Ryszarda Krynickiego była Wisława Szymborska. Owszem, ceniła też jego przekłady, ale uważała, że zbyt dużo uwagi poświęca innym poetom – i jako tłumacz, i jako wydawca. Czekwała na jego nowe wiersze. Nie miała dobrej pamięci do wierszy, nawet własnych – pamiętała raczej temat, niż konkretne frazy – ale jeden z najnowszych jego wierszy i zarazem ostatnich opublikowanych za jej życia, знаła na pamięć. Mówiła, że mu go zazdrości. Nosi tytuł *Przez to*:

Milczałem tyle lat.
Nic się przez to nie stało –
ani dobrego,
ani złego.

*

Gdyby ktoś mnie zapytał, czego nie robi poezja (jak dotąd nikt tego nie zrobił), odpowiedziałbym także słowami Ryszarda Krynickiego.

LESZEK SZARUGA

Siedmioramienne rzeki losów

1.

Wybór wierszy Ryszarda Krynickiego – *Magnetyczny punkt* – ukazał się w roku 1996 i zamknięty został zagadkowym wierszem *stuk-puk*, spisany kursywą i opatrzony mottem „(przez sen, / 30 VI / 1 VII 1992)”. Tom ostatni – *Kamień, szron* – ma, wyjąwszy blok tłumaczeń, puentę niemal taką samą, z tym, iż sam wiersz zapisany jest nieco inaczej, motto zaś brzmi: „(przez sen, / od M.B.?)”, data natomiast przeniesiona została w stopy utworu: te zabiegi zmuszają do reinterpretacji tego wiersza, co zresztą w liryce Krynickiego nie jest zjawiskiem nowym i zmusza do pytania o znaczenie w tej poezji kontekstu czasu, w którym powstają kolejne wersje.

Ten kontekst widoczny był i wcześniej, tu pochwycony został najdobitniej w cyklu *Nowe xenie (i elegie)* nawiązującym do zabaw (tak!), jakie uprawiali w Weimarze później skłóceni ze sobą Goethe z Schillerem, ale zapewne też i do tomu Iwaszkiewicza *Xenie i elegie* ogłoszonego w 1970 roku, a w istocie do satyrycznych epigramów Marcjalisa. Przy czym gry podejmowane przez Krynickiego – obok tekstów złośliwych, jak *Bezpłatne* czy *Zapis w księdze pamiątkowej wystawy Buntu* – przynoszą refleksję dość wyrafinowaną, jak w *nadal nie wiem*:

Mój ukochany Issa napisał ponoć aż trzy tysiące haiku.
Przeczytałem o tym czternaście lat temu
I nadal nie wiem, co mam o tym myśleć.

To pytanie nie dziwi u poety, który, jak Krynicki, pisuje rzadko i ostrożnie, ważąc słowa i dopracowując każdy utwór czasami przez lata. Ale wszystkie te zapisy wydają się mieć – przy ich poetyckiej ascetyczności – jedną wspólną cechę: są refleksją nad człowieczą kondycją „na zagubionej planecie / krążącej coraz szybciej / wokół białego, / potem czarnego karła, po obrzeżach / tej jednej z około / stu dwudziestu pięciu / miliardów // pierzchających galaktyk” (*Ile światów*). I to jest dodatkowy kontekst, już daleki od doraźności, który w wierszach autora *Organizmu zbiorowego* dochodzi do głosu w jego poprzedniej książce: w tym kierunku zresztą kierują zdjęcia kosmosu ilustrujące okładkę uzyskane za pomocą teleskopu Hubble’a. Jest w tym zbiorze wiedza, którą wyraża milczenie, sygnalizowana mottem z Apokalipsy otwierającym cykl *Szron*: „Zapieczętuj to, co mówiło siedem gromów i nie pisz tego”.

2.

Zbiór *Wierszy wybranych* z roku 2009 opatrzony jest notą powiadamiającą, iż „nie jest to wybór autorski”. Być może, choć nie do końca chce się wierzyć, by Krynicki nad tym nie panował. Ale w końcu nie jest to aż takie ważne. Ważny wydaje się wymiar kosmiczny tej poezji, coraz bardziej wyrazisty i przejmujący. Nasze „tu i teraz” zderzone z czasoprzestrzenią miliardów lat świetlnych, mgnienie i niepojęta historia rozpoczęta Wielkim Wybuchem: tu sytuje się nasze jedyne, niepowtarzalne życie, pochwycone w zamykającym tom, nowym wierszu *Tak, jestem*. Utwór ten jest jednym z najlepiej skonstruowanych i najbardziej wieloznacznych w dorobku Krynickiego. Powracający do Krakowa bohater wyznaje:

Nadal wracam
pod Ścianę Płaczu

Nadal błędę
w ciasnym labiryncie
Drogi Krzyżowej. (...)

Nadal błędę
u początku.

Gdzie zatem? Tam, w Jerozolimie czy tu, w Krakowie? I tam, i tu: w Jerozolimie, w Krakowie, właściwie: wszędzie. I tu, i tam (wszędzie) pojawia się pytanie:

Czy jest pan Żydem? –
pyta mnie stary chasyd,
pewnie młodszy ode mnie.

I znów: w tytule wiersza odnajdziemy odpowiedź twierdzącą, ale zostaje ona w wierszu dopełniona:

Tak, jestem poetą –
chciałbym choć raz odpowiedzieć

Poeta jest (zapewne, ale i: pewnie, na pewno) starszy od „starego chasyda”. Jest starszy niż wszelka starość: jest poetą, żyje poza czasem, błędzi. Słowo „błędzi” nie znaczy jednak tylko (choć to zapewne też), że podąża drogą niewłaściwą, że wybiera źle. Błędzić znaczy tu także: poszukiwać. Znaczy też: niespiesznie przemierzać.

3.

Pytanie o tożsamość poety jest zawsze pytaniem skomplikowanym. Z jednej bowiem strony Josif Brodski, analizując wiersz Audena, powiada, że „ja liryczne” jest zawsze „ja autorskim”, z drugiej Gadamer, przy okazji analizy poezji Celana pisze, że gdy prawdziwy poeta mówi „ja”, „nie da się powiedzieć, o kogo chodzi” i dodaje: „Jeśli to wiersz, to właśnie dlatego, że poeta nie ma na myśli tylko samego siebie”. Rzecz sama w sobie zastanawiająca, lecz jeszcze bardziej się komplikuje, gdy sięgniemy po przypis do wiersza *Zabawa językowa*:

Mój bohater liryczny w nienagannie odprasowanym
garniturze skóry

– czytam w pierwszych wersach i sięgam po przypis: „Bohater liryczny – czytają: podmiot”.

Ja wiem, że to niesłuszne, takie maglowanie i wałkowanie wierszy, ale z drugiej strony nie mogę sobie odmówić przyjemności, jaką taka zabawa językowa mi sprawia. Bo w gruncie rzeczy to naprawdę jest „zabawa językowa”, ta poezja Ryszarda Krynickiego. Poważna zabawa, ale przecież nie pozbawiona zmysłu humoru (a na temat humoru całej tej poezji można by było napisać całkiem poważną rozprawę, a nawet traktat), który przejawia się choćby i w tym, cytowanym wyżej wierszu *Tak, jestem*:

Tak, jestem poetą –
chciałbym choć raz odpowiedzieć
ale tylko się uśmiecham do niego
i mówię:

Szalom, achil!

Ten uśmiech jest tyleż wyrazem życzliwości (a jest poezja Krynickiego ludzom życzliwa), co zadumy i ironicznego dystansu wobec siebie, wobec własnej poezji, wobec świata.

4.

Przy okazji omówień tej poezji sporo się pisze, i słusznie, o jej filozoficznym i moralnym wymiarze, co szczególnie dobitnie widać w wierszach z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, a stosunkowo mało o jej pokrewieństwach z poezją niemiecką, od mistycznych pism Mistrza Eckharta poczynając, poprzez Jakube Böhme (z jego koncepcją dochodzenia do utraconej, lecz przeświecającej w językach współczesnych, przynajmniej europejskich, *lingua adamica*), po ekspresjonistów (Goll, Benn – do Benny nawiązuje choćby wiersz *Fragmenty z roku 1989* – może Stramm), Rilkego, Brechta i Celana. Zapewne można wskazać Hilde Domin czy Rose Auländer. To ważne pokrewieństwa (a jest też przecież Krynicki tłumaczem niemieckiej liryki, w której interesuje go przede wszystkim linia, która w polskiej poezji pojawia się mniej wyraziście: mianowicie linia mistyczna). I nie sądzę, by, znajdując owe pokrewieństwa (świetnie wysledziła je w swej rozprawie o Rilke poetów polskich Katarzyna Kuczyńska-Koschany), można było mówić o jakichś „wpływach”, podobnie zresztą, jak nie o „wpływy” chodzi w nawiązaniach do Peipera czy poezji polskiej „szkoły lingwistycznej”. Ważne jest tu co innego: owa lekcja skupienia, namysłu, medytacyjnej refleksji

i podglądania przez szczeliny istnienia przebłyków światła transcendencji, jak w tej chwili, gdy spotykamy poetę błędzącego „labiryntem Drogi Krzyżowej”:

Niekiedy
w prześwicie nad głową
widzę księżyc,

nadal w pełni.

Te dwie strofy – bo przecież wyodrębniony wers też jest strofą – w kontekście całego utworu domagają się czytelniczego (cichego, być może niewyraźnego) dopełnienia.

Cóż – czytam wiersze Krynickiego od lat. Swego czasu zirytowała mnie uwaga Barańczaka, w której ów przyjaciel i smakosz liryki autora *Aktu urodzenia* (debiutowałem jako krytyk recenzją z tego tomu) wyrażał obawę, iż ta poezja staje się zbyt dosłowna, zbyt jednoznaczna. Nie była nią taka wówczas, nie jest – w kontekście całości tym bardziej – i obecnie: jest jednak, co ważne, nieusuwalnym świadectwem „określonej epoki”. Dziś, czterdzieści lat po publikacji debiutanckiego tomu, nie chcę pisać kolejnego polonistycznego wypracowania. Ale powiedzieć muszę, powtarzając słowa Miłosa komentujące twórczość Różewicza: „Chwała stronie świata która wydaje poetę!”.

PIOTR SZEWC

Notatka o Krynickim

Byłem na drugim lub trzecim roku studiów, to jest pewne, bo spotkanie z Ryszardem Krynickim zorganizowali koledzy z Koła Polonistów KUL o rok młodszy. Energiczni i sprawni organizacyjnie, wśród nich wyróżniał się Waldemar Gasper. Dla adeptów pióra, a byli tacy między nami, Ryszard Krynicki uosabiał kogoś z ówczesnego rodzimego Parnasu, jak na przykład Herbert, Różewicz czy Symborska. Słabo wtedy znałem trudno dostępną twórczość poetycką Ryszarda Krynickiego, w pamięci utrwalił mi się tytuł jego zbioru (nie wiem dlaczego właśnie ten) *Pęd pogoni, pęd ucieczki*. Nie pamiętam, czy spotkanie z poetą miało charakter jawny, czy konspiracyjny; zważając na realia stanu wojennego, spotka-

nie mogło być zamknięte, bez reklamy i rozgłosu. Odbyło się w niewielkiej salce w części piwnicznej uczelni, dokładnie pod korytarzem polonistyki na parterze. Być może fakt, że byłem pod wrażeniem osoby gościa, sprawił, iż jego przebiegu nie potrafię odtworzyć. Krynicki był skupiony, swoje wiersze czytał uważnie, cicho i prosto. Wtedy i tam poznałem go osobiście. Trochę faktów, trochę niedokładności. Tak to mi się jawi po co najmniej trzydziestu latach.



Tokio, listopad 2008

MATSUO BASHŌ

Haiku

w tłumaczeniu Ryszarda Krynickiego

Pierwszy dzień roku –
z zeszłorocznych zapasów:
pięć garści ryżu.

Obudź się, obudź,
i towarzysz mi w drodze,
śniący motylu!

Jak wiele rzeczy
przywołuje w pamięci
kwitnienie wiśni!

Staw, bardzo stary,
żaba, która doń skacze,
pluśnięcie wody.

Ach, drugie życie –
najchętniej bym je przeżył
jako kwiat wiśni.

Wokoło cisza:
litą skałę przenika
cykanie cykad –

Płaczącej wierzbie
oddaj cały niepokój
trwożnego serca –

Wrona usiadła
na bezlistnej gałęzi:
jesienny wieczór.

Chciałem napisać
pożegnalny wiersz na wachlarzu:
złamał się w ręce –

Zaczepiłem o gałąź –
czy demon mnie schwycił za włosy
w bramie Rashōmon?

Chory, w podróży.
Bez celu błąka się sen
po pustych polach –

Jesienny wicher:
kiedy spędzisz noc w polu
zrozumiesz ten wiersz –

Pokraczna wrona:
piękna na pierwszym śniegu
w zimowy ranek!

Znów kończy się rok:
a kapelusz i buty
znowu ze słomy –

Matsuo Bashō, właściwie Matsuo Munefusa – urodził się w 1644 roku w Akasaka w prowincji Iga, niedaleko Kioto jako syn ubogiego samuraja; sam również od młodzieńczych lat był samurajem, lecz po nagłej śmierci swojego młodego pana Todo Yoshitada, z którym dzielił zamiłowanie do poezji w stylu *haikai no renga* (żartobliwych krótkich wierszy, składających się z czternastu albo siedemnastu sylab), w roku 1666 porzucił służbę i prawdopodobnie znalazł schronienie w jednym z buddyjskich klasztorów niedaleko Kioto. Od 1667 roku mieszkał u zaprzyjaźnionego poety Sugiyama Sampu w Fukagawa koło Edo (dzisiejszego Tokio), pod swoim pierwszym pseudonimem artystycznym Tosei, zaczął pisać haiku, które zwróciły na niego uwagę w środowisku poetów, w następstwie czego został uczniem Kitamury Kigina, a później sam zaczął uczyć układania poezji. W roku 1680 (kiedy to ukazała się antologia *Dwudziestu mistrzów poezji szkoły Tosei*) miał już dwudziestu uczniów.

To właśnie uczniowie w 1681 roku, kiedy ich nauczyciel udał się na dłuższy czas do jednego z klasztorów, żeby tam medytować zen, zbudowali mu w Fukagawa jego pierwszą chatę z pędów bananowca (*bashō-an*, stąd drugi jego pseudonim: Bashō). Chata spłonęła w roku 1682, w czasie wielkiego pożaru Edo. W rok później w Ueno umarła jego matka. Przygnębiony tymi nieszczęściami poeta udał się na kilka miesięcy do Yamamura; pod jego nieobecność uczniowie wybudowali mu drugą chatę. Zimą 1684 roku Bashō udał się w pierwszą ze swoich czterech długich podróży i cały 1685 rok spędził na wędrownie.

Według legendy, najbardziej chyba znane haiku Bashō – o żabie skaczącej do stawu – powstało po jego powrocie z tej wędrowni, w 1686 roku, jako spontaniczna odpowiedź na pytanie oświeconego mnicha zen, Butchō, co jest istotą Buddy.

Podczas trzeciej długiej podróży, tym razem na północ, do prowincji Honshu, powstał jego najsłynniejszy dziennik podróży *Oku-no hosomichi* (*Wąska ścieżka ku dalekiej Północy*), powszechnie uznawany za arcydzieło literatury japońskiej.

Latem 1694 roku udał się Bashō w swoją czwartą długą wędrownię, która miała okazać się ostatnią; zmożony chorobą, zmarł 28 listopada 1694 w Osace, w domu zaprzyjaźnionego poety Sonojo.

R. K.

JACEK ŁUKASIEWICZ

Wrażliwości (Ślimak i... wewnątrz kamienia)

1. Krótkie wiersze

Krótkie, krótsze, jeszcze krótsze. Ukryć się za krótkością wiersza, skryć się w jego krótkości. W takich utworach ważna jest najdrobniejsza decyzja: pauza oznaczona myślnikiem czy pauza oznaczona światłem między wersami, szyk przestawny mniej lub bardziej wyrazisty. Powtarzanie takiego zabiegu powoduje, że nie odnosi się on już do pojedynczego utworu, do jego podmiotu lirycznego, ale do serii utworów o jednakowej formie. (Na przykład wydzielenie ostatniego wersu jako osobnej, puentującej niby-strofy to jeden z takich charakterystycznych zabiegów formotwórczych). Milczenie poety jest lepsze od jego gadulstwa („Milczałem przez wiele lat. / Nic się przez to nie stało, // ani dobrego, ani złego” – *Wiersze wybrane*), choć oczywiście poetycko milczenie znaczy dopiero wówczas, gdy zostaje włączone do wiersza, gdy staje się jego ramą lub pauzą w mówieniu...

Krótkie, jeszcze krótsze... Jeszcze zwięźlejsze: „Przeszedłem wiele kilometrów, / zapisałem wiele stron, / żeby napisać trzy? cztery linijki // w których się roi od słów”. Wraca Ryszard Krynicki do poprzednich swoich wierszy, zmienia je, skraca, przeredagowuje. Nie tyle jednak poprawia miniatury, ile tworzy nowe ich warianty. Jego praca jest czymś pośrednim między spontanicznym tworzeniem przez liryka – w porywie, w natchnieniu – a etapem korekty, redagowania. Pęd pogoni i pęd ucieczki (z debiutanckiego arkusza), ten porywający pęd mowy – ma się już poza sobą. Choć ani pogoń ani ucieczka bynajmniej się nie zakończyły, otrzymały inny wyraz, skryły się jakby w lirycznej miniaturze. To jej forma przeciwstawia się teraz bezforemnemu lękowi, ogarniającemu już w dzieciństwie, kiedy „Bałem się krzyku. Jeszcze bardziej bałem się śmiechu. Nie umiałem nikomu się zwierzyć” (*Twarz*).

Dążenie do miniatury miało nie tylko motywacje indywidualne, ale charakteryzowało poezję z lat osiemdziesiątych, nawet w niej dominowało. Antologia wierszy z tamtej dekady mogłaby być antologią miniatury. Stosowano parę gatunkowych wzorców: inskrypcję-epigramat, hasło czy slogan, fraszkę, aforyzm, notatkę liryczną, haiku. Różniły się między sobą, rozbieżne były postawy filozoficzne stanowiące ich fundamenty. Najbardziej koncyliarystyczną wydaje się fraszka. Zbiór fraszek zgodnie ze wzorcem *Fraszek* Kochanowskiego obejmuje dostojne i wulgarne, okolicznościowe i ponadhistoryczne; przemieszanie stylów, języków, celów. Sprośny dowcip można było postawić obok aktu strzelistego czy rytego w marmurze epitafium konkretnej osoby. Krótkie wiersze Krynickiego są jednak od fraszki dalekie. Na pewno nie fraszka przychodzi na myśl, kiedy je czytamy. Myślimy czasem o epigramatycznej inskrypcji, najczęściej jednak będzie to niedopowiedziany krótki utwór liryczny, gdzieś pomiędzy japońskim haiku a krótkimi wierszami Celana.

Treści mogły być polityczne, sytuacje dotyczyć zbiorowości („organizmu zbiorowego”), lecz istotna stawała się sytuacja egzystencjalna indywidualnego, historycznie uwarunkowanego podmiotu.

2. Twarz i ściana

Zapis krótkiej dramatycznej sytuacji: *Twarzą do ściany*:

Kobieta odwraca lustro
twarzą do ściany: teraz w ścianie
odbija się martwy śnieg,
chrzęści pod podkutymi butami.
Ogień krzepnie.
Nicość nakłada bagnety.

(Grudzień 1981)

Znaczenie tej daty nie pozostawia wątpliwości: 13 grudnia 1981 ogłoszono w Polsce stan wojenny. Nagle, z godziny na godzinę wielu internowano, aresztowano, nie było wiadomo, co dalej nastąpi. To, że poleje się krew wydawało się oczywiste. Ile jednak będzie tej krwi i czyjej? Tytuł wskazuje na więzienie, to tam prowadzonym na przesłuchania kazano odwracać się „twarzą do ściany”, gdy przechodziły inne osoby. Wiersz jednak mówi o czymś innym. Występuje w nim kobieta, która „odwraca lustro twarzą do ściany”. Lustro, jak wiadomo, samo w sobie nie ma twarzy, a tylko czyjaś twarz odbija. Gdy odwróci

się lustro do ściany, ono albo nic nie odbije, jeśli szczelnie do owej ściany zostanie przyłożone, albo też odbije ścianę. Tutaj jest inaczej: właściwość lustra została przeniesiona na ścianę, to w ścianie „odbija się martwy śnieg”. Nie jest to jasne. Epitet „martwy” implikuje antonim: jeśli jest „martwy śnieg”, to powinien być także śnieg „żywy”. Śnieg waloryzowany negatywnie przeciwstawiamy, czytając, nieobecnemu w wierszu, bo także nieobecnemu w końcu grudnia 1981 w Polsce śniegowi waloryzowanemu pozytywnie. Przymiotnik „martwy” podkreśla negatywność tego grudniowego śniegu. Twórcy i egzekutorzy stanu wojennego ze śniegu, którym zawładnęli, z „martwego śniegu” uczynili swojego sprzymierzeńca: „chrześci pod ich podkutymi butami”, butami ZOMO (Zmotoryzowanych Oddziałów Milicji Obywatelskiej). W dwa tygodnie po wprowadzeniu stanu wojennego było Boże Narodzenie. Cytat z kolędy Karpińskiego *Bóg się rodzi* – „ogień krzepnie” lokalizuje przedstawioną sytuację jeszcze dokładniej. „Ogień krzepnie, moc truchleje” to oksymorony wskazujące na niezwykłość wydarzenia, narodziny Boga-Człowieka. W kolędzie ów oksymoron ma sens pozytywny, wyraża niezwykłość radosną, tutaj ma sens skrajnie ujemny. „Ogień krzepnie” – to martwy ogień, tak jak dwie linijki wcześniej był „martwy śnieg”. W porządku historycznoliterackim mamy do czynienia z kontynuacją „kolędy negatywnej”, tak bardzo popularnej w latach niemieckiej okupacji. Ten typ kolędy dobrze jeszcze pamiętało wielu czytelników. (O podobne skojarzenia chodziło zresztą psychologom – programistom „stanu wojennego”). I wers ostatni: „Nicość nakłada bagnety”. Ci którzy komenderują nałożenie bagnety są po stronie nicości, a nawet są nicością, samą negatywnością. Nicość jednak niczego nie „może”. Jest bowiem pełną entropią, brakiem energii, potencji. Mocniej nie było można – w każdym razie w tej poetyce.

Granica między nicością a bytem – ontologiczna, moralna i polityczna – jest tutaj ostra, rozłożenie wartości zdecydowane – tak jak w poezji tyrtejskiej, każdy zaś wiersz aktualny końcem grudnia 1981 zagrzewał, stawał się tyrtejski.

To, co w tym utworze czyni kobieta pozostaje metaforyczne, aluzyjne, niejasne, sytuacja społeczna natomiast: polityczna, moralna, w której mieszczą się podmiot utworu i odbiorca, jest wyrazista; nie było i nie ma co do tego wątpliwości. W roku 1983 w podziemnym warszawskim „Przedświcie” ukazał się arkusik wierszy Krynickiego: *Jeżeli w jakimś kraju. Wiersze i apele*. „Druk bez wiedzy i zgody autora”, jak wtedy pisano dla niepoznaki. Czytelnicy nie mieli jednak wątpliwości, że jest odwrotnie: druk został wykonany za pełną wiedzą i zgodą autora. Arkusz otwiera wiersz *Twarz do ściany*, potem jednak na wkładce mali-

nowego koloru, co nadawało całemu druczkowi kremowo-malinowy, jakby biało-czerwony wygląd, znajdują się krótkie wiersze-hasła, takie jak *Ratujmy ojczyznę*. Cytuję w całości: „– ratujmy ojczyznę – / mówią dyktator i zdrajca, / gotowi nadal okupować kraj, / więzić niewinnych, / zabijać bezbronnych, / gotowi nas zaprzedać / w jeszcze większą niewolę, / byle pozostać przy władzy”. Podobne, sprozaizowane teksty (wiersze-komunikaty) oddziaływały wtedy mocno, lecz na krótką metę. Rok 1983 był ostatnim rokiem ich siły. Stan wojenny wyczerpał się, przechodził w wysoce nieprzyjemną, coraz bardziej beznadziejną dziewiątą, przedostatnią dekadę stulecia i ostatnią dekadę władzy „komuchów”. Poezja wracała do swoich komplikacji, niejasności. Od potępienia WRON-u ważniejsza stawała się dla czytelnika tej poezji postać kobiety odwracającej lustro i ukryty w tej czynności sens.

3. Ślimak

W wierszach Ryszarda Krynickiego nieraz pojawiał się ślimak. Bezbronny, bezskorupowy brzuchonóg (*Gastropoda* z greckiego *gaster* – brzuch + *pous* – noga). W Wikipedii można przeczytać, iż „ślimaki nie opanowały jedynie powietrza”. Do tej gromady należy podobno 105 000 gatunków, z czego w Polsce występuje 6 gatunków morskich, około 200 lądowych i około 50 słodkowodnych. Jedne z nich mają skorupę, inne są nagie. 26 kwietnia 2002 (data dzienna widnieje pod tekstem) Ryszard Krynicki napisał wiersz *Ukradkiem*:

Ukradkiem, dyskretnie
podnoszę ze ścieżki
swojego starszego brata,
ślimaka, żeby go nikt nie nadepnął.

Starszego pewnie o miliony lat.
Brata w niepewności istnienia.
Obaj jednak nie wiemy,
po co zostaliśmy stworzeni.
Obaj jednak zapisujemy nieme pytania,
każdy swoim najbardziej intymnym piśmem:

potem strachu, nasieniem, śluzem.

W wierszu nie jest powiedziane, czy ślimak ten jest nagi. Ślimak jednak bezskorupowy jest bezbronnejszy od dźwigającego skorupę. Czynność podnoszenia tego bezkręgowca została przedstawiona dokładnie, w czasie teraźniejszym, naocznie. Wyobrażamy sobie tę scenę. Pełnie ścieżką ślimak bezsko-

rupowy, prawdopodobnie dość duży, sądząc po dacie rocznej jest to być może ślimak luzytański (*Arion lusitanicus* Mabille 1868); pochodzi on z Półwyspu Iberyjskiego, a w ostatnich dwudziestu latach opanował większość Europy. Widać go wszędzie: na ścieżkach, w ogrodach, na chodnikach, asfalcie. Pełnie ciemnobrązowy, ale zdarza się, iż żółty lub czerwony, długi od 7 do 15 cm. „Płaszcz w tylnej części zaokrąglony, otwór oddechowy umiejscowiony w jego przedniej części. Zakończenie ciała zaokrąglone, z dużym gruczołem kaudalnym nad trójkątnym zakończeniem nogi. Na grzbiecie brak kila. Powierzchnia płaszcza ziarnista, a w tylnej części ciała występują duże, wysokie, ostre zmarszczki. (...) Podeszwa jest biała, śluz bezbarwny” (http://sionekr.republika.pl/s_morfologia.htm; dostęp 28.01.2013). W wierszu brak tych wszystkich szczegółów. Zamiast opisu ślimaka są emocje zdającego relację. Egzystencja ślimaka powiązana jest z egzystencją podmiotu. I sugerowane to jest tak intensywnie, że mamy prawo podejrzewać, iż czynność podnoszenia ślimaka ma dla bohatera charakter magiczny. To siebie a nie tylko ów egzemplarz bezskorupowca chce poeta uratować. Mówi niby do tego prastarego krewniaka, a w rzeczywistości mówi to – tego dnia (26 kwietnia 2002) – do siebie samego. Może go ktoś uniesie w dwu palcach ze ścieżki życia i położy („ukradkiem, dyskretnie”) na bezpiecznym poboczu, tam podejmie on swoją wędrówkę. Jeśli to ślimak luzytański, będzie pełzał powoli 7–9 metrów na godzinę. Ludzie poruszają się szybciej.

Wyglądu ślimaka możemy się oczywiście domyślać, ale nie o wygląd jego ciała tu chodzi. Nawet nie o brak skorupy. *Tertium comparationis* między człowiekiem a ślimakiem co innego tu stanowi: ślad, jaki zostawiają człowiek i ślimak. To ten ślad wzruszył idącego ścieżką i skłonił go do podjęcia opowiedzianej interwencji. „Obaj jednak zapisujemy nieme pytania, // każdy swoim najbardziej intymnym pismem: // potem strachu, nasieniem, śluzem”. Poeta i ślimak. Człowiek i zwierzę. Zapis jest mimowolny, organiczna wydzielina zawiera wiele informacji. Intensywnie informują pot (przestraszonego), sperma, śluz...

Czy przedstawiony poryw empatii u bohatera tego wiersza był autentyczny – spontaniczny, niewykoncypowany? Czy rzeczywiście poczuł on szczególną sympatię do swojego „starszego o miliony lat brata ślimaka”? Jednego z tak licznych ślimaków bezskorupowych, których pełza dokoła tyle. W *Dzienniku* Gombrowicz opisywał, jak kiedyś na argentyńskiej plaży starał się odwracać wyrzucone przez fale grzbietami w dół chrząszcze. Ilu mógł dopomóc? Kilku? Kilkunastu? Kilkuset? Czy warto to celebrować? Czy raczej zamilczeć, wobec setek tysięcy, a może milionów, którym pomóc nie możemy. I zgodzić się na twardość swego moralnego serca.

A jeśli ja, taki szlachetny pomagam ślimakowi, to co powiem o tych przedstawicielach mojego gatunku, o rodakach, mieszkańcach tego samego miasta, którzy postępują wprost przeciwnie i starają się za wszelką cenę wytępić ślimiki luzytańskie, zżerające im wszystko, cokolwiek na działce lub w ogrodzie zasieją albo posadzą. „Zjadły już wcześniej fasolę, rozprawiły się z sałatą, wschodzącymi ogórkami, spróbowały kukurydzy, pomidorów, rzodkiewki, zdążyły nadgryźć selery i lubczyk. Teraz zabrały się za ziemniaki, wyglądają tak, jakby je objadła stonka. Po kilka ślimaków siedzi na liściach i zostawiają tylko najtwardsze części. Postanowiłam pozbyć się tego towarzystwa i wykorzystać deszczową porę na odławianie. Ślimaki same wychodzą na wierzch przy takiej pogodzie, nie trzeba zastawiać pułapek. W ciągu kilku godzin nazbierałam ponad dwa tysiące sztuk. Prawie wszystkie duże. To będzie pewnie jakieś 5 procent populacji ślimaków nagich na mojej działce. Od jutra mam zamiar kontynuować akcję przez wszystkie deszczowe dni. Nie wybieram wszystkich ślimaków, ale przynajmniej ograniczę ich rozmnażanie. Mam nadzieję, że do jesieni (gdy będą składać jajeczka) wyeliminuję ich przynajmniej połowę. I że będą to głównie te, które są zdolne do rozrodu. Pytanie, co zrobić z nazbieranymi ślimakami? Nie chcę zasypywać ich solą ani sypać trucizny. Na razie zalałam je wodą i zakręciłam butle. Powinny się utopić” – pisze „Ewa 1” (<http://www.bio-forum.pl/messages/78737/172926.html> – dostęp: 27.01.2013). Na tym samym bio-forum inny działkowicz opisuje, jak zwabiał ślimaki na kawałki papy posypane solą (sposób „mało estetyczny, lecz skuteczny” – tak to określił, unikając kwalifikacji moralnej). A jeszcze inny zwracał się jednak do „Ewy 1” z wyrzutem: „Jak może Pani podchodzić do tego tak statystycznie? Brakuje czasu, żeby dojechać do najbliższej łąki czy też lasu? Nikt nie powinien decydować o życiu zwierząt. Jeśli już one Pani tak nie pasują, to proszę zacząć hodoować te kaczki, albo tak jak mówiłem wywozić je. To że są problemem dla lasu, to jest akurat naturalne. Gdyby nie było ludzi, te ślimaki byłyby w lesie. Kiedyś cały świat porastały lasy! Te ślimaki odżywiają się tak, jak stworzyła je natura. Co, mają przerzucić się na głązy?”. „Ewa 1” odpowiada, że obok pobliskiego lasu też są działki i ślimaki tam by się z pewnością szybko przeniosły. Konflikty interesów między tym gatunkiem ślimaków a działkowiczami nie da się rozwiązać. Najwyżej można wykonać gest doraźny, Podobny temu z innego wiersza Krynickiego: „uparta ćmo, nie mogę Ci pomóc, / mogę tylko zgasić światło”. Kiedy indziej uspokaja sumienie zaimek „Ci” napisany – trochę jednak szyderczo – z dużej litery. Można konstatować ironię sytuacji, gdy wracając akurat szosą z Asyżu mija się samochód z bezradnie spoglądającymi cielećkami wieziony-

mi na rzeź (*Powrót z Asyżu*) czy kiedy ulubiony kot Blake'a przynosi mu „świeżo upolowane pisklę sikorki”, kierując do swego pana tytułowe stwierdzenie (*To twój problem*).

Ale przecież w wierszu *Ukradkiem* nie tylko i nie przede wszystkim o ślimaka idzie. Kruche życie, o którym mówi poeta-Krynicky, i o które się troszczy – to też nadwrażliwy człowiek, to Żyd Celan, co uszedł zagładzie, wymknął się spod noża. I teraz, gdy po deszczu opuszcza swoje schronienie, jest tępiony przez hodowców fasoli, marchwi i ziemniaków. To on pełźnie po płycie lotniska w wierszu *Po deszczu*, napisanym wcześniej niż poprzedni, bo w październiku 2000 roku. Oto cały trzywersowy utwór – jedno zdanie zakończone znakiem zapytania:

Bracie i siostrze, nieodgadniony sfinksie, szlachetny ślimaku:
jakiż to los zapisujesz swym niepewnym piśmem
na płycie lotniska, ostatniej jesieni zbrodniczego stulecia?

Ślimak może „zapisywać” swoim śluzem („niepewnym piśmem”) los pytającego go o wróżbę poety, a może też – w tym wierszu – „zapisując” przekazywać wyrocznię dotyczącą zbiorowego losu ludzkości czy świata. Ślimak (pojedynczy osobnik, czy ślimak jako gatunek) jest jednak tylko głuchym i nierozumnym narzędziem. Kierowana doń w tym wierszu wzniosła formuła jest ironiczna. Ślinik luzytański (jeśli o niego tutaj chodzi, a to wysoce prawdopodobne) jest dla mówiącego „bratem i siostrą” w istnieniu, ale też bratem i siostrą w ewolucji. Jakie z tym łączą się uczucia? U Szymborskiej, gdy odnajdywała swe pokrewieństwo ze strzykwą takim uczuciem było zdumienie. Podmiotowa bohaterka jej wierszy jest ekstrawertyczką, podmiotowy bohater wierszy Krynickyego jest zdecydowanie bardziej introwertykiem. Inwokacja do pełzającego ślimaka mówić ma tedy więcej o nadawcy niż o adresacie. To zwracający się pragnie poznać przyszłość, to on zadaje ślimakowi pytanie, nazywa go wprawdzie bratem i siostrą, potem „nieodgadnionym sfinksem” (włączając ślimaka w antyczną tradycję prorocत्व i wróżb naszej cywilizacji), wreszcie obdarza go tytułem „szlachetny”, więc należący do jakiejś wyższej, godnej szacunku warstwy. Oczekiwana od wyrocznego ślimaka przepowiednia powinna dotyczyć XXI stulecia, które dla podmiotu utworu wtedy, w październiku 2000, dopiero się rozpocznie. Mógł być Krynicky napisać wówczas z równą słusznością: „ostatniej jesieni zbrodniczego milenium”, chodziłoby o nowe tysiąclecie, przepowiednia dotycząca aż tak długiego okresu byłaby jednak mniej znacząca i mniej wiarygodna. Nie znamy przyszłości ani bliskiej, ani tym bardziej odległej. Nikt nie wie, kiedy („jako złodziej”) nadejdzie Dzień Pański.

Nie wiadomo, czy bohater *Po deszczu* ograniczył się do czołobitnej, ironicznej inwokacji, czy też podjął wysiłek uratowania napotkanego egzemplarza ślimaka luzytańskiego (jeśli i tutaj chodzi o ten gatunek). Płyta lotniska nie służy pasażerom do powolnych i niefrasobliwych przechadzek. Pewnie więc gdzieś się spieszył – do samolotu czy autokaru i owemu ślimakowi pełznąć dalej.

Zatem nic z tego nie wyniknie. Na nic zakłęcia, wymyślna, i przemyślana tytulatura – wróżby nie będzie. Śluz ślinika o niczym nie poinformuje. Przyszłość, jak zwykle, pozostaje i pozostanie zakryta, póki jeszcze jest przyszłością, dopóki nie zmieni się w nagą jak ciało ślimaka i bolesną terażniejszość.

Podobnie i w innych wypadkach – ślimak pojawiający się w wierszach Ryszarda Krynickiego to „ja” zobaczony z zewnątrz. Wiersz datowany *Berlin Zachodni, wrzesień 1979* też jest skierowany zapewne do siebie: „Wysoko zaszedłeś, mój ślimaczku, / na najwyższy liść czarnego bzu”. Jeśli już się przypadkiem wpęzło na ten krzew, to wyżej dostać się nie można. Nieco odmiennie kształtuje się motyw ślimaka w wierszach skierowanych lub nawiązujących do japońskiego autora haiku, Issy Kobayashi (1763–1827). Ślimak jest postrzegany jako etap w reinkarnacji. „Co robisz, ślimaczku, na moim balkonie, / tyle pięter nad ziemią! / Czy powracasz z Fudzi? / Och, jak mogłem // nie poznać cię, Isso, od razu (*Jak mogłem*). Albo: „Kogo pocieszy / zdanie z metalu? / Wolę czytać na listku / wiersz ślimaka, Issy, / który już raz, po stuleciach, / przyniósł mi pilną wieść / z wolnego świata” (*Kogo pocieszy*). Oczywiście nie jest to taka szczerą i mocną wiarą w wędrówkę dusz jaką miał Słowacki. Jest to poniekąd metafora, może nawet ironiczna, lecz tylko poniekąd. Ślimak zamieszkujący 54 haiku Issy (a ten napisał ich podobno ogółem aż 3000) jest – podobnie jak ów pełzający po płycie lotniska – konkretny i zarazem symboliczny, gdy japoński poeta widzi go jakby był zamkiem chruścianej furtki, albo jako adresata przestrogi: „Ślimaczku, / Wspinaj się na górę Fudzi, / ale powoli, powoli” (tłumaczenie Czesława Miłosza). Issę – jak powiedziano o nim – „los pobłogosławił takim darem postrzegania drobiazgów, jaki nie był dany nawet jego mistrzowi Basho”. Poetycka obserwacja zaś łączy się z empatią.

4. W ciele kamienia (sen-abstrakcja).

Wrażliwość, delikatność, posiadanie – jak się powiada – „nerwów na wierzchu” niekoniecznie musi się w sztuce wiązać z ciałem i jego zmysłami. Może objawiać się poprzez abstrakcję. W wierszu *Dotknąć* chodzi o abstrakcyjny (w tym sensie, że nie dający się wypowiedzieć) sen.

„Dotknąć istoty rzeczy”.
Śniłem już kiedyś,
że dotykam istoty rzeczy.
Po omacku, od środka,
wewnątrz kamienia.

Sen z natury swej jest nieopisywalny. Opowiedziany – przestaje być snem, staje się innym tekstem. Sprowadzany przez psychoanalitików do schematycznej symboliki tym bardziej traci swój senny charakter. Ten sen mógłby być, myślę, najwyżej taki: śniłem, że myślę o tym, iż jestem wewnątrz kamienia, albo raczej: śniłem, iż czuję, że jestem wewnątrz kamienia. Być wewnątrz kamienia – to absurd. Zmysłowo jest to niewyobrażalne, niemożliwe do umieszczenia w przestrzeni takiej, jaką doświadczamy (a nawet w przestrzeniach jakich we snach doświadczamy czy moglibyśmy doświadczać). W wyrażeniu „dotknąć istoty rzeczy” – metaforycznie użyte słowo „dotknąć”, odsyłające do konkretnego zmysłu jest tu użyte bezprawnie. To, co czujemy łącząc się z „istotą rzeczy”, to nie dotyk, ale uczucie metafizyczne (o którym pisał Stanisław Ignacy Witkiewicz jako o najważniejszym swoim odczuciu, nawet jako o jedynym rzeczywiście wartościowym, ale przecież nie dającym „przetłumaczyć się” na język żadnego ze zmysłów). Tego doznania nie da się wyrazić w jego specyfice i totalności. Można je przybliżyć „przekładając” na inne doznania: śniłem wielką radość, m i a ł e m uczucie, że dotykam istoty rzeczy, przeżywałem w moim śnie uczucie ogromnej błogości. Radosny pokój.

W wyrażeniu „po omacku” – chodzi nie tylko o brak wzroku, ale też o bezsilność reszty zmysłów, łącznie z dotykiem i dotykową orientacją przestrzenną. Poznając więc „od środka, / wewnątrz kamienia”. A więc na żądanie, że tak powiem, śnione przychodzi we śnie czy w będącym skutkiem snu wierszu – epifania. Doznanie rzeczywistej epifanii wyróżnia „wielki sen” spośród innych snów. A że tego wielkiego, epifanijnego (w sensie ścisłym) snu nie da się opowiedzieć, więc ulega on zatarciu; pamięta się po czasie raczej o wielkości (potędze) doznania aniżeli je samo czy jego obrazowe korelaty. Pozostaje jako dalekie echo owego doznania określenie „wewnątrz kamienia” – najbardziej jeszcze udolne z nieudolnych.

Cóż znaczy „wewnątrz kamienia”? G d z i e skrywa się „istota rzeczy”, mniej platońska idea, bardziej Kantowska „rzecz sama w sobie”? Nieosiągalna: niewidoczna, niesłyszalna, niedotykalna, nie dająca się powąchać ani posmakować – jakby czyste pragnienie, czyste pożądanie? Owo jedyne pożądanie, które (po przewyciężeniu przez nią kolejnych doznań zmysłowych) wypisane zostało

na namiocie *Damy z jednorożcem*: „À Mon seul désir” – w Muzeum Cluny w Paryżu. A więc odczuwam tylko moje pożądanie rzeczy samej w sobie. Kontaktuję się nie z „istotą rzeczy”, a jedynie z własną psychiką, która skutecznie od „istoty rzeczy” mnie separuje? „Wnętrze kamienia”, będące czystą abstrakcją – pozostanie puste. Jak na ironicznej w istocie okładce cytowanych w tym szkicu *Wierszy wybranych* (2009) – autor, w pełni skoncentrowany na samej czynności fotografowania, fotografuje swoje odbicie w lustrze.

Ten wiersz Krynickiego można umieścić wśród innych ważnych polskich wierszy o „wnętrzu kamienia”. Najważniejsze pośród nich są zapewne dwa teksty: Wisławy Szymborskiej i Aleksandra Wata.

W wyimaginowanej (bo rzeczywista jest niemożliwa) *Rozmowie z kamieniem* Wisławy Szymborskiej mówi kamień: „Możesz mnie poznać, nie zaznasz mnie nigdy. / Całą powierzchnią zwracam się ku tobie, / a całym wnętrzem leżę odwrócony. (...) Brak ci zmysłu udziału. / Żaden zmysł nie zastąpi ci zmysłu udziału. / Nie wejdiesz, masz zaledwie zamiysł tego zmysłu, / ledwie jego zawiązek, wyobraźnię (...) – Nie mam drzwi – mówi kamień”. Bohater jednej z *Pieśni wędrowca* w *Wierszach śródziemnomorskich* Wata pragnie być kamieniem wśród kamieni, głazem wśród głazów: „Po prostu: serce kamienia. Po prostu: / sny kamienia. Być w sercu kamienia – jak ja tego pragnąłem! (...) jak ja pragnąłem dotykać / myśli kamienia, tak jak dotykam płatka róży, uważając, by nie poczuła / grubych opuszków moich palców, palców uzurpatora”. Nie ma tu „istoty rzeczy”, lecz w tej samej części na sąsiedniej stronie przeczytamy o prowansalskich głazach: „W ich świecie wewnętrznym ubogo, jak to ubogo nazwiemy wyklutymi oczami / naszej mowy. Ale wszystko tam znaczące i czyste, wszystko tam wszystkim. / Tylko tam. Jeśli jest Bóg, tam jest. W sercu kamieni. Także w ich snach”. W poemacie Wata jest to poetyka tekstu mówionego – proroczych wizji, licznych powtórzeń, by można było lepiej tekst pamiętać, a nie kaligrafowanego tuszem haiku ani chłodnej wykutej inskrypcji. Jeśli pragniemy dotknąć „istoty rzeczy”, pierw winny zostać wyklute „oczy naszej mowy”. Wtedy zaś – możemy się lękać – pozostanie coś, co nie jest ani konkretem, ani abstrakcją, lecz czystą konwencjonalnością – krańcowo konwencjonalna róża, konwencjonalny kamień. Tylko najlepsza poezja, na przykład Rilkego, zdolna była przekraczać takie konwencjonalności, czy raczej dawać iluzje ich przekroczeń.

W wierszu *Będę o tobie pamiętać* kamień zostaje uosobiony i jest – podobnie jak we wspomnianym wierszu Szymborskiej – na zewnątrz podmiotu, jako jego rozmówca, któremu „można wszystko powiedzieć” ze wzajemnością. Zakończenie „Będę o tym pamiętać, kamieniu” jest ironiczne, bo znaczyć ono może go-

towość na taką sytuację, gdy już nie będzie żadnego człowieka, żadnego przyjaciela, któremu można by było się zwierzyć. Albo też po śmierci, gdy jedynym powiernikiem pozostanie własny kamień nagrobny. Wszystkie te znaczenia, wraz z omawianym tu wcześniej kamieniem meta-fizycznym, pulsują w tej miniaturze. Zresztą w innych utworach Krynickiego aktywizowane są jeszcze dodatkowe sensory związane z kamieniem. W jednej z miniatur pyta poeta: „Czy naprawdę trzeba być z kamienia, / żeby umieć żyć // i umierać?” (Czy *naprawdę*). „Być z kamienia” znaczy tutaj *r ó w n i e ż* być nieczułym i ośchłym nie tracąc zresztą tego znaczenia meta-fizycznego, o którym była przed chwilą mowa, a więc osiągnięcia stanu wyjątkowej subtelności pozwalającej na dotknięcie „istoty rzeczy”, którą (tak jak dzieje się to u kamienia) nosi się w sobie. Kamyk bowiem, „który na pamiątkę chce podnieść ze ścieżki, / patrzy w głąb siebie, zamyka się, milczy” (*Roztargnienie? Niepamięć? Przypadek?*). Jest dla nas bytem najbardziej tajemniczym, ezoterycznym, niepoznawalnym, a jednocześnie trwalszym i bardziej materialnym niż jakikolwiek „żywy organizm”, niż jakiegokolwiek życie. Wrażliwe ciało ślimaka, subtelne ciało kamienia...

5. Ciało miłości, ciało dreszczu

Niepewne ciało, odbicie lustrzane, istota mieszcząca się w materialnej cielesności, „zabłąkana / w białej zawiei skóry, która ją otacza / więzi i wyzwala” (*Podróż pośmiertna*). Istota ta nie jest jednak ani sennym fantomem, ani lustrzanym odbiciem. Uobecnia się w kręgu Erosa. Ale to równocześnie żyjąca i umarła – *i s t o t a* pośmiertna, którą budzi Thanatos. Zawsze rozszczepiająca się i jakby rozmnażana w swych elementach. Takim elementem, znakiem rozszczepienia i rozmnażania są włosy. Wiersz *Biały Obłok* to charakterystyczny erotyk Ryszarda Krynickiego.

ani nas łączy, ani łącząc – dzieli:
dzieje się między nami
obosieczne spojrzenie Białego
Obłoku

Zwraca uwagę interpunkcja tych inicjalnych linijek. W pierwszym wersie mamy trzy znaki interpunkcyjne (przecinek, myślnik, dwukropek), potem ani jednego. W dalszym ciągu tego utworu interpunkcja też jest szczególna, wyrachowana. W wersie trzynastym powtarza się przy tym interpunkcja z wersu pierwszego, lecz na samym końcu, mimo wyrazistego sygnału intonacyjne-

go, dokonanej antykadencji – brak jest kropki. Utwór więc jakby się nie kończy, mimo że kończy się długie podrzędnie złożone zdanie. Kropki nie ma, jakby z psychicznej niemożności, z niegotowości na graficzny znak kresu – z lęku przed zakończeniem.

Duże litery zarezerwowane zostały dla „Białego Obłoku”. Nazwa ta wskazuje na *sacrum*. Może na pekińską Świątynię Białego Obłoku, największą taoistyczną świątynię w Chinach. A może na biały obłok z czternastego rozdziału *Apokalipsy* Janowej, na nim zasiądzie „podobny do Syna Człowieczego”. W wierszu Krynickiego „Obosieczne spojrzenie” Białego Obłoku kojarzy się z Sądem, ale że „dzieje się między nami”, jest jak miecz obosieczny króla Marka położony pomiędzy Tristanem a Izoldą. Potem w omawianym wierszu okazuje się, że Biały Obłok to „nasza miłość”, że tak nazwana zostaje jej (miłości) swoista niby-cieleśność. Cieleśność czasoprzestrzenna w pełni realizująca się w miłosnej chwili, kiedy staje się „ciało dreszczu / dreszczu mieczem miłosnym nie podzielone na dwoje” (*Z Maxa Hölzera*). Jest to ciało inne, szczególne, jakby pozostające w nieznanym nam (lecz doznanym) wymiarze. Mieszą się czasy: przeszłość, przyszłość, teraźniejszość. „Obosieczne spojrzenie” obłoku:

to,
co dotąd jedynie było
nieustającą przeszłością
utrwała w to, co zaistnieje

to, co jest – w niewiadome przemienia

nasza miłość, która wtedy się spełnia,
kiedy ty się wahasz
beziemienna i bezcieleśna

ani nas dzieli, ani dzieląc – łączy,
ona nas utrwała
i dwa ciała odległe i bliskie jak wargi

w swym ulotnym zespala ciele

Ulotność „ciała miłości”, jej ważność objawia się w tym wierszu. Ucieleśnione, wrażliwe i niepewne swojej trwałości „ja” potrzebuje koniecznej ochrony, kryje się więc jakby w tej właśnie ulotności. Podobne jest znowu do bezbronnego nagiego ślimaka, pełzającego po asfaltowej jezdni po deszczu, umykającego fałszywemu sylogizmowi: „śmierć jest jednoznaczna / jednoznaczność jest śmiertelna”. Ciało miłości – a także ciało poezji (bo w pewnych okolicznościach stają się one tym samym) chroni – albo n i e j a k o chroni – przed śmiercią.

6. Wrażliwe ciało wiersza... – wewnątrz utworu

Coraz krótsze i niejednoznaczne utwory także nie chronią przed nicestwieniem. Swoją „gęstością” (zagęszczeniem znaczeń) kumulują energię, potęgują ją. Jest to energia wieloznaczności słów, syntagm i zdań, także logicznej składni. Tego pragnie poeta – obecna w dziele instancja autorska. Owa wieloznaczność nie jest już bronią skierowaną przeciw uproszczeniom języka ideologii, ani dowodem na niewystarczalność wszelkiego języka, który zawsze fałszuje. Jest to raczej wieloznaczność i niepewność dotycząca metafizyki, eschatologii, umykających werbalizacjom intuicji religijnych, jak np. w wierszu *Kto zawsze wie* (Z Ericha Frieda): „Kto zawsze wie / do jakiego boga się modli / nigdy nie zostanie wysłuchany”.

Wiersz Zbigniewa Herberta *Do Ryszarda Krynickiego – list* był jedną z najważniejszych programowych manifestacji poetyckich nie tylko w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku, ale może w całym ubiegłym stuleciu. Wydrukowany został po raz pierwszy w 1984 roku w tomie *Raport z oblężonego miasta*. Mowa jest w tym wierszu o niezależności poezji i poety, który w ważnych chwilach powinien wzniesić się ponad doraźność, politykę i ekonomię. My zaś poeci – powiadał wtedy Herbert – „na chude barki wzięliśmy sprawy publiczne / walkę z tyranią z kłamstwem zapisy cierpienia”.

uwierzyliśmy zbyt łatwo że piękno nie ocala
prowadzi lekkomyślnych od snu do snu na śmierć
nikt z nas nie potrafił obudzić topolowej driady
czytać pisma chmur
dlatego po śladach naszych nie przejdzie jednorożec
nie wskresimy okrętu w zatoce pawia róży
została nam nagość i stoimy nadzy
po prawej lepszej stronie tryptyku
Ostateczny Sąd

Szlachetni niestety – powtarzał wtedy również Miłosz, także dostrzegając w służebności i upolitycznieniu poezji rodzaj zdrady. Autor poetyckiego listu do Krynickiego powiada, iż nie wie, jak pogodzić moralny obowiązek służenia z niepodległością piękna w sztuce. Pyta: „jakich sił trzeba”, żeby w takim czasie „w ogroju zdrady szeptać – cicha nocy”, by „wykrzesać (...) iskrę światła ha-sło pojednania”. Wcześniej zaś mówi:

na chude barki wzięliśmy sprawy publiczne
walkę z tyranią kłamstwem zapisy cierpienia
lecz przeciwników – przyznasz – mieliśmy nikczemnie małych

czy warto zatem zniżyć świętą mowę
do bełkotu z trybuny do czarnej piany gazet

Nie warto oczywiście. Można powiedzieć, iż nowofalowcy walczyli o czystą pianę gazet. Herbertowi w tym wierszu chodziło o to, aby poezja była niezależna od jakiejkolwiek mowy mediów. Na retorykę Herberta Ryszard Krynicki nie mógłby sobie pozwolić. Na taką ironiczną nonszalanję retorycznego podmiotu skonstruowanego w tym poetyckim liście. Wiersz Herberta mówi bowiem o wierszu, ale nie o sobie samym, mówi po „świętym słowie”, ale mówi z boku, sam siebie za takie „święte słowo” nie uważa. Poeta Krynickiego natomiast, odmiennie niż autor *Przesłania Pana Cogito*, nie jest ironiczny. Z przyjętą rolą identyfikował się w pełni:

wszystko możemy utracić,
wszystkiego nas można pozbawić

prócz niepodległych,
beziemiennych słów,
nawet gdy przez nas tylko przepływały,
oprócz świętego słowa, które nawet
w martwych językach lodu zapisane

doczeka się zmartwychwstania.

(*Książki, obrazy*)

Pisze krótko, drukuje niewiele. Ciało ślimaka, ciało miłości, ciało kamienia, ciało wieloznacznego słowa. Nigdy moje, nigdy twoje doświadczone ciało. Nigdy dosiężone ciało. Poezja staje się projektem takiego doświadczenia, dosiężenia – tylko i aż projektem. Im bardziej zwięzły jest ten projekt tym zdaje się bliższy celu, tym trafniejszy. Zawsze jednak zatrzymany p r z e d tajemnicą realizacji.

Nie wolno w sztuce udawać, kłamać ani ironizować, ani upraszczać. Trzeba być prawdziwym, wystawiać siebie na niebezpieczeństwo. Niezdarny czy językowo rozwiązły wiersz nigdy nie jest prawdziwy. Wiersz krótki jest jak jedna noga ślimaka – wrażliwa i jedyna, nic ponad nią. Inaczej poruszać się, inaczej żyć ślimak nie może.

Ryszard Krynicki

Ludzie, koty, miejsca, książki

(16 fotografii z lat 2006–2012)



Jerozolima, listopad 2006: szczelina w Ścianie Płaczu, wypełniona kartkami z modlitwami i prośbami do Najwyższego.



Jerozolima, koniec października 2006: Dolina Gehenny (Ge-Hinnom).
Po okolicznych wzgórzach w maju 1991 roku wędrował Zbigniew Herbert,
mieszkający wtedy w pobliskim Mishkenot Sha'ananim
(zob. zakończenie wiersza *Do Jehudy Amichaja*).



Jerozolima, koniec października 2006:
skała nad Doliną Gehenny.



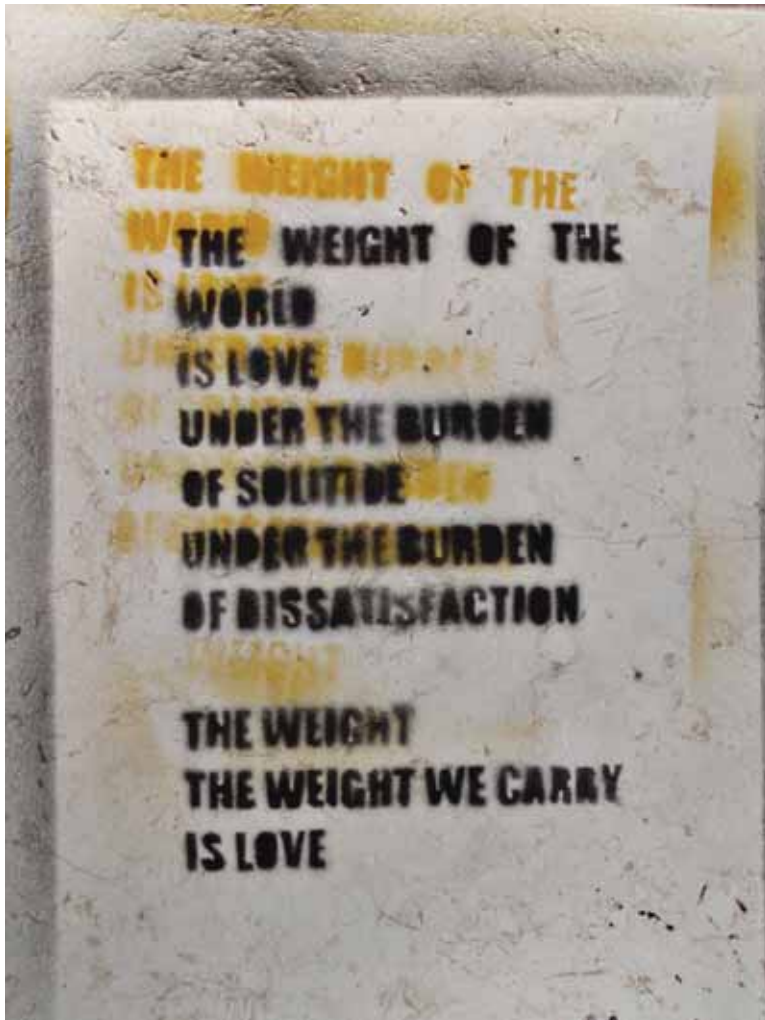
Jerozolima, luty 2009: chasyd z córeczką przy Ścianie Płaczu.
Za chwilę poda mi swój aparat, żebym zrobił im zdjęcie.



Córeczka chasyda przeciska się pod parkanem na stronę dla kobiet.

יום י-ם
המערבית
שמה





Jerozolima, luty 2009: graffiti.



Tel Awiw, luty 2009: pień figowca.



Tel Awiw, listopad 2008:
kotka na progu domu.



Zakopane, październik 2007:
Wisława Szymborska i Krystyna Krynicka.



Wisława Szymborska z przyjaciółmi w Lubomierzu (7 lipca 2009).





Kraków, 5 kwietnia 2012: z biblioteki Wisławy Szymborskiej.



Kraków, styczeń 2011: wojowniczy Kazurko.



Kraków, październik 2010: Maseczka.



Warszawa, maj 2009:
w drodze do Archiwum Zbigniewa Herberta.

Poezja precyzji

Ryszard Krynicki w rozmowie z Renatą Gorczyńską

Renata Gorczyńska: *Nagrywam po raz pierwszy na nowym laptopie z wbudowanym mikrofonem. Ekran automatycznie się wygasza, więc nawet nie wiem, czy komputer cokolwiek rejestruje. Trochę to deprymujące. Siedzimy naprzeciwko siebie przy stole w mieszkaniu Krynickich przy Stawarza w Krakowie. Z obojgiem znamy się od lat, ale ze względu na dzielącą nas odległość rzadko się widzujemy. Ryszard jak zwykle ubrany w czerni.*

Zapowiadam, że kiedy ogarnie mnie głód nikotynowy, wymknę się na taras. Próba mikrofonowa schodzi więc na niemiły mi temat odzwyczajania się od palenia. Ryszard mówi, że poczuł się wolny od palenia dopiero po kilkunastu latach. Jest jednak wyrozumiały, przynosi popielniczkę. Z własnego doświadczenia – dodaje – dobrze wie, że palenie ułatwia rozmowę i pracę umysłową. Skwapliwie się z nim zgadzam.

Ryszard Krynicki: *Jak się przestaje palić, to się robią...*

...dziury myślowe – uzupełniam.

Tak. Ale sobie pomyślałem, że skoro wytrzymałem pierwsze dwa tygodnie, to warto próbować dalej.

Nazajutrz po operacji, z kroplówką na stojaku, powlokłam się na klatkę schodową, żeby zapalić.

To też przerabiałem, także dzień po operacji. Było niekiedy ciężko, ale potrafiłem się powstrzymać.

Podziwiam jego siłę woli. Koniec próby mikrofonowej.

*

Leżą przede mną Wiersze wybrane, edycja, którą w tajemnicy przed Tobą przygotowała dla a5 Twoja żona Krystyna na Twoje 66. urodziny. Niecodzienny prezent. Ale podobno Twoja pierwsza reakcja nie była zbyt przychylna. Byłeś wtedy na basenie, i tam ten tom został Ci dostarczony przez ofiarodawczynię.

Myślałem wtedy, że to jest tylko ślepy egzemplarz, no wiesz, sama okładka i puste stronic. Takie rzeczy robią czasem w drukarni, żeby wymierzyć szerokość grzbietu.

I podobno od razu zacząłeś się wpatrywać w swój autoportret na okładce, wyrażając niezadowolenie, że zdjęcie jest niedokładnie wypośrodkowane, przesunięte o ułamki milimetrów...

Bo jestem wzrokowcem i takie różnice natychmiast dostrzegam. To zdjęcie powstało zresztą zupełnie przypadkowo. Sprawia wrażenie, jakbym je sobie celowo zrobił, gdy tymczasem po prostu wypróbowywałem aparat w windzie z lustrem, w muzeum Mumok w Wiedniu.

Ależ widać, że wzrok masz skoncentrowany na aparacie, nie na sobie, pewnie badasz jego parametry. Dlatego ten autoportret jest taki ciekawy. A wiesz, ja w czasie swoich samotnych podróży po różnych krajach robię sobie zdjęcia odbić w lustrach lub witrynach sklepowych i wnętrza kolejnych pokoi w hotelach, po prostu dla dokumentacji.

Ja także, ale nie wewnątrz tych pokoi, w których na ogół nie ma nic ciekawego, lecz widoków z okna. To robię dość często.

Bo w ogóle coraz bardziej frapuje cię fotografia...

Fotografią to ja się interesuję od zawsze. Wcześniej nie było mnie stać na aparat, dopiero w latach osiemdziesiątych zacząłem robić zdjęcia, kiedy dostałem w prezencie aparat od mojej przyjaciółki Joanny Chrader(?), która jest fotografką i przyjechała wtedy do Poznania.

Nie miałeś jeszcze swojej wystawy?

Tak daleko się nie posunąłem, ale Krzysztof Myszkowski był tak miły, że niedawno zamieścił w „Kwartalniku Artystycznym” kilkanaście moich zdjęć. Dla mnie osobiście to ważne wydarzenie.

Istnieje taki pogląd, że fotografia ma sporo wspólnego z liryką, a mianowicie uchwycenie chwili. Co Ty na to?

Zgoda, z tą istotną różnicą, że jak się robi zdjęcie, to tę chwilę utrwała aparat. Nasz udział jest w tym procesie niewielki – naciśnięcie spustu. Oczywiście, trzeba przedtem dobrać parametry. I na tym koniec, bo teraz rzadko kto wywołuje zdjęcia w domowej ciemni.

Tym ważniejszy staje się sposób widzenia...

Przy robieniu zdjęć trzeba mieć jeszcze trochę szczęścia, żeby trafić, żeby zdążyć uchwycić tę właśnie chwilę.

Czyli innymi słowy fotografia jest związana z czasem rzeczywistym, podczas gdy w liryce tę chwilę można odnotować po roku.

Albo i po kilku latach. Podobne jest więc tylko to, że w obu wypadkach mówimy o zapisie chwili, jeżeli przyjąć, że wiersz jest takim zapisem. A to wcale nie musi być tak.

Zwłaszcza w Twojej poezji. Zauważyłam, że pod niektórymi Twoimi wierszami pojawiają się dość odległe od siebie daty. Czyli coś zmieniasz po latach, coś dopisujesz...

Raczej skreślałam.

To racja. Niekiedy odnoszę wrażenie, że unikasz publikacji książkowych po to, żeby ciągle pracować nad swoimi wierszami, cyzelować je, minimalizować. Traktujesz je jako utwory do dalszej obróbki twórczej?

Po prostu lubię, gdy książka jest *in statu nascendi*. Ale jej wydanie to zawsze święto dla autora, więc i mnie sprawia to przyjemność.

Zwłaszcza dla kogoś, kto jest bibliofilem.

Nie, bibliofilem nie jestem, lecz miłośnikiem książek. Te słowa znaczą z pozoru to samo, natomiast w rzeczywistości wygląda to nieco inaczej. Bibliofile po prostu zbierają książki, niekoniecznie je czytając. Natomiast ja nazywam siebie ich miłośnikiem. Jeżeli z jakichś powodów chcę mieć taki nieskalany egzemplarz, kupuję od razu dwa.

Kiedy nauczyłeś się czytać?

Stosunkowo późno, choć jak poszedłem do szkoły, to już potrafiłem, natomiast nie umiałem pisać.

Pamiętasz swoją pierwszą samodzielnie przeczytaną książkę?

Nie, tyle, że była to książka z biblioteczki ojca, podkrażałem mu je. Bo właściwie nauczył mnie czytać ojciec.

Masz taki przejmujący portret ojca w jednej z Twoich małych próz. On również nauczył Cię obrabiania drewna siekierą.

Są rzeczy, o których mówić nie potrafię, o moich rodzicach też nie. To, co potrafiłem – napisałem.

Przypominam sobie z Twojej biografii, że Twoi rodzice byli różnego wyznania, chodzili do dwóch różnych kościołów.

Owszem, w młodości. Dziadek ze strony mojej mamy był grekokatolikiem, a jego żona – katoliczką, więc w tej rodzinie synowie pozostawali grekokatolikami, a córki katoliczkami, tak to było.

Jesteśmy rówieśnikami, rocznik 1943, i oboje przyszliśmy na świat w dramatycznych okolicznościach historycznych. Jak to się stało, że Ty, urodzony w obozie nazistowskim, zacząłeś się uczyć niemieckiego, by po latach zostać wybitnym tłumaczem i znawcą poetów języka niemieckiego?

Niemieckiego zacząłem się uczyć późno, właściwie kiedy byłem już dorosły, bo wcześniej trudno to było nazwać nauką. Chodziłem do liceum, gdzie były tylko dwa języki do wyboru: łacina i angielski. Wybrałem łacinę, bo uważałem

wtedy, że trzeba zaczynać od podstaw. Na studiach uczyłem się z kolei francuskiego. A niemiecki – robiłem to wyłącznie dla poezji, i to głównie jako samouk, niezbyt systematycznie. Moja nauka przybrała na intensywności, kiedy zapoznawałem się z poezją Rilkego. Najpierw oczywiście czytałem go po polsku, w czasach, kiedy tłumaczenia Jastruna nie były jeszcze publikowane w postaci książkowej, więc odkryłem dla siebie Rilkego w przekładach Witolda Hulewicza i Stefana Napierskiego. Akurat wszystkie te książki były w Poznaniu w bibliotece uniwersyteckiej, bo – jak wiadomo – Hulewiczowie byli związani z Wielkopolską. Gdy zacząłem czytać Rilkego, było to dla mnie tak silne przeżycie, jak wcześniej lektura Kafki czy Leśmiana. Równolegle próbowałem go czytać po niemiecku, praktycznie bez znajomości języka. Te przekłady Hulewicza doprowadziły mnie do niemieckiego ekspresjonizmu, co z Rilkiem nie ma zbyt wiele wspólnego, ale ma z braćmi Hulewiczami, bo obaj tworzyli polski ekspresjonizm.

A kiedy sobie uświadomiłeś „Jestem poetą”?

Nie mogę powiedzieć, że coś takiego sobie uświadomiłem. Raczej uzmysłowiłem sobie, że mam jakiś problem czy kłopot z sobą samym i ze światem, bo jestem trochę inny niż moi koledzy. Nie znaczyło to jednak, że od razu myślałem o sobie, że jestem poetą. I nawet kiedy już próbowałem pisać, to nie przychodziło mi do głowy, żeby pisać wiersze, lecz prozę.

Czy to znaczy, że się odżegnujesz od arkusza poetyckiego, wydanego w 1968 roku?

Nie, nie odżegnuję się, tylko nie mogę go traktować jak swojego debiutu, bo za dużo w nim było ingerencji cenzury. Nie ma tam na przykład istotnego wiersza, czyli *Naszego specjalnego wysłannika*. Ale są tam również ingerencje wydawcy, bardzo dla mnie przykre, z którymi trudno mi się było pogodzić.

Czytając Twoje poezje dochodzę do wniosku, że Twoim ulubionym stanem jest milczenie. Pisanie jest jakby przełamywaniem z pewnym trudem tego milczenia. To trafne rozeznanie?

Ja bym nie powiedział, że moim ulubionym stanem ducha jest milczenie. Raczej – muszę to tak nazwać – jest nim kontemplacja.

Chodzi mi o to, że milczenie jest jednym ze słów-kluczy w Twojej poezji.

Musi się pojawiać, bo po pierwsze występują u mnie okresy raczej dłuższego niż krótszego milczenia, a poza tym milczenie jest pewnym problemem, bo czasami chcielibyśmy usłyszeć jakąś odpowiedź, na którą my, ludzie, od wieków czekamy.

„Bo kontemplacja gaśnie bez oporu”, by zacytować Miłosza. Czym zapala się Twoja? Wszystkim?

No nie, nie wszystkim, bo tego mój umysł nie ogarnia.

Jednak często pojawia się w Twoich wierszach wizja kosmosu, uniwersum. Masz taki dramatyczny wiersz, w którym piszesz, że za chwilę nastąpi wieczna noc. W każdym razie istnieje próba ogarnięcia wyobraźnią galaktyk, wszech-świata.

Kto dosłyszysz
Cichnący psalm ziemi, nieme nawoływanie się
planet, pożegnanie galaktyk

Myślę, że nie aż tak, że takich ambicji nie zdradzam, bo to jest przede wszystkim niemożliwe. Natomiast czuję potrzebę, żeby od czasu do czasu przypominać o tym niewiarygodnym bezmiarze, w którym żyjemy. Nie mam poczucia, że to się kiedyś nagle skończy. To się nie może skończyć, skoro się zaczęło. Właściwie nie mogło się zacząć, ale skoro to nastąpiło, to musi trwać. Niepojęty jest i początek, i koniec, tak mi się wydaje.

Podczas studiów, na zajęciach z historii języka, dowiedziałam się ze zdziwieniem, że słowa „początek” i „koniec” wywodzą się z praindoeuropejskiego i mają ten sam rdzeń.

Nie zdziwiłbym się, gdyby tak było.

Wróć na chwilę do milczenia w Twojej poezji. Jeden wiersz głęboko mnie zaskłonił, ponieważ składa się wyłącznie z dedykacji. Dedykowany jest pamięci Brunona Jasieńskiego, nosi tytuł Biała plama i potem rzeczywiście jest tylko biała stronica. Biała plama – to jakby jej zapis graficzny. Tyle po nim zostało?

To jest wiersz bardzo wieloznaczny, rzekłbym. Przede wszystkim jest czystą aluzją literacką do wiersza samego Jasieńskiego. W swoim najlepszym okresie, futurystycznym, on napisał taki wiersz *Nic*, składający się tylko z tytułu. To jest w zamierzeniu trochę żart, a może raczej problem natury czysto poznawczej. Bo nic jest niczym tylko wtedy, kiedy nie jest nazwane. Kiedy zostaje nazwane, przestaje być niczym. Jeśli mamy kartkę papieru, na której jest napisane „nic”, to już nie jest nic. I kiedy piszę „Biała plama”, przestaje to być białą plamą, a staje się aluzją do białych plam w historii, do śniegów Syberii, i tak dalej. Ten wiersz jest dedykowany konkretnie Brunonowi Jasieńskiemu jako autorowi wiersza *Nic*, ale też odnosi się do jego tragicznych losów.

Podobny, choć nie tak lakoniczny, jest wiersz poświęcony Kazimierzowi Moczarskiemu.

Ten wiersz jest nie tyle jemu poświęcony, ile zbudowany z jego zdania...

Tak, rozumiem, to jest cytata z jego książki Rozmowy z katem. Zresztą zaznaczony kursywą.

Ta książka ogromnie mnie poruszyła. I tam pada to niesamowite zdanie: „księżyc świeci jednako i dla poety, i dla ludobójcy”.

Masz jeszcze jeden wiersz, w którym piszesz o „nic”. Na przykład ten z trzema gwiazdkami zamiast tytułu:

*(Z mistrza Eckharta
czy księgi Zohar?)*

nic, Bóg

Pewnie niejeden. Ale wiadomo, dlaczego tak jest w tym wierszu.

„Pamięć, ona wyprawia ze mną, co chce” – wypisałam sobie z jednego z Twoich wierszy. Czyli Twoja persona ciągle zwraca się wstecz...

Tak, bo literatura w ogóle musi być zwrócona wstecz. Nawet jeśli jest to nie-daleka, to jednak zawsze nieodwołalna przeszłość.

Czyli pamięć Ci podpowiada, co pisać? Podsuwa obrazy? A Ty nie masz na nią większego wpływu?

Mam, ale bardzo ograniczony. Należę do tych, co mają po prostu spóźniony refleks...

Nawet napisałeś o tym wiersz...

I myślę, że głównie dlatego jestem czy bywam poetą, bo mam ten spóźniony refleks. Jak napisała Wisława Szymborska, to jestem stareńki śmiertelny [?].

Znalazłam w Twoim tomie wiele wierszy poświęconych czy dedykowanych poematom. Na przykład wiersz o Audenie, starym, pomarszczonym, z zanikami pamięci.

W nim jest mowa o konkretnym zdjęciu. Jest taki portret Audena, chyba najczęściej reprodukowany, a w każdym razie taki, który głęboko wrył mi się w pamięć.

Masz też elegię na odejście Brodskiego, wiersz o Przybosisiu. Czy Przyboś był przez pewien czas Twoim przewodnikiem poetyckim?

Lubię wiersze Przybosia i bardzo go cenię jako poetę. Boli mnie, że jest teraz zapomniany, ale jest to los większości poetów, zresztą nie tylko ich. Rzekłbym, że dotyczy to większości ludzi. Był więc Przyboś bliskim mi poetą, ale nie mógłbym powiedzieć, że był moim przewodnikiem duchowym.

A był nim Rilke?

W bardzo dużym stopniu. To znaczy, jego poezja, bo o samym Rilke nie wiem zbyt wiele. Zresztą o nim jest trudno coś wiedzieć, bo cechowało go przede wszystkim bardzo intensywne życie wewnętrzne. No tak, wiemy, że był sekretarzem Rodina, co jest bardzo ciekawe. A wracając do Przybosia, pewnie chodzi Ci o to, czy miał na mnie wpływ.

Nie, raczej chodzi o powinowactwa z wyboru.

Na pewno ważniejsze było dla mnie odkrycie Leśmiana, kiedy miałem chyba siedemnaście lat.

A nie czytałeś w dzieciństwie jego baśni? Ja się na nich wychowałam.

Miałas nade mną tę przewagę, że pewnie dorastałaś w Warszawie, bo ja wychowałam się na prowincji, gdzie o książki było trudno. Leśmiana odkryłem dla siebie w przedostatniej klasie liceum i to było ogromne przeżycie. Do dziś mam ten tom.

Zaczyny?

Nie, bo ja czytam książki ostrożnie. I zapewne czytanie wierszy Leśmiana wyraziło mnie na poezję, w której język odgrywa bardzo istotną rolę, czyli na ten nurt w poezji polskiej, który zaczyna się od Norwida.

Niemniej jednak w swojej poezji nie używasz neologizmów, co było cechą charakterystyczną dla Leśmiana.

Rzeczywiście, nie tylko nie używam, lecz wręcz unikam. Z tym, że u Leśmiana na występują często słowa, o których myślimy, że są neologizmami, gdy tymczasem one istniały w języku, jak choćby trupięgi.

Przypomina się w tym miejscu fragment wywiadu z Tobą, gdy mówisz o związku u Leśmiana tematu Eros–Thanatos. I przy okazji wyrażasz żal, że nie napisałeś zbyt wielu wierszy miłosnych.

No to już muszę dodać, że jak zacząłem czytać Leśmiana, to byłem przecież w wieku dojrzewania i jego erotyki zrobiły na mnie wielkie wrażenie.

Leśmian stosował bardzo kunsztowne rymy. Ty na ogół pisziesz wiersze wolne, ale wiersze-introdukcje do poszczególnych tomików są rymowane, a na dodatek złożone kursywą. One się wyróżniają i inną, że tak powiem, szatą literacką, i graficzną.

No bo wiersze rymowane nie zdarzają mi się tak często, po prostu nie czuję takiej potrzeby, choć i ja przeszedłem przez okres sonetomanii. W pewnym czasie poeci z mojego pokolenia zajęli się pisaniem sonetów.

To bardzo trudne formalnie.

Nie, sonet nie jest taki trudny. Przeszedłem więc przez to, ale na szczęście nie opublikowałem żadnego ze swoich sonetów.

Erotyki, włączone do tomu Wiersze wybrane są bardzo zagadkowe, hermetyczne. Opisywane w nich kobiety są na pograniczu bytu i niebytu, mają coś ze zjawy senniej. Nie mają imion, nie można sobie wyobrazić, jak wyglądają.

Tak, bo kobiety w poezji są zazwyczaj z pogranicza jawy i snu.

W ogóle Twój bohater liryczny bywa często bohaterem onirycznym, jak to sobie nazwałam. Bo też często Twoje wiersze są ciągiem nakładających się obrazów sennych, albo przynajmniej ich punktem wyjścia jest jakiś sen.

Tak, zdarzyło mi się nieco wierszy, w których albo próbowałem opisać swoje sny, albo jakieś sprawy, które się zaczęły we śnie. Oczywiście, że snami jest tak, że kiedy człowiek usiłuje je sobie przypomniać, to one uciekają. A kiedy staramy

się je opisać, to musimy je jakoś nazwać. To jest tak jak w filmie – nie śnią się nam opisy, lecz sceny, niekiedy dialogi. Z tym że jest to dziwny film – jakby widziany przez głównego bohatera, którego z kolei nie widzimy. Próbuje się sobie przypomnieć przez jakiś opis. I wtedy się okazuje, że po pierwsze, sny są nieprzekładalne, a po drugie zmieniają się wskutek samej czynności opisywania. Szkoda więc, że snów nie można nagrać.

Jeśli można by je było nagrywać, byłaby to ogólnie dostępna wiedza o nas dla wszelkich służb specjalnych.

To racja. I myślę, że to nawet dobrze, że niewiele się z tych snów pamięta.

Czy zgodzisz się z tym, że jednym z głównych motywów w Twojej poezji jest podróż?

Była, była na pewno. Czy jednak jest nadal? Nie jestem pewien.

Ostatni wiersz, który zamyka ten tom, jest obrazem Jerozolimy. A jest i Berlin, i Wiedeń i inne miasta. Podróż jest zresztą rozumiana wielorako, także jako droga od narodzin do śmierci.

Zgoda, ale teraz jest trochę inaczej niż w młodości. Moim fundamentalnym przeżyciem jest podróż, której nie pamiętam, z obozu w Sankt Valentin do miasteczka, z którego pochodzą moi rodzice. Trwała bardzo długo i była pełna niebezpieczeństw. A potem była jeszcze podróż z tamtego miasteczka do Wielkopolski, gdzie zamieszkaliśmy.

Musiło Cię uwierać poczucie wyobcowania. W jednym z wierszy piszesz, że chłopcy w szkole nie wiedzieli, kim jesteś i przezywali Cię „Ruski”, „Szwab”, „Żyd”. Najwyraźniej mieli kłopoty z zakwalifikowaniem Ciebie do jakiejś grupy.

No tak, bo wiedzieli, że urodziłem się w Austrii, ale najczęściej przezywali mnie „Kangur”, bo Austria im się kojarzyła z Australią. A ponieważ moja rodzina pochodzi z Kresów, w odróżnieniu od moich kolegów z Wielkopolski, to oni mówili o sobie, że pochodzą z Polski. To był taki elementarny podział, na tych zza Buga i na tych z rdzennej Polski. Siłą rzeczy musiałem być obcy. Nie dość, że taki urodzony w Austrii i pochodzący zza Buga, to jeszcze mówiący inaczej.

Nie pamiętasz tej pierwotnej podróży, bo byłeś za mały, znasz ją tylko z relacji rodziców...

...i to szczątkowej. Niemniej przez wiele lat były one najdłuższymi podróżami mojego życia. Bo potem po raz pierwszy wyjechałem za granicę na krótko do Wiednia w maju 1973 roku z Katarzyną i Zbigniewem Herbertami, z okazji przyznania mu Nagrody imienia Herdera. Przypadek sprawił, że pojechałem do kraju mego urodzenia.

Na dobrą sprawę mógłbyś się ubiegać o obywatelstwo austriackie, gdybyś miał taką ochotę.

Nigdy się tym nie interesowałem, chociaż jak odwiedziłem po raz pierwszy Sankt Valentin, a zawiózł mnie tam Peter Lachmann, który wracał z Grecji do Niemiec i przejeżdżał przez Wiedeń, wyrobiłem tam sobie metrykę. Nigdy bym nie chciał ubiegać się o obywatelstwo austriackie, a czy mógłbym? Jednak chyba nie, bo urodziłem się tam jako niewolnik.

Jak się tam czułeś po latach?

Przed wszystkim nie pozostało tam żadnego śladu po obozie, w którym się urodziłem.

Oglądałeś jakieś zdjęcia obozowe?

Wtedy nie. W kwietniu 1978 roku w ratuszu było dość enigmatycznie, urzędnicy o tym obozie nie wspominali.

To dla nich wstydlivy temat.

Natomiast w 2008 roku zaproszono mnie w rocznicę zakończenia II wojny, 9 maja, do Sankt Valentin, bo tam po wielu latach ufundowano kamień pamiątkowy, ale nie na terenie obozu. Okazało się zresztą, że były tam dwa obozy. Dla mieszkańców to oczywiście żenująca sprawa, więc długo trwało, zanim się zdecydowali na upamiętnienie ofiar. Kamień umieszczono na terenie neutralnym, pomiędzy tymi dwoma obozami. Ja się urodziłem w Lager Windberg, i on rzeczywiście leży na zboczu góry. Teraz znajduje się tam ekskluzywne osiedle mieszkaniowe o tej samej nazwie.

To bardzo szczególnie wichrowe wzgórza...

Tak, bo na dodatek z tego miejsca widać Mauthausen. Do dzisiaj nie wiem, czy Windberg był podobozem, czy funkcjonował osobno, bo w Sankt Valentin mieściła się wielka fabryka czołgów, trzecia co do wielkości w całej Rzeszy. Tego wszystkiego dowiedziałem się, będąc tam niedawno.

I niewolnicy tyrali przy ich produkcji. Jesteś jedynym dzieckiem?

Nie, mam jeszcze brata i siostrę, tyle że przez sześć lat byłem jedynakiem.

Istnieje pogląd, że rzeczywistość stanu wojennego nie znalazła większego odbicia w literaturze polskiej. Poświęciłeś temu tematowi sporo wierszy z cyklu Głosy, bardzo przejmujących między innymi ze względu na ich nadzwyczaj zwięzłą formę.

Właściwie to jest tom, który nigdy nie ukazał się w oficjalnym obiegu, bo był wydany w podziemiu.

W siedemnastu egzemplarzach? Bo już więcej nie dało się sporządzić?

Nie, ten w siedemnastu egzemplarzach to był *Wszystko jest możliwe*. Miałem taką maszynę, że można było na niej wykonać najwyżej trzy przebitki. Ta trzecia kopia była praktycznie już nieczytelna. Trzeba się było napracować, żeby to przepisać.

Któryś z Twoich tomików ukazał się zaledwie w jednym egzemplarzu.

Owszem, ale trudno to nazwać tomikiem, bo to były kolaże, to znaczy teksty układane ze słów wyciętych z gazety, czyli była to książka do pokazywania i rzeczywiście mogła istnieć tylko w jednym egzemplarzu.

Jak dzisiaj wspominasz te czasy zakamufLOWANYCH drukarń, potajemnie odwiedzanych piwnic, szukania papieru, kalki maszynowej? Warto było?

Ja sobie takich pytań nie zadawałem i nie zadaję. Można by raczej zapytać, czy było to konieczne i czy było to potrzebne. Wydaje mi się, że na pewno było potrzebne. Inna sprawa co zostanie z tego jako literatura. To jest pytanie – rzekłbym – intymne. To jest trochę tak, jak przypomnieć sobie, że jednak raczej się nie czyta wszystkiego, co się ukazywało w podziemiu w czasie okupacji niemieckiej, choć bywało to okupione śmiercią, a dziś nie budzi większych emocji. Jak się o tym pamięta, to los większości utworów, co powstały w stanie wojennym w podziemiu, może być podobny.

Mnie poruszył Twój wiersz Twarzą do ściany, bardzo mocny. Jest jeszcze Dobroć jest bezbronna, tyle że koda tego wiersza odsuwa możliwość spełnienia się tej do broci w jakąś niewyobrażalną przyszłość.

Dobroć nie musi zwyciężać:
dobroć jest
nieśmiertelna.

Tego może się nie dostrzega, ale w rzeczywistości jest to wiersz polemiczny. Jak pewnie pamiętasz, na początku stanu wojennego media przez pewien czas pokazywały jakieś autorytety wyciągnięte z szafy – profesorów czy artystów. I ci ludzie mieli za zadanie bronić tego stanu wojennego. Wiersz jest aluzją do wypowiedzi jednego z nich, jakiegoś mediewisty poznańskiego. Nie wiem, jak zmuszono go do występu w telewizji. Wiedziałem o jego istnieniu, zajmował się głębokim średniowieczem, aż go dopadła rzeczywistość. I on, wypowiadając się w obronie stanu wojennego, mówił, że czasami dobroć wymaga siły. Już nie pamiętam, jak to dokładnie ujął, ale o to mu chodziło. Zmusił mnie więc do napisania tego tekstu.

Zauważyłam w Twojej poezji pewien charakterystyczny rys typograficzny: na ogół ostatni wers jest pisany z podwójnym odstępem, jakby miał być takim mocnym finalnym akordem.

Często się tak zdarza, zgoda.

Jako czytelnik jestem też zaciekawiona przypisami, zwłaszcza do wierszy. Ale tylko nieliczne ze swoich utworów zaopatrujesz w przypisy, chciałoby się ich więcej.

Jeśli chodzi o przypisy do wierszy, to oczywiście nie ja je wymyśliłem. Chętnie bym ich unikał, ale prawdę powiedziawszy, lubię przypisy w książkach, i to

od dzieciństwa, bo wiele się z nich dowiedziałem. Wiadomo, że one rozpanoszyły się w poezji co najmniej od czasów Eliota. Ja osobiście staram się nie dawać przypisów, które by objaśniały tekst, ale czuję potrzebę, żeby coś dopowiedzieć albo coś przypomnieć – jakieś nazwisko czy miejsce. W literaturze polskiej wielkim mistrzem od przypisów był Miriam Przesmycki i on właściwie wprowadził ten styl w swojej edycji Norwida.

Mamy jeszcze jeden temat nieruszony, a mianowicie Twoje przekłady poetyckie. Poświęciłeś spolszczeniu poezji Nelly Sachs ponad dwadzieścia lat. Tłumaczyłeś też Celana, którego twórczość wymaga zresztą mnóstwa przypisów. Przekładałeś Brechta i innych poetów niemieckich. Jaki jest główny powód tych zajęć dla poety? Podzielenie się tymi dziełami z czytelnikiem? Szlifowanie formy?

Powodów jest zawsze więcej niż jeden. Różnie też bywa. Zdarzało mi się tłumaczyć również na zamówienie, ale wierszy na zamówienie przełożyłem najmniej. Teraz raczej unikam takich zadań, bo po prostu nie jestem zawodowym tłumaczem. Nie znaczy to jednak, że rozgraniczam przekłady na te na zamówienie jako gorsze i te z własnej potrzeby jako lepsze. Nie, tyle, że z tymi z własnego wyboru mogę sobie pozwolić na większy luksus: robić je bardzo długo. Nie obowiązują mnie terminy, których należy dotrzymać. Sam je sobie wyznaczam, a raczej wiersz przeze mnie tłumaczony wyznacza mi ten termin. Niekiedy nie wiem nawet, czy w ogóle skończę przekład danego wiersza. Tłumaczę takie, które mnie poruszają i które sam bym chętnie napisał, czyli decyduje o tym głęboka więź z oryginałem. I też nie ukrywam, że nie widzę większej różnicy między tłumaczeniem wiersza a jego pisanie. Poza tym staram się wydawać tłumaczenia wraz z oryginałem. To dla mnie bardzo ważne, żeby czytelnik mógł je sobie sam porównać.

Jeszcze ciekawsze byłoby zamieszczenie przekładów tego samego wiersza autorstwa różnych tłumaczy.

To akurat bardzo lubię. Przez lata tak się w Polsce robiło, w serii celofanowej PIW-u na przykład.

Istnieją jednak wiersze nie do przetłumaczenia. Człowiek dochodzi do ściany – i nic. Tak oporna bywa twórczość Celana.

Przed wszystkim Celana, chociaż i w przypadku Nelly Sachs to się zdarza, tyle że z innych przyczyn, bo jej wiersze nie są tak mocno osadzone w języku.

A poezja Brechta chyba takich zapór przed tłumaczem nie stawia?

Jego twórczość poetycką odkryłem dla siebie dość późno, pod koniec lat sześćdziesiątych. I wtedy sobie uświadomiłem, że jest praktycznie nieznała czytelnikowi polskiemu.

Ja swego czasu czytałam jego poezję w tłumaczeniu na angielski.

W Polsce mały wybór jego wierszy ukazał się w latach pięćdziesiątych, a potem przez wiele lat nic. Zwłaszcza *Elegie bukowskie*, *Bukower Elegien*, były dla mnie odkryciem, bo nie zdawałem sobie sprawy, że on nie do końca był prawowitym czy prawowiernym komunistą. Ale przede wszystkim ten cykl to świetne wiersze, prawie wszystkie z nich.

Część Twoich wierszy to prawie haiku, jak zresztą brzmi tytuł jednego z nich. Często przytaczasz mistrza tego gatunku, japońskiego klasyka Issę.

To też ma wiele wspólnego z Brechtem, który był pilnym czytelnikiem poezji dalekowschodniej, z tym że bardziej chyba chińskiej niż japońskiej. Moim zdaniem, widać to we wspomnianym cyklu elegii. Dlatego dodatkowo go za to polubiłem.

A Issę czytałeś po angielsku, po francusku?

Najpierw po rosyjsku. Kupiłem sobie kiedyś taką antologię poezji starojapońskiej, a później czytałem go głównie w przekładach niemieckich, nawiasem mówiąc doskonałych. No i znam go w tłumaczeniu na angielski, z którego – jak sądzę – korzystał Czesław Miłosz. Kiedy natrafiłem na jego wiersz *Czytając japońskiego poetę Issa*, było to dla mnie i wielkim zaskoczeniem, i wielkim wzruszeniem, bo nie miałem pojęcia, że Miłosz czyta akurat ogromnie ważnego dla mnie poetę. To wydarzenie ma zresztą konkretną datę i miejsce: byłem wtedy po raz pierwszy w życiu w Berlinie Zachodnim, zatrzymałem się u przyjaciół. Zawiozłem im wtedy mój wiersz *Poeta Issa*. Oni potem wyjechali, zostawiając mi swoje mieszkanie, a w nim bibliotekę. Mieli dużo książek wydanych przez „Kulturę” i same miesięczniki „Kultura”. I nagle w jednym z numerów, bodaj z roku 1978, znalazłem wiersz o moim poecie.

Twoje wiersze mają często formę apostrofy. Skąd taka skłonność?

To są bardzo różne „ty”. A „ty” jest ważniejsze od „ja”. Zresztą w języku polskim nasuwa się niemal automatycznie. Nieprzypadkowo świetne niegdyś pismo nosiło tytuł „Ty i ja”, a nie „Ja i ty”.

Co w Twoim obecnym dziele czerpie z doświadczeń Nowej Fali?

Przed wszystkim nie wypieram się tego, że byłem poetą Nowej Fali i że w jakimś sensie nadal nim jestem, chociaż piszę teraz zupełnie inne wiersze.

No to gdzie jest ten związek?

Myślę, że to, co jest najważniejsze w języku Nowej Fali, to wyczulenie na konkret. Jej poeci tego nie wymyślili, ale przywiązywali do tego ogromną wagę. I wyczulenie na konkret jest chyba bardzo istotną cechą współczesnej poezji polskiej, od lat powojennych do dzisiaj. Sądzę, że to stanowi o jej odrębności czy oryginalności. Dla mnie przynajmniej wiersz musi być precyzyjny.

Kraków, w sierpniu 2012

LESZEK A. MOCZULSKI

Piosenka na koniec świata. O zagrożeniach

„...którzy włóczą się aby posłuchać
zwierzęcych krzyków bólu i chodzą
tam i z powrotem
w kompletnej bezczynności...”

(Samuel Beckett, przełożył Marek Kędzierski)

O, sztywni ludzie, o, wyniośli ludzie, o uniezależnieni od cierpiących
O, miłość twardnieje, o, współczucie twardnieje, o, życzliwość twardnieje.
Jak bumerang wraca wet za wet, brak miłości, za brak miłości, ból za ból.
Dobro brunatnieje – a to czerwone po zachodzie, wschodzi, czerwienią
barwi glob też.

Zew zła wyje głodny. Boże! Skąd przyjdzie równowaga i ład?
Ze skandalu miłosierdzia? Z Bezbronności lecz Nieustępliwości?
Pola minowe, pola minowe – a miłośni jedyni którzy rozbrajają,
saperzy.



MAREK SKWARNICKI

Pamięć się budzi

Pamięć
się budzi
Perłowych wybrzeży
Wód na Karaibach
Pacyfik pod chmurami
Loty podniebne
Przepych wulkanów
Góry skaliste
Alpy z lotu ptaka
Sznur gęsi z wolna płynie
Ponad Kalifornią.
Pod słońca za chmur krańcem
Gasnącą potęgą

Pamięć
się budzi.
Piękne jej marzenia
Które jak wszystko giną

Dola i niedola
Miłość
lęk, zagłada
Triumf potęg świata
Wszystko to przepada
I tylko jedno może człowieka pocieszy

Że poezję istnienia
Bóg potrafi wskrzesić.

Śmiechu warte

śmiechu warte były jego usiłowania
żeby zostać
 artystą.
chciał pisać wiersze, ale nie wiedział dlaczego. Ponieważ nie wiedział
dla czego, to te wiersze

zupełnie mu się nie udawały.
chciał być malarzem
ale okazało się że nie ma takiej wyobraźni która by sprostała
pięknemu jakiego chciał wyrazić
ale to piękno czuł
 i ono istniało naprawdę
w jego piersiach
w jego przeżyciach
jego myślach:
piękno poezji
i piękno obrazów.
wreszcie postanowił
spróbować napisać teatralną sztukę
z myślą o tym, że sam w niej odegra
główną rolę. i napisał sztukę
o kimś, kto chciał zostać
 artystą.
ale wiersze mu się nie udawały.
obrazy malowane nawet z pewną wprawą z biegiem czasu
nikomu się nie podobały.
I w tej sztuce on był bohaterem
ale tym razem takim
który był prawdziwy
i ta prawdziwość
została dostrzeżona

Dar

Trudno mi oderwać myśli
od twego istnienia i urody płynącej
ze spojrzenia z dobroci uśmiechu
może z twojego serca
Same tajemnice zawsze ubrane w modne suknie
Wdzięk tych tajemnic
przypomina o istnieniu w kobietach
ukrytego daru
który otrzymały od Boga
po to by świat był mniej samotny

Odmowa

Nie, nie będziecie mieli sztuki.
Nikt nie utrwali waszych twarzy.
Nikt nie opisz waszych wzruszeń,
nikt waszych cierpień nie rozważy
i nie zaśpiewa o was nikt.
Zostanie tylko stos papieru,
tysiące głuchych telefonów,
dyplom i order lub nagany,
pokryte wapnem cztery ściany,
odpisy waszych świadectw zgonu
a w głębi serca martwy wstyd.

Nie, nie będziecie mieli sztuki.

Będziecie mieli tylko władzę,
która nie będzie waszą władzą.
Będziecie mogli rozkazywać

O ile rozkaz wam wydadzą

A N K I E T A

MOI MISTRZOWIE

STEFAN CHWIN

Moimi mistrzami nie byli:

Józef Piłsudski (bo zamach majowy i znieważanie posłów polskiego parlamentu)

Jan Paweł II (bo aktor teatru Kotlarczyka, recytujący *Lillę Wenedę*)

Lech Wałęsa (bo kiedyś wyznał, że jest dumny z nieprzeczytania ani jednej książki)

Tadeusz Peiper (bo chciał zmienić czytanie wierszy w torturę)

Św. Franciszek z Asyżu (bo jednak przesadzał, mówiąc do ryb)

Leopold Staff (bo za bardzo zrównoważony)

Tadeusz Różewicz (bo plótł banały na temat upadku cywilizacji)

Witkacy (bo jednak wariat, chociaż piekielnie zdolny)

Miron Białoszewski (bo jednak przesadzał lingwistycznie, wierząc, że wszystko, co zapisze, jest literaturą)

Zbigniew Herbert (bo napisał nierozsądny wiersz przeciwko tym, co na kolanach)

Jerzy Grotowski (bo nie widziałem na żywo ani jednego jego przedstawienia)

Moimi mistrzami byli:

Józef Piłsudski (bo jednak trzymał klasę, nawet gdy przegrywał)

Jan Paweł II (bo miał świetny kontakt z obcym tłumem)

Lech Wałęsa (bo jednak nie zrobił żadnego poważniejszego głupstwa w 1980 roku, co nie było łatwe)

Tadeusz Peiper (bo napisał znakomite eseje teoretyczne)
Św. Franciszek z Asyżu (bo jednak umiał myśleć pod prąd)
Leopold Staff (bo napisał świetne *Wysokie drzewa*)
Tadeusz Różewicz (bo napisał świetne *Do piachu*)
Witkacy (bo zrobił coś właściwego)
Miron Białoszewski (bo był zdolny do kompletnego odlotu)
Zbigniew Herbert (bo napisał świetny esej o albigensach)
Jerzy Grotowski (bo mnie do niego przekonywał Jan Błoński)
Ponadto moimi mistrzami byli: Jan Błoński, Maria Janion, Czesław Miłosz.

MAREK SKWARNICKI

Głównym moim mistrzem był i jest Czesław Miłosz. Był i jest on tak mi bliski wyobraźnią, być może językiem (jestem Kresowiakiem), że trudno mi kogo innego przywołać. Na drugim miejscu umieściłbym Zbigniewa Herberta, nie tylko dlatego, że się przyjaźniliśmy, ani dlatego, iż poza Miłoszem odkryłem go jako twórcę odpowiadającego moim wewnętrznym impulsom intelektualnym, wyobraźniowym, czasem metafizycznym, ale i dlatego, że po prostu jest to obok Miłosza poeta XX wieku. To, że Herbert nie dostał Nagrody Nobla, jest czystym przypadkiem. Ale co by to zmieniło? Na pewno nic ważnego.

Mistrzami moimi w studenckiej młodości byli również Skamandryci. Kształciłem się na Uniwersytecie Warszawskim, autorzy byli dostępni w bibliotece uniwersyteckiej, a i w domu krewnych też było wiele poezji Wierzyńskiego, Leśmiana, Jastruna, Tuwima. Tę literaturę uznałbym, gdyby nie miało to słowo pejoratywnego znaczenia, za taki codzienny obrok poetycki. Najważniejszy był jednak Miłosz! Autor *Daru* to jest tak olbrzymie spektrum literackie, że właściwie nie można powiedzieć tylko, że moim mistrzem był Miłosz, ale że jego mistrzostwo wywarło głęboki wpływ na mój umysł i duszę. Z pewnością trzeba przeprowadzić podział pomiędzy jego prozą, eseistyką i poezją. Na czoło wybija się oczywiście poezja, która cała jest doskonała (piszę to jako czytelnik), a niektóre wiersze stały się jakby mottem moich decyzji życiowych i postępowania za czasów totalitaryzmu. To, co jest prozą (ale nie chodzi o publicystykę), ma jakiś zmniejszony walor artystyczny w literaturze Miłosza. Myślę o *Zdobyciu władzy* czy *Widzeniach nad zatoką San Francisco*. Z pewnego schematyzmu jego prozy wyłamuje się *Dolina Issy*. Jest to proza, ale bardzo specyficzna. Z poezji zrobiły na mnie w życiu największe wrażenie *Walc*, a także wszystkie inne utwory z tomu *Ocalenie*, wiersze z tomu *Światło dzienne*, w tym *Traktat moralny* i *Traktat poetycki*. Od mojego wiersza *List z Warszawy* drukowanego w 1957 roku w „Tygodniku Powszechnym” rozpoczyna się moja bardzo powoli biegnąca wżwyż kariera poetycka.

P O C O L I T E R A T U R A ?

PIOTR MATYWIECKI

Mam dwie odpowiedzi. Pierwsza jest taka:

Każdy człowiek snuje wewnętrzny m o n o l o g. Tworzywem tego monologu są słowa i obrazy, słowa zmieszane z obrazami i obrazy przesycone słowami – znaczenia i wizje błąkają się w świadomości, nie poddane porządkującemu dyskursowi. „Strumień świadomości”, czy też „wewnętrzny monolog”, jako techniki pisarskie tylko pozorują to zjawisko. Gdyby było możliwe objawienie wewnętrznego monologu innym ludziom, jego walor komunikacyjny byłby znikomy. Na szczęście możemy ten monolog snuć w ukryciu, nie wstydząc się jego irracjonalnego toku, nieprzetłumaczalnego na zwykłą, międzyludzką mowę.

Ale nie tylko monologujemy. Człowiek w duszy d i a l o g u j e sam ze sobą, zaczepia sam siebie, prowokuje, ma do siebie pretensje, obwinia się i usprawiedliwia. Wprawdzie przedmiotem dialogu są sytuacje jak najbardziej realne i wyraziste, to jednak kwestie tego solilokwium formułowane są w mowie czystego, przed-werbalnego sumienia, nie mogą się rozstrzygać w kategoriach kodeksów i dekalogów. Jeśli sumienie jest, jak wierzę, pierwotnym składnikiem świadomości, to chaotycznie rozmawiając sam ze sobą człowiek zna swoją niewinność i winę. Zna je zanim etyczną myślą oszacuje, oceni własne postępowanie, swój udział w życiu innych ludzi. Gdyby udało się ten wewnętrzny teatr ukazać innym ludziom, jego moralna wymowa byłaby niejasna, nie mogłaby też stać się wzorcem etycznych dylematów, ani do takich dylematów nie mo-

głaby się przyrównywać. Literatura jest po to, żeby wbrew tym niemożliwościom włączać w życie społeczne zarówno wewnętrzny monolog, jak i wewnętrzny dialog każdego „ja”.

Odkąd opanowały nas mass media i pozwoliliśmy zagłuszyć się zewnętrznemu światu, nie potrafimy odpowiednio „zachować się” wobec własnego monologu – brakuje nam cierpliwości i ciszy, cierplivej ciszy do jego wysłuchiwania. Tylko literatura używa słów, z których owa cisza się rodzi. Od tego samego czasu i z tej samej przyczyny nie umiemy rozmawiać sami ze sobą. Brakuje nam szczerości, bo pozbawieni jesteśmy empatii wobec własnego „ja”, i brakuje nam wewnętrznego dystansu. Te cechy naszego wnętrza niejako scedowaliśmy na ich medialne, zewnętrzne wobec nas, reprezentacje. Mass media napełniają nas sztucznym tworzywem rzekomej osobowości, podmieniają moje „ja” na jego medialny fantom. W tym jednolitym, nudnym tworzywie nie potrafimy odnaleźć czegokolwiek dojmująco własnego, osobowego. Tylko literatura zna słowa, dające nam poczucie unikalności własnego „ja” i jednoczesnego stowarzyszenia się z innymi osobami. Literatura przewyższa samotność i empatię: daje mi prawdę o mnie samym – wobec Drugiego.

Chociaż mam wiele podziwu dla dzieł literackich, które potrafią wykorzystać właściwości mass medialnej zagłuszarki, bo wydobywają z niej muzykę brutalnej rzeczowości, to jednak chcę czytać słowa ciszy. Chociaż doceniam taką literaturę, która uprawia taniec fantomów „ja” z fantomami „ja”, bo to bywa taniec pięknych uników przed sobą samym, to przecież siłę życia daje mi tylko prawda o mnie.

*

A oto druga odpowiedź, w jakiś sposób pokrewna tej pierwszej:

Literatura jest po to, żeby zachować c a ł e g o człowieka, który ją tworzy. Wierzę, że tylko słowa mogą przejąć od człowieka jego oddech, rytmy jego ciała, jego myśl i podświadomość. Słowa odwzorowują mnie, ale i – w samej swojej słownej istocie – uobecniają. Nie mają tej zdolności ani obrazy ruchome albo nieruchome, ani bezsłowna muzyka. Najpiękniejsze obrazy utrwalają widzialne, materialne t ł o naszego istnienia, najbardziej poruszająca muzyka stowarzysza się z naszym wewnętrznym strumieniem czasu – ale muzyka nie daje mi poczucia, że jest mną, a ja nią jestem. Słowa literatury nie dlatego mnie do siebie przywiązują, żebym naprawdę wierzył w przetrwanie kogokolwiek w literaturze. Nie o przetrwanie, o o b e c n o ś ć mi chodzi. Tylko literatura stawia obok mnie – i czyni to zarówno, kiedy jestem jej autorem, jak i jej czytelnikiem – mnie samego!

Literatura jako pewna dyspozycja życiowa, a nie jako dokonane dzieło, pozwala pisarzowi, zanim wplącze się w rozmaite uprzedmiotowiające go techniki, zanim się przed sobą zamaskuje, widzieć siebie żywego i c a ł e g o. Odbiorca, zanim w pierwotnym kontakcie z dziełem wejdzie w konwencję literackiego czytania, już kiedy tylko nastawia się na akt lektury, widzi kim mógłby być: mógłby być sobą c a ł y m, bo nagle odczuwa, że słowa nie „należą” ani do ciebie, ani do mnie, nie są częściami naszych umysłów. Słowa są moim c a ł y m „ja”. Świadomym, podświadomym, nieświadomym. To są przeżycia literackie pierwotniejsze od wszelkich kultur literackich, stylów, technik. Ktoś, kto po raz pierwszy w dziejach, jeszcze nawet w formie ustnej, a nie pisemnej, p o w t ó r z y ł przed sobą samym i przed słuchaczami coś, czego był świadkiem – ten ktoś zarazem p o w t ó r z y ł przed nimi siebie samego z chwil, kiedy świadcował. I dzięki temu po raz pierwszy zobaczył siebie c a ł e g o. Podobnie jego słuchacz.

Jeśli nawet żaden dzisiejszy utwór literacki (i wiele dawniejszych) nie chce mi towarzyszyć w odczuciu mojego całego ja – to nic mnie nie obchodzi taka jego intencjonalna małoduszność. Nie wierzę jej i nawet wbrew niemu czytam tak, żebym był c a ł y.

Po to literatura.

LESZEK A. MOCZULSKI

Zapiski

Nigdy nie jest za późno
„niewiele możemy dać, a możemy życie upiększyć –
żyjemy, pracujemy w zgodzie z ładem wewnętrznym”.

„Dopóki się nie zakochamy w miłości
będziemy jak turyści
Będziemy podziwiać sztukę, literę
przez które wieje piękno
będziemy krążyć w obiegu książek
a oddać miłości nie mamy z czego”.

Ars Poetica

Późno poznaję swoją miłość
jaka mych wierszy jest przyczyna
kocham ludową prostą zwrotkę
kocham Miłosza i Tuwima.

Kocham Szymborską, Różewicza
i Czechowicza nieustannie
i małomówną strofę Staffa
Lieberta *Próby* i *Litanie*.

I Barańczaka, Krynickiego
wiersze, kodeksy oraz spory
Zagajewskiego, Bronia Maja
i mgłę krakowską, Kraków szczodry.

Od lat wciąż kocham potajemnie
poemaciki *Słówek* Boya
Dwu starszych w kabarecie panów
Makuszyńskiego humor Lwowa.

Nie ma w tym żadnych wielkich reguł
po prostu jestem zakochany
w depresji czytam kilka książek
cały Skwarnicki zaczytany.

Kocham poetów zapomnianych
przełomu epok kruche piękno
Czasami jest to Jan Wroczyński
Baczkowski Faber i Dobreńko.

Lecz serce moje u Pigonia
u tych co dawnych wieków strzegą
i słuchać mogę godzinami
poetów szesnastego wieku.

Co mogę dodać? To Kantyczki,
Te Deum, psalmy oraz hymny
W wiejskich kościółkach tak jak zawsze
Tak jak w dzieciństwie śpiew maryjny.

Tak kocham słowa, jak potrafię
najczęściej proszę je o pomoc
jak mówi Norwid – co zostaje?
oprócz poezji tylko dobroć.

MAREK SKWARNICKI

Nie mógłbym żyć bez literatury. Pierwszą samodzielną lekturą z intencją, żeby się wprawiać w czytaniu, był *Potop* Sienkiewicza. Dopiero później, jak już bardziej dojrzałem i umiałem czytać, przyszła kolej na lektury młodzieżowe, przygodowe. Nie będę ich wyliczał, bo to jest popularny zestaw autorów i tytułów w czasach mojego dzieciństwa, pierwszej dekady życia, która przypadła na lata 1930–1939. Gdzie mogłem, czytałem łączywie. Gdybym nie przeczytał książek, które przeczytałem, moja świadomość historyczna jako Polaka i ukształtowanie duchowe byłoby odmienne aniżeli to, które mi dała na przykład książka *Serce de Amicisa* i oczywiście cała polska proza przełomu XIX i XX wieku. Jeżeli chodzi o książki tego czasu, czytałem je bez przerwy i bez namysłu. Nie wygłaszałem w stosunku do samego siebie żadnych moralnych lekcji na temat czytania. Nauka w szkole powszechnej została przerwana wybuchem wojny, uczyłem się na tajnych kompletach. Literatura była wówczas przedmiotem zakazanym, nadeszły takie „hity młodzieżowe”, jak *Kamienie na szaniec* Kamińskiego, *Dywizjon 303* Fiedlera, drukowane prawdopodobnie poza granicami i zrzucone na teren Polski. A w każdym razie były to lektury, które kilkuset chłopców przebywających w internacie rodzin wojskowych, utajnionym pod nazwą Rady Głównej Opiekuńczej, jedynej instytucji charytatywnej Polski, wyrывało sobie z rąk. Wszystko to działo się w Warszawie. Byłbym kim innym, gdybym tego wszystkiego wtedy i w takich warunkach nie czytał.

Po co więc potrzebna jest literatura? Przede wszystkim, żeby rozbudzić pragnienie wiedzy, piękna i umiejętności czytania, bo człowiek myśli przecież językiem. Czym bogatszy język, tym bogatsza umysłowość człowieka. Współczesny brak nacisku na lektury i na rozbudzenie poczucia piękna literatury jest, moim zdaniem, zabójczy dla kultury Polski. Telewizja, internet, wszelkie przenośniki myśli i słów nie zastąpią drukowanego słowa.

Miałem okazję podczas pracy w Bibliotece Narodowej przy selekcjonowaniu zbiorów, które znalazły się w niej po wojnie, przeglądać tysiące, a może i więcej, książek niemieckich i polonijnych. Wtedy zdałem sobie sprawę, że młodzi czy starsi Niemcy właściwie w ogóle nie poznali literatury światowej i własnej o największej skali. Tomasza Manna nigdzie tam nie było. Tu wkroczyliśmy na temat literatury w innych językach, co jest osobnym zagadnieniem. Oczywiście, czym więcej zna się literatury w językach obcych, tym jest się mądrzejszym i ma się większą możliwość podążania ku prawdzie i odkrywania piękna, nie tylko własnej ojczyzny, ale i całego świata.

PIOTR MATYWIECKI

Rachmistrz i wędrowiec

Na liczydło obłoków
Ten Który Sprawdza
dodaje ciężary Ziemi do pustek Nieba.

Z satysfakcją przypatruje się wynikowi:
zero, nic!

I zaślepia się w sobie.

A ja, liczyć nienauczony,
między obłokami chodzę po Ziemi,
po lewej stronie równania
myślę jakby nigdy nic,
po prawej stronie równiny
żyję jakby nigdy nic.

Przed sobą widzę Boski Wynik,
słoneczną spaleniźną liczb –

oślepiające Coś!

Symbol

Ćma wlatuje w przeszłość
i kiedy tam dawno, coraz głębiej szybuje,
ja widzę ją tutaj, poszarzałą od trzepotu,
od przemęczonej trwogi.
I od mojego lęku
o zniknięcie, o zapomnienie.

Ale tylko dzisiejsza histeria
utrzymuje ją w locie tam,
w spokojnym zaniku czasów.

Niepotrzebnie boję się ćmy...
Ona będzie ostatnim ze zwierząt oswojonym przez człowieka,
jej obły, wyobcowany byt
na koniec będzie miękko leciał
do czasów, w które patrzymy
oddzieleni od swojej przeszłości.
I próżnię między dzisiaj a wczoraj
będą ufnie zaczerniały
skrzydła ćmy.

* * *

Nie przedstawiam się nawet sobie –
nazwisko zajmuje za wiele miejsca,
a mam go tak mało...

I nie mówię do siebie,
żeby zachować szacunek dla tej wędrownej istoty,
która we mnie potrzebuje
ciszy i odpoczynku.

* * *

Każde narodziny oszukują śmierć
i noworodek byłby wieczny,
ale większy kłamca
psuje wszystko swoją prawdą...

LESZEK SZARUGA

Dane Elementarne

(fragment)

*„factus de materia
levis elementi,
similis sum folio,
de quo landut venti”
Confessio Goliae*

Po maturze zorganizowaliśmy wielką fetę. Wiedzieliśmy, że się rozstajemy, że ruszamy swoimi ścieżkami. Pojechaliśmy na Głębokie, nad jezioro i do rana, z gitarami i jakimiś hektolitrami wina żegnaliśmy młodość. Czuliśmy się dorośli, przekroczyliśmy ważny próg. Żan wyjeżdżał na studia do Warszawy, ja złożyłem papiery na uniwersytecie w Poznaniu, Monika wybierała się do Krakowa, gdzie miała rodzinę, Baśka, ku zdumieniu wszystkich, wybrała katolicką uczelnię w Lublinie.

– Ty, wojująca marksistka?!

– I co z tego? To dobry uniwersytet. Poza tym tak zawyrokował ojciec. Chcesz na filozofię, powiedział, to idź, ale tam, gdzie się naprawdę czegoś nauczysz, a nie samej ideologii.

– I tak to spokojnie przyjmujesz?

– Wiesz Żan, a żebyś wiedział, że spokojnie. Znasz mnie. Mam swoje ideały, nie ma obaw, że je zdradzę. A poza tym jestem ciekawa, czego oni tam uczą. To przecież także kawałek naszego świata.

W gruncie rzeczy nic nie wiedzieliśmy o tym, co się dzieje poza Szczecinem. To było wówczas miasto odcięte od Polski, kompletna prowincja, w której żyło się z poczuciem zepchnięcia na margines świata, którego sprawy docierały do nas za pośrednictwem prasy i radia, później też telewizji, która wtedy, w połowie lat sześćdziesiątych, była wciąż jeszcze luksusem. Telewizor, ciężkie i nieforemne pudło, pojawił się u mnie w domu, gdy miałem już osiemnaście lat. U innych było podobnie.

Wyjeżdżając na studia wchodziliśmy w wielki i nieznany świat – już nawet odległy o parę godzin jazdy pociągiem Poznań był dla nas poważną me-

tropolią. A co dopiero Warszawa czy Kraków... Te wyjazdy były wielkim wydarzeniem, stanowiły przedmiot zazdrości tych, którzy w mieście musieli zostać. Tego, że się na studia dostaniemy, byliśmy niemal pewni, nie obawialiśmy się egzaminów wstępnych, choć wiedzieliśmy, że konkurencja, zwłaszcza w Warszawie i Krakowie, jest spora. O wiele większy był lęk przed porażką i perspektywa powrotu do Szczecina bez indeksu.

Do ostatniego momentu nie mogłem się zdecydować na wybór kierunku, pociągała mnie bowiem matematyka, ale kusiła też filologia klasyczna z jej uporządkowanymi, niemal sformalizowanymi językami. Po długich wahaniach i dyskusjach z ojcem złożyłem papiery na wydział filologiczny.

– Co będziesz po tych studiach robił? – Baśka, już lekko pijana, spojrzała mi głęboko w oczy. – Olgierd, to jest straaaasnie niepraktyczne. Straaaasnie niee-prak-ty-czne! I co, będziesz śpiewał, że *nos habebiiit huuuu-mus*? Żan, dawaj tą swoją gitarę!

– A ty myślisz, że na tej twojej katolickiej filozofii obędziesz się bez łaciny? Nie ma obaw, będziesz zakuwała jak wściekła. A poza tym – też już nieźle podpity zacytowałem z jakiegoś powojennego wiersza – przyda się jeszcze łacińska kotwica.

– Jaka kotwica, Ooolgierd?! Jaka znów kotwica?

– A taka! – Monika ze śmiechem przytuliła się do mnie i położyła mi dłoń na rozporku. – Taka kotwica! Prawda? I nie przeszkadza mi, że łacińska. Może być...

*

Ogród to przestrzeń ogrodzona, odcięta od świata zewnętrznego, wyspa piękna rządząca się własnymi prawami, wśród których najważniejsze jest dążenie do szczęścia, a zatem, jak twierdzi Epikur, doznawania jak największej przyjemności przez jak najdłuższy czas, o czym przekonywał mnie w pociągu ze Szczecina do Poznania Marek Zimoń, z którym od wieków się już nie widziałem, a który był jednym z najbliższych przyjaciół Żana, tyle że stroniącym od większego towarzystwa, pochłoniętym całkowicie pożeraniem książek i, jak mi się wówczas wydawało, absolutnie oderwanym od życia człowiekiem. Nie wiedziałem jeszcze, że równie namiętnie jak lekturę uwielbia ćwiczenia judo i karate. Okazało się, że on także złożył papiery na filologię klasyczną, jechaliśmy zatem jako ludzie ze sobą zaprzyjaźnieni, lecz zarazem jako konkurenci, choć akurat na ten kierunek ilość kandydatów nie była zbyt wielka i każdy, kto pomyślnie zdał egzaminy wstępne, mógł w zasadzie liczyć na to, że go przyjmą.

– Ciebie, Olgierd, ciągnie łacina, mnie greka. Rzymianie byli tylko uczniami Greków. Nie zawsze najlepszymi. Trzeba sięgać do źródła. A źródłem jest Homer,

źródłem jest Sokrates, źródłem jest Sofokles czy Arystofanes. Ja chcę wejść do ogrodu Epikura, chcę szczęścia, rozkoszy, przyjemności, ale czerpanych z oryginałów, a nie z tłumaczeń czy interpretacji.

– Pewnie masz rację. Ale świat, w którym żyjemy, nie jest światem greki, lecz łaciny. Kto dziś – poza *panta rei* – przytacza greckie sentencje? Greka, zniekształcona i karłowata pozostała w Bizancjum, a nasze korzenie są w Rzymie, tym pierwszym, oryginalnym, republikańskim.

– Co mnie obchodzi świat, w którym żyjemy? Olgierd, litości! I pamiętaj, że ten cały Rzym ze swoim republikanizmem był ledwie cieniem greckiej *paidei*. *Paideia* to styl życia, który się nie powtórzy, który został przez Rzym zredukowany.

– No dobrze, ale co to za wybór między Grecją i Rzymem? Wszystko to przecież nasza wspólna tradycja...

– Wspólna? Jesteś pewien? Zastanów się. To chyba nie przypadek, że kultura francuska bardziej zakorzeniona jest w tradycji łacińskiej, gdy niemiecka częściej odwołuje się do greki. To nie znaczy – dodał po chwili – bym był raczej po stronie Niemców niż Francuzów, wobec których Niemcy zawsze odczuwali kompleksy i czuli się w stosunku do nich zapóźnieni. Ale warto pamiętać, że gdzieś tu rysują się w Europie dyskretne, niemal niezauważalne różnice.

– Nie martw się o te różnice. Przyjdzie walec i wyrówna.

– Jaki znów walec?

– Sowiecki.

– Olgierd, na poważnie. Sowiety to przeszłość. Zapamiętaj to sobie.

W czasie studiów Marek stał się moim najbliższym przyjacielem. Mieszkał u swego wuja, który podobnie jak jego brat został przez Niemców w 1940 roku wygnany z Poznania, ale po wojnie i ukończonych w Warszawie studiach na działającym tu w podziemiu poznańskim uniwersytecie i po udziale w Powstaniu Warszawskim powrócił do rodzinnego miasta.

*

To był zupełnie inny, nowy świat, w którym zacząłem nowe życie. Początkowy kompleks prowincjusza szybko ustępował, w Poznaniu studiowało wielu ludzi przyjeżdżających tu z jakichś zapadłych, zupełnie mi przedtem nawet ze słyszenia nieznanymi miasteczek, przy których Szczecin był wielką metropolią. Podobnie jak ja wrastali w uczelnianą przestrzeń, nabierali obycia i tego specyficznie studenckiego stylu istnienia ludzi luźnych, pozbawionych rodzicielskiej kontroli, do białego rana przesiadujących w nielicznych klubach lub imprezujących w akademikach.

Coraz rzadziej przyjeżdżałem do Szczecina, z którym obecnie łączył mnie jedynie dom i czekający na mnie rodzice. Gdy się zjawiałem, musiałem zdawać szczegółowe relacje z mych poczynąń, opowiadać o zajęciach, o postępach w nauce, o nowych znajomościach. Opowiadałem więc o greckich aorystach i innych podstępach gramatyki, o fascynacji poezją Safony i Anakreona, fragmentami pism presokratyków, wreszcie o zagadce nieodkrytego wciąż grobu Aleksandra Macedońskiego. Ale też o poniedziałkowych spotkaniach jakie w klubie Od Nowa organizowała niezwykle dynamiczna grupa młodych poetów czy spektaklach studenckiego Teatru Ósmego Dnia. Opowiadałem wreszcie o barwnym i często wariackim życiu towarzyskim, jakie kwitło w naszym akademiku, zatłoczonym do granic możliwości.

Wraz z Markiem dość szybko odnaleźliśmy swe miejsce w tym nowym świecie. Trzymaliśmy się razem, dość często byłem też zapraszany do jego stryja, który za punkt honoru wziął sobie dokarmianie ubogiego, jak mawiał, studenta, a że pan Marcin Zimoń był człowiekiem gruntownie wykształconym, rozmowy z nim przekształcały się często w wielogodzinne debaty.

– Bo was, panie Olgierdzie – nawiązał do mojej afirmacji Szczecina – nie uczono i pewnie już nigdy nie będą uczyć o tym, że tu, w Poznaniu właśnie, w okresie międzywojennym działał Związek Obrony Kresów Zachodnich, którego celem było krzewienie i przywracanie polskości Śląska, Wrocławia czy Szczecina. Zresztą, was w ogóle nie uczą o Kresach, czy to wschodnich, czy zachodnich, sama ta nazwa jest niemalże zakazana. To są, proszę pana studenta, bolesne i trudne sprawy, to prowadzi do wynarodowienia, wykorzenienia z historii, do niszczenia polskiej tożsamości, co od początku zawładnięcia tym krajem przez bolszewików było ich celem. Mamy, proszę pana, wyrzec się naszej przeszłości, zapomnieć o naszych rodzinnych gniazdach. Polska, panie Olgierdzie, stała się ruchomym krajem, który przez wielkie mocarstwa jest przesuwany z zachodu na wschód i z powrotem, który jest krajany w zależności od tego, który z polityków gdzie przyłoży linijkę na mapie.

Chwilę milczał.

– Ale to nie znaczy, proszę pana – dodał – że chciałbym odwojowywać Lwów i Wilno. To znaczy jedynie, że chcę, by nie pozbawiono nas pamięci.

*

– Niech pan zauważy – pan Marcin powrócił do wcześniejszej rozmowy – że jesteśmy manipulowani przez narzucane nam słowa. Komuniści nazywają hitlerią faszystami. Ale to tylko częściowa prawda, faszyzm niemiecki był sprawą dru-

goplanową, inaczej niż we Włoszech czy w Hiszpanii. Oni, proszę panów studentów, byli przede wszystkim narodowymi socjalistami. Soc-ja-lis-ta-mi – powtórzył z naciskiem. – A tego słowa w kontekście hitlerii nasza władza boi się używać, bo komuś coś mogłoby się źle skojarzyć. Stosuje więc sztuczki lingwistyczne, zmienia etykiety tak samo, jak, o czym już rozmawialiśmy, w wypadku powojennych przesiedleń. Nasi wygnańcy ze wschodu zmieniają się nagle w repatriantów. Wystarczy zajrzeć do słownika, by wiedzieć, że repatriant to nie jest ktoś, kto utracił ojczyznę.

– Ja rozumiem, ale przecież socjalistą był też Piłsudski, socjalistami byli wybitni twórcy i...

– Panie Olgierdzie! Niech pan nie myli dwóch rzeczy. Niech pan rozróżnia między tym, co oni nazywają socjalizmem, od socjaldemokracji. Socjaldemokracja zawsze była największym wrogiem zarówno komunistów, jak nazistów. Socjaldemokraci, którzy w Rosji w lutym 1917 roku zrobili rzeczywistą rewolucję, zostali po przewrocie bolszewickim zesłani do łagrów, w pierwszej kolejności właśnie oni. Niemieccy socjaldemokraci po zdobyciu władzy przez Hitlera z miejsca znaleźli się w lagrach. Nawet u nas po wojnie jedną z pierwszych rzeczy jakie uczyniono, była likwidacja partii socjaldemokratycznej, jej rozbicie, a wielu jej działaczy zamknięto do kryminału. I choć co prawda jestem dość odległy od tego światopoglądu, to przecież mam dla prawdziwych socjalistów sporo szacunku.

Te rozmowy ciągnęły się godzinami i stawały się dla mnie czymś w rodzaju alternatywnej lekcji historii. Pan Marcin był przewodnikiem cierpliwym i otwartym na dyskusję. Nieco po pięćdziesiątce, studia rozpoczął jeszcze przed wojną na tutejszym uniwersytecie, kończył zaś w Warszawie na tajnych kompletach podziemnego Uniwersytetu Ziemi Zachodnich. Nic o tym wcześniej nie wiedziałem.

– To w Warszawie pod okupacją działały dwa tajne uniwersytety?

– Tak, proszę pana. Dwa, warszawski i poznański. Nas z Poznania wypędzono, gdyż Niemcy urządzali sobie tutaj Kraj Warty. Miejsce Polaków, oczywiście tymczasowe w ich pojęciu, było w Generalnej Guberni. Ale o tych wypędzeniach jakoś się milczy, podobnie jak milczy się o jedynym wygranym polskim powstaniu, jakim było powstanie wielkopolskie. No i tak samo się milczy o poznańskiej rewolcie z czerwca 1956 roku. Jeśli już o czymś się mówi, to o „polskim październiku”, a i to półgębkiem. Lecz naprawdę to wszystko zaczęło się tutaj, w Poznaniu.

*

To był nie tylko inny świat, to była inna Polska od tej, którą znałem z własnego doświadczenia i ze szkolnych podręczników historii. Pan Marcin odkrywał przede mną i Markiem jakieś nowe dane elementarne, które, mieszając się

z tymi, które znaliśmy, zaczęły tworzyć jakąś nową jakość. Obraz świata zachowywał swą tożsamość, a jednocześnie stawał się coraz bardziej niepochwytny, wieloznaczny, pojawiały się nowe wymiary, o których istnieniu nie miałem wcześniej pojęcia. Wiedziałem, rzecz jasna, że w szkołach nie uczą nas wszystkiego, że są obszary zakazane, że na mapie naszych wędrówek po Polsce i świecie istnieją białe plamy, na temat których nasi nauczyciele mogli powiedzieć jedynie to, iż to krainy *ubi leones*, choć sami wiedzieli, że nie tylko lwy je zamieszkują, ale wiedzieli również, że gdyby nas tam wpuścili lub tylko wskazali do nich drogę, wydaliby nas lwom na pożarcie.

Ale my nie baliśmy się lwów, wręcz przeciwnie, chcieliśmy się z nimi zmierzyć, może nawet spróbować je oswoić. Nie wiedzieliśmy, kim jesteśmy, wszystko było zamazane i nieokreślone. Gdy dziś to wszystko spisuję, gdy odtwarzam ówczesne rozmowy i zachowania, też nie jestem pewien czy właśnie tak było, jak to obecnie widzę, lecz wiem, że tak być przecież mogło. Pamięć to niesprawdzalny domysł. Ale tylko przez rekonstrukcję tych domysłów możliwe jest dochodzenie do siebie. Wydaje mi się, że gdybym wtedy wiedział to, co wiem dzisiaj, zachowywałbym się inaczej, ale zapewne gdybym to wiedział, zachowywałbym się w inny sposób niż to mi się wydaje teraz. Lecz aby dojść do siebie, muszę odtworzyć drogę, którą przeszedłem i nagle okazuje się, że tej drogi nie znam, że szedłem nie zwracając uwagi na miejsca i znaki szczególnie, że nie widziałem tego, co powinienem był widzieć, co dla innych było dostrzegalne, a dla mnie, choć widoczne, niewidzialne. I wiem, że to, co niewidzialne, stanowi treść naszego doświadczenia, jest wyzwaniem, któremu sprostać nie sposób, ale z którym, w imię prawdy, należy się mierzyć.

Gdzie jednak tej prawdy szukać? Dziś wiem, że nie w słowach, lecz między słowami, nie w opowieściach, lecz w ich konfrontacji, w zderzeniach. I wiem, że choć często przeczą sobie, to w tych sprzecznościach wzajem się potwierdzają i dopełniają. W słowach nie sposób tego oddać, lecz w muzyce jest to oczywistością, gdyż kontrapunkty nie przeczą harmonii, lecz ją budują. Nasze życie jednak nie da się zrelacjonować wyłącznie w serii dźwięków, musimy używać słów, które siłą rzeczy sprowadzają nas na bezdroża atonalności. Nic w tym złego, gdyż i na bezdrożu można w końcu odnaleźć ścieżkę pozwalającą dojść do siebie.

*

Przez cały czas studiów nasza szczecińska paczka namiętnie ze sobą korespondowała, wtedy bowiem jeszcze potrafiliśmy pisać prawdziwe, obszer-

ne listy. W jednym z nich Żan donosił, że spotkał w jakimś klubie dwoje studentów fizyki, którzy przyjechali ze Szczecina. Dziewczyna nosiła egzotyczne imię Eudokia, była, jak się później dowiedziałem, córką greckiego partyzanta komunistycznego należącego do sporej grupy uciekinierów, którzy znaleźli przystań w Polsce i osiedleni zostali w okolicach Szczecina oraz Wrocławia. Jej chłopakiem okazał się Sławek, o którym przez te lata niemal zupełnie zapomniałem, chodziliśmy różnymi drogami. I oto pojawił się znowu jako kolega Żana, jego brydżowy partner, współnik studenckich peregrynacji i przygód.

To Sławek wprowadził Żana w środowisko warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej, co dlatego wydało mi się dziwne, że Żan przecież był ewangelikiem. Pisał mi jednak, że to nie ma absolutnie żadnego znaczenia, przeciwnie, ci ludzie szanują jego odrębność, a on z kolei, choć nie jest członkiem stowarzyszenia, sporo wynosi ze spotkań i dyskusji, które się tam odbywają. Zwrócił też moją uwagę na wychodzące w kraju pisma katolickie, o których istnieniu co prawda przecież wiedziałem, ale które traktowałem, podobnie jak większość, z jakąś trudną dziś do wytłumaczenia rezerwą. Okazało się, że to był odpowiedni moment, by po nie sięgnąć. Gdyż to był czas w życiu Kościoła dość gorący, sporo energii kosztowały kościelne obchody tysiąclecia chrztu Polski, które komuniści, uprawiając własną propagandę mówiącą o tysiącleciu polskiej państwowości, usiłowali marginalizować. Jednocześnie spore poruszenie wywoływały reformy odbywającego się w Watykanie soboru odbierane przez wielu niemal jako rewolucja. Ale w gruncie rzeczy nie były to sprawy, które by w szczególny sposób wpływały na moje widzenie rzeczywistości, działały się jakby obok, oddziaływały na ludzi związanych z Kościołem mocniejszymi niż moje relacjami.

Kościół był, istniał, i to wystarczało. W moim środowisku nie budził jednak żadnych emocji, zaś jego konflikty z władzą kwitowane były przeważnie jakimś ośmieszającymi komunistów dowcipami i anegdotami. Pisma katolickie skupiały uwagę raczej przez to, że udawało się im przemycić treści ścigane przez cenzurę niż przez kwestie dotyczące wiary czy religii. Postawa więzionego przed laty kardynała Wyszyńskiego przyjmowana była przez nas z respektem, ale nie do końca byliśmy w stanie ją zrozumieć. Sporą zaś nieufność wywołał list biskupów polskich do biskupów niemieckich, w którym zwrot mówiący o tym, że wybaczymy i prosimy o wybaczenie wydawał się wielu z nas jakimś jeśli nie nadużyciem, to co najmniej nieporozumieniem. Ostatecznie mogliśmy się na to wybaczenie zgodzić. Ale żebyśmy my mieli Niemców prosić o wybaczenie? Czego? To było niepojęte.

Przedmiotem, który skupił moją uwagę, stała się historia filozofii starożytnej. Zafascynowała mnie koncepcja początku, zasady istnienia, jego umocowania. Poświęciłem temu obszerną, kilkadziesiąt stron liczącą pracę roczną traktującą o pojęciu *arche* od Talesa do Arystotelesa. Odczytywaliśmy na zajęciach zachowane fragmenty pism presokratyków i jeden z nich wydał mi się fantastycznie zajmujący, genialny. Zwrócił mi nań uwagę niemiecki fizyk Werner Heisenberg, którego książkę o współzależnościach między fizyką a filozofią polecił mi w swoim liście, za radą Sławka, Żan.

W urywku pism Talesa mowa jest mianowicie o tym, iż wszystko wywodzi się z wody i wszystko jest pełne bogów. *Pramateria* zatem, pisałem w swej pracy, jest połączeniem elementu statycznego z elementem dynamicznym, substancjalnego z duchowym. Materia jest zatem, kontynuowałem, nieodłączna od duchowości, duchowość zaś nieodłączna od materii. Dla Greków, pisałem dalej, to złączenie, a właściwie dwa aspekty tworzywa świata leżały u jego początku, cokolwiek mogłoby to oznaczać. Wiedziałem zresztą, że tłumaczenie pojęcia *ἀρχή* przez określenie „pierwsza materia” jest nieprecyzyjne. Cały czas pamiętałem o tym, że ów pierwszy znany nam rozdział dziejów filozofii europejskiej pisany był pod wpływem wschodniej mistyki, na której oddziaływanie otwarty był kupiec i podróżnik z Miletu, uczonec, który potrafił przewidzieć nawet zaćmienie słońca.

Bardziej niż sam początek świata interesowały mnie pytania o to, czym był, myślenie o nim i próby formułowania tych myśli. Oczywiście i tu zafascynowała mnie przypisywana Talesowi formuła przejęta później przez Sokratesa, a mówiąca o tym, że należy poznać samego siebie.

– Ale w tym jest paradoks – zauważył w czasie jednej z dyskusji Marek. – Przecież, gdy siebie poznajesz, nie jesteś w stanie jednocześnie poznać sposobu, w jaki to robisz. Poznając siebie nie jesteś świadomy tego, jak to się dzieje, że siebie poznajesz, a kiedy zaczynasz się zastanawiać nad metodą, nad biegiem i formami swego myślenia, tracisz z oczu sam jego przedmiot, siebie.

Potrąfiliśmy tak godzinami ze sobą rozmawiać. Każda przeczytana książka otwierała nowe przestrzenie dyskusji, pobudzała naszą wrażliwość. A czytaliśmy bez opamiętania, nałogowo. Byliśmy niewolnikami lektury, tym właśnie chcieliśmy imponować sobie nawzajem, ale też i innym. To nie znaczy, że nasze życie ograniczało się jedynie do świata książek, bo przecież jednocześnie szaleliśmy na prywatkach, a zwłaszcza na nieustannej imprezie, jaką było życie mego akademika.

W czasie przerwy międzysemestralnej spotkaliśmy się niemal w komplecie, jedynie Sławek z Eudokią wyjechali do Zakopanego na narty, gdzie byli umówieni ze swymi przyjaciółmi z Krakowa, czego żałowałem, gdyż chciałem ze Sławkiem pogadać, dowiedzieć się, co go popchnęło na fizykę, której przecież w szkole nie lubił. Bałem się spotkania z Moniką, z którą przez te kilka miesięcy pisaliśmy do siebie listy, pod koniec jednak korespondencja zaczęła się rwać i stawiała się coraz bardziej zdawkowa. I oto przecucia okazały się trafne.

– Słuchaj, Olgierd – powiedziała podczas pierwszego spotkania – najlepiej będzie, jak zostaniemy przyjaciółmi.

Boże, co za banał, pomyślałem, ale przecież to było oczywiste, żyliśmy w oddalonych od siebie miastach, w innym środowisku. W końcu nawet trudno by było mówić o jakiejś wielkiej miłości.

– Ja tu już chyba nie wrócę – dodała. – To koniec świata, zapadnia jakaś. Chcę zostać w Krakowie, tam przynajmniej coś się dzieje.

Specjalnie się nie zdziwiłem, spodziewałem się czegoś podobnego. Trochę zabolalo, ale raczej był to żal niż zazdrość czy coś w tym rodzaju. Musiało się tak stać, żyliśmy przecież szybko i intensywnie. A Monika znalazła w Krakowie coś, czego tutaj znaleźć by nie mogła, gdyż związała się z grupą młodych pisarzy, szalonych buntowników wierzących, że są w stanie odmienić nie tylko literaturę, ale i świat.

– Ja po studiach wracam – Żan pozostał wierny Szczecinowi. – Nie może tak być, że wszyscy stąd uciekają. To miasto nas potrzebuje i my, wbrew pozorom, też go potrzebujemy. Może to i prowincja, ale moja, tu jestem u siebie, od pokoleń. A zresztą – zapalił się – prowincja czy nie prowincja, świat trzeba zdefiniować na nowo. Mówię to wam jako historyk, bo nie myślę w perspektywie doraźnej, ale najbliższych dwudziestu, może pięćdziesięciu lat.

– Żan – Marek nie krył zaskoczenia – ty jako historyk to możesz co najwyżej powiedzieć, co było wczoraj, ale nie to, co będzie jutro czy pojutrze.

– I tu się mylisz. Historia nie zajmuje się wyłącznie przeszłością. Prawdziwa historia zajmuje się także wielkimi procesami dziejowymi. Wyobraź sobie, że współczesność jest punktem, w którym zbiega się przeszłość z przyszłością. Zarówno przeszłość, jak przyszłość rozchodzą się z tego punktu jak stożki wzajemnie się oświetlające. Ten z przyszłości rozszerza się ku dołowi, ten z przeszłości ku górze. Zależnie od tego, jaką masz wizję tego, co było dawniej, widzisz przyszłość. I zależnie od tego, jaka jest wizja przyszłości widzisz to, co było kiedyś. Historyk widzi przyszłość może dokładniej niż wszyscy politolodzy czy futuro-

łodzi. I mówię ci, że żyjemy obecnie w jakimś takim zawirowaniu, które świadczy o konieczności zmiany, może nawet radykalnej. Nie jestem rewolucjonistą, ale właśnie jako historyk tak rozpoznaję współczesność. Coś się wypala, kończy. Co? Tego nie wiem. Ale to czuję.

Myślę, że wszyscy to czuliśmy.

*

Te pierwsze miesiące studiów, ale także oddalenia od Szczecina i odnajdywania się w innych przestrzeniach, odmieniły nas wszystkich. Poetyckie intuicje Moniki znalazły odzew czy też zaczęły współgrać z poszukiwaniami jej nowych przyjaciół. Ja z Markiem skonfrontowani zostaliśmy z dyskretną linią historii. Żan wtajemniczony został w jeszcze inne doświadczenia. Pewnego dnia, gdy odwiedziliśmy go z Markiem, wręczył nam zaczytaną, spisaną na przebitce kopię maszynopisu.

– Nie będę wam mówił, kto jest autorem. Faceci za napisanie tego tekstu dostali wysokie wyroki. Chciałbym, żebyście to przeczytali i żebyśmy mogli o tym porozmawiać.

– Co to? – spytałem.

– To list otwarty do partii, który napisali dwaj naukowcy z naszego uniwersytetu. Taka marksistowska analiza sytuacji kraju, ale kompletnie niecenzuralna. Ciekaw jestem, co o tym myślicie. Ale proszę, nie dawajcie tego byle komu. Tylko tym, którym ufacie. Ja osobiście niespecjalnie się z tymi facetami zgadzam, ale przeczytać warto. Sama analiza jest chyba trafna, ale oprawiona w ideologię komunistyczną.

– Skąd to masz?

– Nie powinienś pytać. Lepiej nie wiedzieć. Ale dobrze, powiem, mam do was zaufanie. Poznałem u nas na wydziale kolegę, który mi imponuje. Piekielnie inteligentny, czytany, dowcipny. Lubię z nim rozmawiać. I pewnego dnia zaprosił mnie na prywatkę, ale okazało się, że to nie prywatka, ale coś w rodzaju klubu dyskusyjnego, z przygotowanym referatem i zadanymi lekturami. Taki klub pewnie spodobałby się Bańce, bo oni wszyscy to marksiści, a w każdym razie tak właśnie o sobie myślą. Ale chcą reformować socjalizm. Spotykamy się dość często, dyskutujemy, omawiamy książki wydane na zachodzie w oficynach emigracyjnych, w paryskiej „Kulturze”. Ostatnio właśnie rozmawialiśmy o tym, co wam dałem. Ale nie tylko o tym, także o tym, co się dzieje w Sowietach. Podobno istnieje tam cała sieć niecenzuralnych publikacji przekazywanych z rąk do rąk. Samizdat, co oni określają jako izdatielstwo sam. I jeszcze coś.

Żan zaczął pracowicie zakładać szpulę taśmy na magnetofon i po paru minutach zaczęliśmy słuchać śpiewanych przy gitarze rosyjskich pieśni, w których mowa była o łagrach, więzieniach, o nagonce na młode wilki, o wielkim uczonym towarzyszu Stalinie. A wszystko w ironicznej, prześmiewczej i wyzywającej tonacji. To było niesamowite. Słuchaliśmy jak zaczarowani.

– Wiesz co, Żan? – Marek, który był zawsze zafascynowany muzyką, zareagował w zaskakujący sposób. – To jest kontrapunkt do Beatlesów. Fantastyczne!

*

Ten list do partii pokazałem ojcu. Przeczytał jednym tchem, dał do czytania mamie. Oboje byli poruszeni, przez jakiś czas jednak nie rozmawiali o tym ze mną. Pewnego wieczora ojciec wziął mnie na spacer. Śnieg skrzypiał pod butami.

– To jest wydarzenie – zaczął – którego znaczenie trudno przecenić. Widzisz, ja o tym liście słyszałem już wcześniej, mówiono o tym w Wolnej Europie, ale cieszę się, że mogłem to przeczytać. Ci młodzi ludzie, jak sądzę, są wierzącymi komunistami, ale nie są bezwolni, myślą, widzą, że to wszystko nie trzyma się kupy. Chcą reform, może nawet rewolucji, tym razem prawdziwej. Reformować jednak można tylko coś, co ma formę. Ten system jest nieforemny, przypomina w swej strukturze kupę piachu. Jakbyś kupę piachu nie przekopywał, ona kupą piachu pozostanie. Tego systemu reformować się nie da, ale oni tego jeszcze nie wiedzą, dopiero z czasem to do nich dotrze. Powiada się, że jak komunizm zapanuje na Saharze, to tam zabraknie piasku. To nie jest tylko dowcip, to prawda. Ważne jest jednak co innego, to, że ci chłopcy myślą, że analizują. Wydają na to olbrzymią energię, ale to energia silnika samochodu, którego koła buksują w piachu. Póki się pod nie nie podłoży czegoś, od czego by mogły się odbić, o co mogłyby się zaczepić, samochód nie ruszy z miejsca. Ale ta energia, wbrew pozorom, nie idzie na marne. Ich analiza sytuacji ekonomicznej jest chyba trafna i tego warto się od nich uczyć. Cała reszta to próba ożywienia sowieckiej ideologii, galwanizowanie nieboszczyka, nic więcej.

– Ale oni proponują konkretne reformy.

– Może, ale to utopia. Jeśli system się na to zgodzi, oznacza to jego koniec, więc nie ma o czym mówić. Może to zresztą zgodne z jakąś teorią marksizmu, ale ten cały marksizm to też utopia. Widzisz, nie w tym rzecz, że ja nienawidzę tej całej sowieterii, a rzeczywiście jej nienawidzę, bo to nie żaden ustrój polityczny, tylko zwykła rosyjska satrapia, imperializm posługujący się tym całym marksizmem jak listkiem figowym. Jestem pewien, że nikt z nich, tych wszystkich działaczy partyjnych, nie traktuje tego serio. No więc nie o to chodzi. Cho-

dzi o to, że ktoś znalazł odpowiednią nazwę, taką jak klasa partyjnej biurokracji czy jak oni to nazywają. Klasa czy nie klasa, chodzi o pewną biurokratyczną hierarchię, której wierzchołek znajduje się na Kremlu. Tego ci chłopcy nie odważą się jeszcze głośno powiedzieć. Oni nie wiedzą, że to napisali, bo są uwiłkani w tę ideologię. Ale diagnoza jest sensowna. I chyba bolesna dla komunistów, skoro ich za nią skazali.

– Tato, to są drakońskie wyroki!

– Nie przesadzaj. Te trzy czy cztery lata to w tym systemie niewiele. W Sowietach to byłaby pieszczota. Oni nawet nie zdają sobie sprawy z tego, jak mało ich kosztuje to, że pobudzili innych do prawdziwego myślenia i że pokazali, iż można, choć nie za darmo, pójść pod prąd. Samodzielne myślenie to straszna broń, zwłaszcza w totalitaryzmie. I mam do ciebie jedną prośbę, a właściwie radę. Bądź w tym wszystkim rozważny, ale przede wszystkim uważny. I nie rozmawiaj o tych sprawach z byle kim.

*

Najbardziej zdumiewającej przemianie uległa Baśka. Przyjechała do Szczecina najpóźniej z nas, w samą Wigilię. Spotkaliśmy się więc dopiero po świętach, na sylwestrze u Żana. Jak zwykle w takich razach po jakimś czasie nasza paczka skupiła się w kuchni. I jak zwykle rozmawialiśmy, dyskutowaliśmy o wszystkim, o sobie. Baśka dość długo milcząc przysłuchiwała się w skupieniu temu, co mówimy.

– Powiedz Żan – odezwała się nagle – jak to jest? Jak to jest możliwe, że widzimy nasze życie tylko tu i teraz, w jakimś wyłącznie doczesnym wymiarze? To znaczy, że co? Że wraz z nami, z naszą śmiercią, wszystko się kończy?

– Basiu – Żan nie krył zaskoczenia – o co ci chodzi?

– Nie wiem – mówiła powoli, ważąc każde słowo. – Chyba nie umiem jeszcze tego powiedzieć. Dopiero się uczę, ale wiem, że trzeba wyjść poza doraźność, poza tu i teraz. Dotąd myślałam, że to, co jest, jest ostateczne i skończone. A może inaczej. Że moje życie, które jest życiem dla innych, to tylko epizod, może zupełnie nieważny, w historii ludzkości. Teraz myślę, że moje życie jest jedynym, niepowtarzalnym kosmosem. Twoje zresztą też. I że ten kosmos sam w sobie jest wartością, że to nie żaden nawóz historii czy coś w tym rodzaju. Zgadzasz się?

– Jasne, nie ma o czym mówić – Żan najwyraźniej chciał zakończyć tą rozmowę.

– Słuchajcie – Baśka zwróciła się ku nam wszystkim. – Trudno mi o tym mówić i boję się, że nie uwierzycie, ale spróbuję to powiedzieć tak, żeby było po ludzku.

Zastanawiała się chwilę, a my, zaintrygowani, milczeliśmy.

– No więc może tak – zaczęła. – Nie wiem czym jest wiara, ale chyba uwierzyłam. Trochę się tego boję, bo nie wiem, co to jest, ale czuję, że wierzę. To nie znaczy, że wyrzekam się socjalizmu. Nawet nie próbujcie się z tego śmiać. Ale wiem, że nie może być naukowy, to absurd. Tak sobie myślę, że cała ta naukowość jest jakimś przywidzeniem czy uroszczeniem. Ostatnie słowo ma poezja.

– I za to cię, Baśka, kocham – lekko napita Monika niemal zakrzyczała. – Tylko poezja w ogóle coś mówi o świecie!

– Moni, nie szalej, bo jeszcze nie wiesz najważniejszego – Baśka tłumiała jej entuzjazm. – Ty jeszcze nie wiesz, że prawdziwa poezja to język Boga. Ale my go nie jesteśmy w stanie rozumieć. A póki nie zrozumiemy, pozostaniemy niewolnikami. Zrozumiałam to, kiedy przeczytałam pisma Simone Weil, która mówi wprost, że niewolnictwo to praca bez poezji. I bez religii.

Monika nie wiedziała, ale my z Markiem domyślaliśmy się, o co chodzi, bo czytaliśmy wydany na emigracji wybór pism Weil, których tłumacz, Czesław Miłosz, pisał we wstępie, iż wie, że tłumaczy dla niewielu. Tłumaczył dla Baśki, która jak Weil z marksistki przepoczwarzała się w osobę wierzącą.

*

Nic wtedy nie wiedzieliśmy. I nie wiedzieliśmy także, że nie wiemy. Przeciwnie, myśleliśmy, że wiemy wszystko. Zawsze się tak wydaje i zawsze się okazuje, że to złudzenie. Lecz gdy już wiemy, że to złudzenie, wydaje nam się, że teraz wiemy na pewno. I tak to, co pochwytnie, okazuje się nieoznaczone, a to, co oznaczone, staje się niepochwytnie. Dane elementarne rozplývają się, znikają, ulegają anihilacji. Tak się przekonywałem, że, jak u pitagorejczyków, wszystko jest zarazem ograniczone i nieograniczone, ale w tej sprzeczności tworzy jedność, która, jak chciał tego Filolaos, jest ogniskiem pośrodku kuli. Chciałem być tą jednością, tym ogniskiem skupiającym i jednocześnie wypromieniowującym światło niczym źrenica oka Marii Magdaleny z obrazu de la Toura odbijająca blask płomienia w spojrzeniu na zamkniętą księgę. Ciężarna, opiera prawą dłoń na złożonej na kolanach czaszce, lewą podpira własny podbródek. Czaszka jest ogarnięta półmrokiem, lecz wciąż oświetlona, twarz Magdaleny opromienia jasność. Połączenie życia i śmierci w jakiejś harmonii, która nie jest mi dana, a do której jakoś chciałbym dojrzeć czy dotrzeć.

Ten obraz odbieram w całości i wiem, że nie da się opowiedzieć, że co najwyżej mogę ją w słowach rozłożyć na dane elementarne, które nadal się nie składają w nieodróżnicowaną jedność elementów, bo zawsze umyka to, co je łą-

czy, co buduje ową niepochwytą harmonię, jaka w języku pozostaje niewyraźna, zaś istnienie, moje także, jest jednocześnie konieczne i nieprawdopodobne oraz prawdopodobne i niekonieczne. Gdy patrzę wstecz, wiem, kim byłem, lecz nie jestem pewien czy wtedy wiedziałem, kim jestem i nie mam pojęcia kim będę i będę był dla samego siebie w przyszłości, której nie znam. Nie wiem, kim będę, gdy umrę.

Odkryłem ten obraz podczas pierwszego wyjazdu za granicę pod koniec lat siedemdziesiątych. Poszedłem do Luwru z nastawieniem typowego turysty wiedzącego, że to trzeba zaliczyć, że nie wolno tego pominąć. Popędziłem, rzecz jasna, do Giocondy, lecz gdy ją zobaczyłem za szkłem, w którym odbijały się blaski fleszów japońskich aparatów fotograficznych, uciekłem i szedłem przez kolejne sale jakby bez celu, mechanicznie rejestrując rzeźby i obrazy. I nagle odnalazłem się wśród obrazów de la Toura. To był szok, nigdy wcześniej o nim nie słyszałem. A później już nigdy nie natrafiłem na obrazy tak sugestywnie wpisujące istnienie ludzkie w obszar światłocienia, ukazujące półmrok egzystencji i zmuszające do refleksji dotyczącej zarówno światła, jak i ciemności, dotyczącej więc tego, kim jestem, czym jest moje życie. Zrozumiałem wtedy, że jest wszechświatem, jedynym i niepowtarzalnym, że jest monadą wśród innych monad, tych realnych i tylko możliwych, przeszłych i przyszłych, połączonych dyskretnymi, niepochwytymi relacjami.

PIOTR SZEWC

Dzikie królestwo

Sierpniowy żar spływa po papie brzoza drży wokół młode
osiki śmigają sponad zielska wychylają się rozczochrane
głowy floksów rozżłóściłem ptaszka bo wszedłem do jego
dzikiego królestwa wstrzymuję oddech po dawnych piwoniach
ani śladu ścieżki zarosły zapada się studnia w domu cisza nawet
podłoga nie skrzypi zobacz łuszczy się wapno na suficie kładłaś je
pędzłem z prośbą tylko dotknąć a sypią się warstwy lata godziny
radości choroby narodziny umierania wszystko oddala się milknie
jak pianie kogutów pod oknem

sierpień 2012

Zaczę wróżyć

Spirala pary rozkręca się nad blaszanym garnuszkiem
i niknie w oczach patrz Trzej Królowie zostawili kiście
bzu astry floksy arabeski zdrapuję piwonię po drugiej
stronie na gałązce kołysze się chudy panicz nastroszony
wróbel coś ma mi do powiedzenia ale słyszę tylko jak ogień
trzaska dziadek niesie wodę śnieg skrzypi biała przestrzeń
kurczy się zastęga pokruszy się nim zajdzie słońce jeszcze
jeden łyk kawy zbożowej z mlekiem zaraz zaczę wróżyć
z fusów

2012

Pani Skórkowa

Jak sikorka uczepiona pazurkami sękatą deski pod okapem
malutka skurczona wyschnięta tkwi tam świątek piątek
nachodziła się i napracowała teraz prowadzi żywot osobny
zastępczy chyba już wieczny pani Skórkowa jest istnieniem
samym w sobie nie potrzebuje jedzenia ani wody poznaje
mowę korników ma wszystko czego dusza zapagnie odmawia
różaniec i zdrowaśki o świcie wyfruwa bezszelestnie na roraty
gdy nastają chłody szczelnie owija się przędzą pajęczyny

2013

Ciotki staruszki

Przylatują tu sikorka Skórkowa kawka Stasia sroka Marysieńka
znajome sąsiadki ciotki staruszki świętej pamięci jak młode
zajrzą przez okno z gałęzi odezwą się odmienionym głosem
wiatr porusza siwe włosy pod chustką pióra fartuchy spódnice
ani drgnę bo znikną a w Czołkach trzeba groch sadzić i wyrwać pokrzywę

24 II 2013

Nie znam innego świata

Jak pies Cygan wieczorem spuszczone z łańcucha biegam
od stodoły do drogi nie znam innego świata rozglądam się
choć ciemno płoszę koty słucham obwąchuję tu pniak tam
gumowe koła wozu i ślady kopyt za drzwiami obory krowy
przez sen postępują siwa klacz macha ogonem obgryzam
wyrzucone pod krzak bzu kości przy studni pijam wodą
gdy zaczynają pisać koguty zdyszany przynoszę w zębach na próg
ochłap świtu

2012

STEFAN CHWIN

Pisanie i depresja

„Celem pisania nie jest straszenie i przygnębianie ludzi” – taką to stanowczą myśl sformułował Czesław Miłosz w przedmowie do swojej powieści *Góry Parnasu*, która właśnie wyszła w Krytyce Politycznej. Z pewnością myśl ta zasługuje na uwagę, a nawet wydaje się prawdziwie piękna, niemniej warto zauważyć, że Miłosz od razu dodał do niej myśl równie dobitną: należy pisać tak, by nawet „strasząc i przygnębiając, do pełnego życia podniecać”.

Muszę przyznać, że to drugie zdanie z lekka mnie rozczarowało. A więc w ostatecznym rachunku – takie niewesołe pytanie przyszło mi do głowy, gdy zdanie to przeczytałem – w literaturze i wszelkich rodzajach sztuki chodzi zawsze o to samo, to znaczy o skuteczne „podniecanie” ludzi do życia przy pomocy pióra, ołówka, długopisu i pędzla? To właśnie ma być ten główny cel wszelkiego pisania, malowania, śpiewania, ten argument koronny, ten obowiązek artysty najważniejszy z najważniejszych? Pisać, malować, rzeźbić, kręcić filmy tak, by – jak to ujął Miłosz – „podniecać” ludzi do życia?

Otóż moja najnowsza książka *Samobójstwo i „grzech istnienia”*, która się właśnie ukazała nakładem zasłużonej, gdańskiej oficyny Tytuł, z całą pewnością do życia zbyt mocno nie „podnieca”. Jest to książka o „grzechu istnienia”, a więc o rzeczy dość mrocznej. A jednak lubię takie książki nie tylko pisać, lecz i czytać. Więcej: bardzo mnie pisanie takich książek duchowo wzmacnia, co może wyglądać na paradoks, ale tak właśnie przedstawiają się sprawy. Po wiem otwarcie: książki, które tchną optymizmem, zniechęcają mnie od pierwszej strony. Po prostu ledwie je otwieram, już odkładam na półkę. Bo tak już jest, że kiedy widzę pisarza, który chce mnie swoją książką serdecznie pocieszyć oraz do życia energicznie „podniecić”, wyczuwam od razu, że on mnie nie traktuje jak człowieka dorosłego tylko jak duże dziecko w marynarce od Vesariiego, spodniach z Milano i półbutach Baty, któremu, broń Boże, nie wolno

mówić żadnych smutnych rzeczy, bo jak się takiemu dziecku powie smutne rzeczy, to ono psychicznie zwiotczeje, rozklei się i rozleci, gdyż ludzie w ogóle nie potrafią żyć bez jakiejś duchowej Przedszkolanki, której obowiązkiem jest nas co jakiś czas pocieszać.

Mało tego. Wyczuwam także z przykrością, że taki pisarz doskonale wie, jak życie wygląda naprawdę, ale ponieważ uważa, że bez duchowej pomocy, czyli zawieszania prawdy o życiu na kołku, nikt nie jest w stanie poradzić sobie na Ziemi, udaje przed sobą samym i przed wszystkimi, że nie wie tego, co dobrze wie, to znaczy stara się nas energicznie „podniecać” do życia przy pomocy czułych poklepywań po ramieniu, żartów, dowcipów, kalamburów i krzepiących przemilczeń. Otóż jeśli mnie jakieś książki osłabiają czy nawet do życia zniechęcają, to muszę powiedzieć, że są to książki pisane właśnie z taką intencją.

Jeśli zaś o mnie samego chodzi, myśl o tym, że powinienem przy pomocy swoich książek głaskać ludzi po głowie, mówiąc im do uszka: „*Don't worry, be happy!*”, głęboko mnie zniechęca. Przebywanie w towarzystwie ludzi dorosłych, to znaczy po Ciemnej Stronie Rzeczy, sprawia mi silną satysfakcję, a dzieje się tak być może dlatego, że nas, członków Klubu Rycerzy Mroku, jest na tym świecie raczej niewielu. Mrok jest dla nas równie pożywny, jak dla reszty pożywne jest Światło, ale zjadanie się Światłem wydaje nam się nieskończenie banalne. My, ludzie Podziemia, przebywamy w pieczarach, kryjemy się przed Słońcem, a przez całe życie zajmujemy się przede wszystkim sporządzaniem Aktu Oskarżenia. Cóż, taką to mamy fantazję, że przez całe życie Akt Oskarżenia spisujemy w różnych wariantach literackich.

Albowiem literatura – taka jest moja opinia – tylko wtedy jest warta uwagi, kiedy jest Aktem Oskarżenia, a nie czułym plastrem na duchowe odciski. Oczywiście Akt Oskarżenia, o który tutaj chodzi, jest to z konieczności akt zupełnie bezsilny i nieskuteczny, ale hardy i honorowy, inaczej niż na przykład terapeutyczne pokrzykiwanie: „*Don't worry be happy!*”, jakiemu oddawał się choćby sam Adam Mickiewicz, kiedy pisał *Pana Tadeusza*, traktując Polaków, do których to dzieło adresował, jak dorosłe dzieci, które należało strzec przed zasmucającymi, jak uważał, dywagacjami.

Kiedy o tym pomyślę, przypomina mi się, jak to zawsze mnie zawstydziała sytuacja, w której nauczycielka języka polskiego po scharakteryzowaniu rysów pesymistycznych twórczości Wisławy Szymborskiej oddychała z prawdziwą ulgą, gdy mogła powiedzieć sobie i swoim uczniom, że mimo smutnych myśli, jakie znalazły się na przykład w tomie *Wołanie do Yeti*, Wisława Szymborska miała jednak optymistyczne spojrzenie na świat oraz pisała wesołe limeryki,

Czesław Miłosz zaś, choć widział i przeżył okropne rzeczy w strasznym XX wieku, ukochał mimo to życie, czemu dał wyraz w swojej poezji i dlatego jest miły, fajny, mądry oraz przyjemny w użyciu.

Książka *Samobójstwo i „grzech istnienia”* nie jest moją pierwszą Księgą Mroku. Losy mojej poprzedniej Księgi Mroku, która ukazała się pod tytułem *Samobójstwo jako doświadczenie wyobraźni*, głęboko mnie zastanowiły. Myślałem, że napisałem książkę dla dwunastu, tymczasem okazało się, że sporo ludzi chce ją przeczytać, więc Klub Rycerzy Mroku nie jest wcale tak niewielki, jak mi się wcześniej zdawało.

Dulce et decorum jest bowiem powtarzać „Nie”, widząc jak większość ludzi z całej siły wmawia sobie „Tak”. Prawdziwa filozofia życia to jest, niestety, filozofia godziny trzeciej nad ranem, kiedy to budzimy się w najgłębszym przerażeniu, że czeka nas przeżycie kolejnego pięknie zapowiadającego się dnia, ale złocistość słowa „Nie” najpiękniej właśnie o tej porze zakwita, więc i trzecia godzina nad ranem ma swoje niewątpliwe zalety, choć spowija ją zniechęcająca szarość świtu.

Oczywiście ja sam całym swoim fizyczno-cieleśnym bytowaniem mówię życiu codziennie głośne „Tak”, ale czarny brylant słowa „Nie” noszę w sobie jak dar bezcenny. Sztuka życia na „Tak” ze słowem „Nie” w sercu wydaje mi się interesującym zadaniem, któremu – mówię to z odcieniem dumy – potrafiłem sprostać przez z górą sześćdziesiąt lat, co jest, jak myślę, niezłym wynikiem. Hodować w sobie zupełne poczucie bezsensu, a przy tym żyć tak, jakby wszystko miało sens najgłębszy, stokroć bardziej jest zajmujące, duchowo bogatsze i trudniejsze do wykonania niż samopocieszanie się magiczną formułą „*Don't worry, be happy!*”, którą bez trudu potrafi wymówić każdy.

Zawsze też podobali mi się Ludzie Obrażeni na Istnienie, zachowujący w sercu głupią Pretensję do Boga i Natury, kapryśni malkontenci, sporządzający Akt Oskarżenia przeciwko Bytowi przy dobrej kolacji w restauracji na Starym Mieście w Gdańsku, nad kanałem w Amsterdamie czy przy Saint Denis w Paryżu albo Wegetarianie, którzy zjadając soczysty befsztyk, grozili Niebu uniesionym do góry widelcem z czerwoną kroplą zwierzęcej krwi na czubku. Niech Pan na wysokościach zobaczy, jaki to stworzył świat, a nas razem z tym światem!

Tak to już bowiem jest, że żadna Nadzieja nie jest mi do życia konieczna. Zapewne w jednym punkcie jestem niepodobny do większości ludzi: nigdy nie bałem się śmierci. Bałem się cierpień choroby, okropności bólu fizycznego, trudów niepełnosprawności, przekłętego umierania w hospicjum, ale śmierci? Dość szybko zrozumiałem, że im bardziej boję się życia, tym śmier-

ci boję się mniej. Taką to ciekawą logikę odkryłem. Wynikało z niej, że warto do pewnego stopnia podsycać w sobie przerażenie życiem, bo wtedy strach przed śmiercią maleje, a nawet znika. Zupełnie niezły, jak myślę, sposób na przetrwanie kolejnego pięknie zapowiadającego się dnia.

Poczucie grzeszności istnienia, o którym napisałem moją najnowszą książkę, ma w sobie wzmacniającą słodycz, polega bowiem na tym, że człowiek czuje się wtedy żywym Aktem Oskarżenia, co skłania go do dumy bez pokrycia, a tylko taka duma jest prawdziwym motorem twórczości. W końcu wszystko się sprowadza do pytania, skąd wziąć energię potrzebną do tego, by przetrwać kolejny pięknie zapowiadający się dzień, a świadomość „grzechu istnienia”, jak myślę, dostarcza tej energii w nadmiarze. Na przykład – że powrócę do spraw, o których już wspomniałem – podoba mi się ktoś, kto czuje się wegetarianinem, uważa więc, że odbieranie życia zwierzętom jest paskudne, a równocześnie w dobrej restauracji zajada się sarnim mięsem i czyni to demonstracyjnie, tak żeby Bóg na to patrzył, bo może wtedy Dobry Stwórca zechce się głębiej zastanowić nad tym, dlaczego i właściwie po co stworzył nas jako ogniwo ohydneho łańcucha pokarmowego, choć mógł nas przecież stworzyć zupełnie inaczej. „Grzech istnienia” polega między innymi na tym, że kiedy zgadzamy się żyć, zgadzamy się też na paskudną regułę, że aby żyć, musimy zabijać inne życie, bo inaczej żyć się nie da, a wszelki wegetarianizm, który chce tę sprawę zręcznie ominąć, uznając zabijanie życia roślinnego za zupełnie nieistotne w obliczu zabijania zwierząt, jest dość żalosnym wybiegiem szlachetnej naiwności.

Życ z poczuciem zupełnego bezsensu tak, jakby wszystko miało stuprocentowy sens, jest zadaniem niełatwym, ale ciekawym. Bardzo mnie też wzmacnia poczucie, że należę do wspólnoty takich, którzy myślą podobnie, obojętne, czy jest nas wielu czy niewielu. Dzielenie się poczuciem bezsensu z innymi nie jest wcale jakimś jałowym narzekaniem, jak lubią głosić ludzie nam nieprzychylni. Przeciwnie: tworzy życiodajną złudę sensu, której nie da się przecenić. Kiedy spotykam Rycerzy naszego Klubu Mroku, rozkwita we mnie radość, że w swoich kłopotach nie jestem sam. Że na przykład ja i nasz starszy, nieżyjący już znajomy z Pragi, pracownik banku Franz Kafka oraz kilka innych podobnych mu osób, jak choćby nieżyjący już, daleki nasz krewny z Irlandii, Samuel Beckett, tworzymy wzmacniającą siebie wzajemnie wspólnotę, przerabiając przy pomocy pióra poczucie bezsensu na sens i to mocny. Bezsens wymówiony, zapisany, skomponowany, wyśpiewany, a więc artystycznie ukształtowany, przestaje być bowiem, takie jest moje przypuszczenie, w znacznym stopniu bezsensem. Duże znaczenie ma także obecność Kobiety, która – nawet jeśli jest tylko obec-

nością zupełnie milczącą – tworzy złudę sensu jeszcze silniejszą, ale tylko niewielu mężczyzn może na to liczyć, bo znaleźć taką kobietę trudno.

Co do Miłosza – biedny to był człowiek, jak mawiał o takich ludziach Fiodor Dostojewski, nasz nieżyjący już znajomy z Petersburga. Przez całe życie co jakiś czas udawał Fajnego Gościa, bo jak chcesz żyć wśród ludzi, nie ma rady, musisz udawać Fajnego Gościa. Ale w środku siedziała Czarna Dżdżownica i gdyby on był do końca uczciwym pisarzem, to by pisał tylko o swojej Czarnej Dżdżownicy, która go zżerała. Ale wiedział, że nie może, więc co jakiś czas – także za radą swojego demona Krońskiego – występował przed Narodem jako ekstatyczny podziwacz Ogródków Działkowych („Ogrody, piękne ogrody...”), żeby być strawnym dla zwykłych ludzi. Potrawę smakowitą poetycką z siebie robił na stół szwedzkich mieszczan z komitetu noblowskiego, na czym zresztą później dobrze wyszedł.

I to nie ja rozbuchałem się w mojej książce o Miłoszu, pisząc o jego Czarnej Dżdżownicy, tylko rozbuchali się ci, którzy robią z niego Fajnego Gościa, kochającego życie z uśmiechem. On życie kochał, ale też mocno go nie kochał. Zabić się chciał naprawdę i to chyba nie jeden raz, ale twarz swoją co jakiś czas stroił w Słoneczne Oblicze, zgodnie z oczekiwaniami Stada, które każdy rozumny człowiek powinien brać pod uwagę, jeśli się chce jakoś na Ziemi urządzić. Do Klubu naszego należał, choć wielu nadal nie chce o tym słyszeć, bo im taki obraz Miłosza mocno nie pasuje.

Jego sławny wiersz *Dar* jest bardzo mrocznym wierszem, choć cieszy swoim czarem serca Przedszkolankę. Wystarczy tylko przyjrzeć się, jaka tam jest podana definicja szczęścia. Szczęście jako chwila, gdy brak Dolegliwości w Istnieniu. Szczęście jako przerwa w Istnieniu, chwilowa nagroda pocieszenia. Też mi pochwała istnienia. Szkoda gadać.

Zawsze też z zażenowaniem czytałem wiersze młodego Wierzyńskiego, pozującego na szczęśliwego gimnazistę, z czego on się zresztą szybko wycofał już w *Wielkiej Niedźwiedzicy*. Wszystkie te Dionizosy skamandryckie wydawały mi się mocno podejrzone i przebiegłe, wycelowane w target, sprytne i konformistyczne. Oni najpierw odegrali komedię Szczęśliwości Roześmianej, by przyciągnąć publiczność, co się im świetnie udało, bo wszyscy na Szczęśliwość Roześmianą czekali, a potem Tuwim napisał *Słowa we krwi*, Wierzyński *Pieśni fanatyczne*, a Lechoń fatalnie depresyjne *Srebrne i czarne*, cóż zaś mówić o Iwaszkiewicz, który był Czarnym Poetą zawsze, nawet gdy pisał rokokowe *Oktostychy*.

Tuwim był sto razy ciekawszy, kiedy o swoich diabłach wewnętrznych pisał niż o Sokratesie tańczącym. Sokratesa tańczącego on odgrywał z talentem

w pierwszych swoich książkach, bo wiedział, że to bierze młode kobiety, ale potem mu to na szczęście przeszło i zaczął pisać depresyjnie. Spróbujmy sobie wyobrazić Tuwima, który całe życie jest Sokratesem tańczącym. No, po prostu okropność i wstyd taki widok.

Pisanie jako sporządzanie Aktu Oskarżenia dodaje mi sił do jakiego takiego egzystowania na Ziemi. Pisać – jak mi czasem ktoś podpowiada – o „jasnych stronach życia” zawstydzą mnie i nudzi śmiertelnie. Miałbym wydłubywać stalówką mojego Parkera z Czarnego Tortu Istnienia słodkie rodzyнки Ulgi i podtykać je pod nos moim bliźnim? Literaturę przerabiać na biuletyn Towarzystwa Wzajemnych Pocieszeń? Szkoda na to mojego czasu. Wolę już nasz Klub Rycerzy Mroku.

Marzy mi się czasem ludzkość dorosła, która kiedyś wyjdzie na place wielkich miast i uniesie ku Niebu pięść. I papież, który stanie po stronie takiej ludzkości. Byłby to prawdziwie piękny widok, którego, jak myślę, nigdy nie ujrzemy, bo bardzo mało jest Ludzi Dorosłych wśród ludzi dorosłych, gdyż każdy nosi w sobie duszę Gimnazysty spragnionego żarłocznie „wiosny i wina” oraz „wróbli na dachu”, a bolesnej dumy „grzechu istnienia” ma w sobie raczej niewiele.

Tymczasem są dwa sposoby na życie. Pierwszy: podniecać w sobie wolę życia. Ma to, powiedzmy sobie od razu, dobre i złe strony. Bo im bardziej podniecasz w sobie wolę życia czyli żarłoczność na życie, im bardziej panicznie chcesz żyć, im większą masz na życie ochotę, tym bardziej rośnie w tobie strach przed śmiercią, tym bardziej dzwonisz zębami ze strachu. Drugi sposób: podniecać w sobie przerażenie życiem. Co prawda smak życia wtedy tracisz, ale i zyskujesz niemało, bo strach przed śmiercią słabnie w tobie, albo nawet zupełnie się ulatnia.

Który sposób lepszy, nie wiadomo, bo nie wiadomo, jak w tym rachunku liczyć straty i zyski. Pewnie najlepiej oba sposoby łączyć. Podsycać w sobie rozjątrzoną żarłoczność na ziemskie chwile szczęścia, a równocześnie trzymać w odwodzie kojącą odrazę do życia, bo kto się życiem brzydzi, śmierci się nie boi, a chwile szczęścia może sobie kolekcjonować do woli jak rodzyнки wyciągane z błota. Błędem byłaby tu jednostronność, na przykład nadmierne przywiązanie do życia, które prowadzi do paniki, albo nadmierna do życia odraza, która zatruwa wszystko. Ale odraza do życia ma to do siebie, że bardzo pomaga żyć, bo dużo luzu daje. Z kurczowości instynktu samozachowawczego leczy, co nie jest do pogardzenia.

Jeśli zaś chodzi o mnie, to czasami myślę, że żyję właściwie tylko po to, by sobie samemu codziennie imponować, że potrafię zrobić coś, czego wielu ludzi zrobić nie potrafi. To znaczy przy poczuciu pełnego bezsensu żyć poprawnie, wypełniać w miarę dobrze codzienne obowiązki męża, ojca, obywatela, wie-

dząc, że to wszystko, co robimy, to pył i proch, a po nas najmniejszy ślad nie zostanie. Jeśli człowiek potrafi sobie samemu imponować, to mu nie jest potrzebna do niczego żadna miara zewnętrzna czy osądzająca instancja metafizyczna, bo po prostu umie się cieszyć swoimi egzystencjalnymi wyczynami, niczym skostniały z zimna alpinista wspinający się po skalnym zrębie Mount Everestu, którego w śnieżnej mgle nie widzi ani żaden bliźni, ani żaden Bóg. Im silniej odczuwam poczucie bezsensu, tym większy mój codzienny wyczyn, za który nagradzam siebie paroma zdawkowymi pochwałami, rzucanymi mimochodem przez zęby przy wsadaniu do autobusu czy tramwaju. Należy przemienić własne oczy w widzące nas oczy Boga i odbijać się w nich jak Narcyz w tafli jeziora, nie po to jednak, by się w sobie zakochać, lecz by mierzyć samego siebie własną miarą Trudnej Próby.

Obie Księgi Mroku, jakie napisałem, bardzo mnie wzmocniły. Oczywiście nie wiadomo, dlaczego takie rzeczy piszemy, bo nie wiadomo, co w nas siedzi naprawdę. Być może samobójstwo opisane, zamienione w słowo, ulega symbolicznemu urzeczowieniu, a przez to zostaje zawieszone na czas nieokreślony. Pewne rzeczy piszemy po to, by je od siebie oddzielić, to znaczy zmienić w obiekt do estetycznej kontemplacji, który traci przez to magnetyczną siłę przyciągania.

Ludzie są wrogami depresji, bo nie potrafią z nią żyć. Chcą tylko się jej pozbyć, czemu zresztą trudno się dziwić. Tymczasem to nie jest na nią sposób. Sztuka ma tu niejedno do zrobienia, bo przeobrażenie depresji w melancholię godne jest i sprawiedliwe, słuszne i zbawienne, choć mało kto to potrafi. Umiał to robić na przykład Caspar David Friedrich, który Lęk potrafił przeobrazić w krajobraz nadmorskiego brzegu, zatopiony w północnych mgłach.

Ale próbować warto, na przykład rozmyślając o „grzechu istnienia”, bo takie rozmyślanie buduje wspólnotę tych, którzy mają podobne kłopoty. Do budowania takiej wspólnoty służą książki, jakie staram się pisać. Bo nawet jeśli siedzimy w głębokiej Ciemności, z której nie ma żadnego wyjścia, razem zawsze raźniej, bracie i towarzyszowi podróży, Franzu Kafka z Pragi.

Uważam depresję za naturalną formę naszego istnienia na Ziemi, chociaż wiem, że większość ludzi przeciwko takiej opinii zaprotestuje zdecydowanie, bo uważają oni, że depresja jest przypadłością do uniknięcia, a nie samym życiem. Uważam też, że walka z depresją nie ma sensu, bo depresja w tej walce zawsze wygra, choćbyśmy stanęli na głowie.

Z depresją nie należy walczyć. Z depresją należy się zaprzyjaźnić. Nadać jej interesującą, pożywną kulturalnie i artystycznie formę. Przeobrazić w narrację, scenę, fabułę, wyobrażenie symboliczne. Zdziczała, odpędzana depresja, kiedy

nie jest ujęta w formę, wraca bowiem w sposób bardzo nieprzyjemny, ale kiedy staje się depresją ucywilizowaną, oswojoną, może dać niejedną radość duszy. Jak to zrobić nie bardzo wiem, ale odpędzanie depresji tradycyjnymi metodami, których tu nie wymienię, bo są powszechnie znane, uważam za rażąco nieskuteczne.

Silnie depresyjną osobowością była Szymborska. Sam to widziałem, więc się nie nabieram na żadne pogodne obrazki w stylu Pani od Wycinanek, czyli na przerabianie Wisławy na Duchową Przedszkolankę piszącą Limeryki. Wiersze jej wszystkie mają fatalnie ciemny podkład, a żarty, jakim się oddawała w pisaniu, widzę jako formę cywilizowania depresji, tak by można było z nią żyć. Ona nie uciekała w obronny śmiech, tylko depresję w sobie umacniała, nadając jej udany estetyczny kształt, przez co oddzielała ją od siebie. I wcale nie chciała się wyrzec swojego poczucia absurdu, tylko z tego absurdu zrobiła tworzywo dla swoich wierszy. I jakoś sobie radziła z tym do czasu, bo kiedyś wreszcie musiała powiedzieć „Wystarczy”. I powiedziała.

MICHAŁ GŁOWIŃSKI

Małe Szkice

Stare poetki

Stare poetki nigdy nie są stare. Nie są sędziwymi kobietami, choć mogą się skarżyć na dolegliwości, co z wiekiem przychodzi, trudności w chodzeniu, bóle kręgosłupa, skłonności do zapominania tego, co stało się przed chwilą i było w zasięgu ręki – choćby zreumatyzowanej. Pióro trzymają w niej mocno, dzielnie poruszają swymi watermanami, parkerami, czy skromnymi długopisami firmy Bik, tak jakby były lekkie, niczym z gęsi wzięte. I tworzą nimi słowa, układają zdania, choć bywa, że są one ciężkie za sprawą swych treści, doniosłe, ważne, z głębi wydobyte, na różne nastrojone tony. I w jakże piękną sekwencję układają się ich imiona: Wisława, Julia, Urszula... Nie pomijam dawniejszych: Kazimiera, Maria, choć ta późnego nie dożyła wieku, ale przed stuleciem (z okładem) czas przebiegał inaczej, krócej się żyło, odchodziło wcześniej, etap, zwany starością, zaczynał się niemal w sile wieku. W latach posunięte, poetki świetne nie patrzą

z niepokojem na swe następczynię o dziesięciolecia młodsze, świadome, że są niezastąpione. Naprawdę stare poetki nigdy nie są stare!

Już

Przed kilkoma miesiącami recenzowałem na prośbę jednego z wydawnictw obszerną książkę zbiorową poświęconą Leśmianowi. Składały się na nią głównie prace autorów młodych, w większości mi nieznanymi, nawet reprezentantów pokolenia średniego było niewielu. W artykułach tych padało często moje nazwisko, czemu się nie dziwiłem, bo zajmuję się tym poetą od ponad półwiecza, prace moje o nim trzymają się całkiem dobrze, wciąż funkcjonują, nie mogę narzekać na zapomnienie, czy lekceważenie tego, co zrobiłem. Zwróciło moją uwagę, że przy moim nazwisku pojawia się często słówko „już”: „już Michał Głowiński pisał...”, „już Michał Głowiński stwierdził...” itp. W sformułowaniach tego rodzaju ma ono funkcję ściśle określoną, wyraźną, jednoznaczną. Dykjonarze wymieniają i precyzyjnie analizują różne jego użycia. Do tego kontekstu stosuje się taki komentarz pomieszczony jako trzeci w *Innym słowniku języka polskiego*: „Mówimy, że coś zdarzyło się już jakiś czas temu, aby podkreślić, że zdarzyło się dawno”. Nie mogę nie zauważyć, że owo „już” odnosi się także do artykułów ogłoszonych ostatnio, co świadczy o tym, że chodzi tu nie tylko o konkretny tekst, ale o autora, należącego do epoki oddalanej, minionej, zaprzeszłej, przymiotniki można mnożyć. Tę funkcję „już” w pełni uświadomiłem sobie wówczas, gdy skojarzone zostało ze mną, przedtem nad nią się nie zastanawiałem, nie mogę wykluczyć, że za młodu sam je stosowałem w wypowiedziach mówiących o koncepcjach autorów, należących do generacji znacznie ode mnie starszej. Czas pędzi nieubłagannie – i już za życia wtrąca nas w przeszłość, z której nigdy się nie wydobędziemy.

Nazwiska

„Być na aryjskich papierach”, „mieć aryjskie papiery” – pamiętam te holokautowe idiomy z tamtych czasów, chyba już z okresu zanim nam się udało z getta wydostać. Po tym, gdy to się stało, rzeczywiście na „aryjskich papierach” byliśmy, różnych, z takich lub innych powodów od czasu do czasu zmieniających. Zakładało to posiadanie dokumentów na inne niż własne nazwisko, nawet gdy brzmiało ono po polsku, tak jak moje. W czasie ukrywania się zmieniano mi je z całą pewnością dwa razy, a może nawet trzy. Zapamiętałem ostatnie: Piotrowski. Tak nazywałem się w Turkowicach, na to nazwisko wystawiły mi siostry szkolną cenzurkę,

gdy wyjeżdżałem latem 1945 roku. Zmiany te nie stanowiły dla mnie większego problemu, musiałem przyzwyczać się do tego, że obecnie nazywam się inaczej niż przed tygodniem, nie napotykałem w tym na trudności. Ale też miałem jeden wielki przywilej: zmianom nie podlegało moje imię, zawsze, we wszystkich okolicznościach, pozostawałem Michałem. Oczywiście byłoby inaczej, gdybym nosił imię żydowskie, nawet takie jak Dawid, nadawane w ostatnich dziesięcioleciach w Polsce także przez katolików. Dzięki temu, że w tej dziedzinie zachowywałem ciągłość, miałem poczucie, że zawsze jestem tą samą osobą i to, co najważniejsze, nie ulega przekształceniom, czy zatarciu. W grę wchodziły również względy praktyczne, nie musiałem się do nowego imienia przyzwyczajać, ani też uczyć reagowania na nie. Zawołany po imieniu, mogłem się nie zastanawiać, czy wezwanie mnie dotyczy. Dla dziecka imię jest z wielu powodów ważniejsze niż nazwisko.

Piekarz pietruszka, czyli dalsze ciągi

Do swych opowieści autobiograficznych od *Czarnych sezonów* do *Kręgów obcości* wprowadzałem różne wątki uboczne i epizodyczne, nie zawsze kierując się przekonaniem o ich bezwzględnej ważności, o wzmiance dotyczącej takich lub innych osób lub sytuacji decydowało to, że je zapamiętałem. Nie wiem, jakim cudem utrwalił się w mojej pamięci fakt, że w getcie pruszkowskim, utworzonym pod koniec roku 1940, a zlikwidowanym w ostatnich dniach stycznia roku następnego, zakwaterowano nas w niewielkim domku, należącym do piekarza Pietruszki. Stało się tak być może dlatego, że jest to nazwisko znaczące. Przeczytał tę wiadomość mój magistrant sprzed kilkunastu lat, dzisiaj znany historyk literatury, i mi powiedział: piekarz Pietruszka to mój dziadek. Informacja ta mogła nie mieć dla mnie żadnej wagi, zrobiła jednak spore wrażenie. Podobnie jak kilka lat wcześniej spotkanie z mieszkającą w Holandii panią Joanną P., która dzięki pewnym przypadkom ze mną się skontaktowała. Okazało się, że jest urodzoną kilka lat po wojnie przyrodnią siostrą Emila, bohatera jednego z opowiadań zamieszczonych w *Czarnych sezonach*, córką znanego w swoim czasie profesora medycyny. Nagle okazało się, że coś, co tworzyło mały szczegół historii rodzinnej, w zasadzie bez znaczenia, bo Żydom zamykanym w gettach było raczej wszystko jedno, kto jest właścicielem domu, do którego pod przymusem zostali przeniesieni, ma w pewnym sensie dalsze ciągi – i mogę o tym rozmawiać z osobą o kilkadziesiąt lat ode mnie młodszą. Niespodziewanie się przekonałem, że żyją ci, którzy pamiętają – tak jak ja – utalentowanego chłopca, którego krótkie życie zakończyło się w gazach Treblinki. Są to przypadki różne-

go kalibru (pan Pietruszka wrócił do swojego domu, nic specjalnie złego mu się nie stało), oba jednak mają coś wspólnego, świadczą, że w istocie nie ma czasu całkowicie minionego i zamkniętego, bo w każdej chwili wyłonić się mogą nieoczekiwane, może nawet zaskakujące dalsze ciągi.

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI

Addenda (29)

Jest droga w górę i jest droga w dół. Nie ma innej drogi.

Owce do owiec, a kozły do kozłów, pomyślał Mohl.

Legion, czyli pięć tysięcy demonów może siedzieć w jednym człowieku.

Czy nie przepętniła się miara? Jeszcze się nie przepętniła? Nie czas już uderzyć w surmy?

Monolog Jeremiasza z wnętrza wypełnionej błotem cysterny.

Swoim duchem szukał go w sobie.

To dobry wehikuł, mimo wszystko.

Miłosz pokazał, jaka jest droga. I co? Nie zrozumieli? Nie dociera to do nich?

Nie wiedzą, że zdadzą sprawę z każdego wypowiedzianego słowa? Nie wierzą w to?

To w co wierzą? W bałwany?

Co nowego u Mohla? I co nowego u Thorna? Zmierzają do celu, czy tkwią w martwym punkcie: jeden w swoim, a drugi w swoim? Kto trzyma ich tak na uwięzi?

Gdy milczę, milczy Mohl i ci, którzy uczestniczą w jego historii. Wszyscy oprócz Thorna, który jest ponad nimi i jego głos brzmi wyraźniej. W głowie Mohla i nie tylko w głowie Mohla.

Kartka ze słowami do matki ustawiona jest po lewej stronie, w zasięgu wzroku.

Gdy nie skończę tej historii, gdy nie opowiem jej do końca, to będzie to klęska moja, czy Mohla? A może będzie to klęska matki? Gdybym mógł lepiej rozumieć, czego chce Thorn. Mohl tego też nie rozumie, ale w końcu zrozumie i tego trzeba się trzymać.

Kto jest winny, że to tak się zablokowało? Mohl, Thorn czy Roth? A może każdy z nich ma w tym swój udział?

Mohl u matki. Tak, nie oszczędzi mi się tego.

Jeśli skończę, to nikt z nich nie przegra, nie będzie mowy o klęsce, wygrają wszyscy, oprócz Rotha i jego świty. Wygrają Thorn, Mohl i matka, nie wspominając o innych.

Ale, co to znaczy – wygrają? Będą radośni, będą szczęśliwi, czy choćby tylko pogodni wewnętrznie?

A może tylko mniej przegrają, przegrają lepiej i tyle wystarczy?

Słabo rozumiem Mohla, słabo rozumiem Thorna i zupełnie nie rozumiem matki. A jest i tak, że mało rozumiem samego siebie.

Co robić? Zbić ich wszystkich z pantałyku? Ich i siebie. To byłoby widowisko!

Czy otworzyłyby jakieś nowe możliwości? Po co, skoro i tak w tym co jest, tyle jeszcze jest niewiadomego i nieznanego, niepewnego i niejasnego? Człowiek przyzwyczaja się do sytuacji, przywiązuje się do niej i w końcu staje się jej więźniem. Dlatego chcę ich zbić z pantałyku, ich i siebie.

Wiem, że nie zacznę czegoś nowego, jak z tym nie skończę. Czy nie jest to jedna z tych sytuacji, które określa się jako nie do pozazdroszczenia? Chyba nie,

bo przecież mogę najpierw skończyć jedno, a potem zacząć drugie. I to byłoby najlepsze rozwiązanie.

Czy we wszystkim nie powinno mi być wszystko jedno, oprócz tego jednego? Czy nie tak to powinno wyglądać?

Ciągle nie jest mi wszystko jedno i to nie tylko w tym jednym. I mam nadzieję, że tak będzie dalej, oby jak najdłużej. To dobra rzecz mieć nadzieję, jedna z najlepszych, jakie mogą być.

Pomaga i wspiera mnie Marta. Mówi, że robi to z miłości. Nie zaprzeczam, bo może rzeczywiście jest to miłość. Z drugiej strony, gdyby miała to być miłość, jakiej pragnę, to byłbym rozzarowany. Jednak trzeba przyznać, że mi pomaga, tak to można nazwać.

Przygotowuje jedzenie, sprząta, prasuje, a bywa też tak, że jest bardzo czuła. Czy we mnie wierzy? Czy wierzy w to, że mimo wszystko skończę swoją opowieść? Nie mówi mi tego, ale dobrze by było, gdyby tak było.

To bardzo dodaje ducha, jeżeli ktoś w ciebie wierzy. A jeszcze lepiej, gdy samemu wierzy się w siebie, w swoje możliwości, z wykluczeniem pychy, która jest po to, żeby człowieka zniszczyć. Tak, potrzebna jest wiara, bez niej niczego się nie dokona. Ale czy ja ją mam?

Potrzebna jest przemiana, coś co nazywa się *metanowa*, nawrócenie. Dla Mohla, dla jego matki i dla mnie, przede wszystkim dla mnie, bez tego ani rusz.

A może sens tkwi w tej niemożności, w blokadzie? Jaki sens może być w niemożności, w zablokowaniu? Jeśli jest dla kogoś, to na pewno nie dla mnie. Ja już to wypróbowałem. Jest kilka kwestii, co do których nie mam wątpliwości i ta jest jedną z nich.

Ze mną ruszyli i nikt inny nie sprawi, że pójdą dalej i być może dojdą do celu. Ale póki co zatrzymali się i tkwią w miejscu, chociaż przecież ciągle dzieje się wokół nich jakiś ruch. Ten tok, który tu wszczynam, jest dla nich namiastką życia, prawdziwym ożywym podmuchem. Może niewiele na tym zyskują, ale lepsze to dla nich, taki ruch, niż żeby nie działo się nic. I dla mnie lepiej, że

coś się dzieje, z nimi i wokół nich, a może nawet w nich. Bez nich nie dam sobie rady, tak jak i oni nie dadzą rady beze mnie. Co za piękne połączenie? Jesteśmy na siebie zdani, przynajmniej tyle wiadomo.

W związku z tym, co powiedział głos i co powtórzył Thorn. Tak, tyle wiadomo. I to, że od głosu nie ma ucieczki. Jeżeli raz się go usłyszało, to już zostaje, mówią nawet, że na zawsze. Co to znaczy na zawsze? Do grobowej deski? A może i poza nią? Tego nie wiadomo.

W każdym razie oni mają głos, a ja mam ich, wraz z tym głosem. Równie to zostało rozdzielone, nikt nad nikim nie ma tu większej przewagi. Mnie to nie zniechęca. Oni też mnie nie zniechęcają, tak jak i ja ich nie zniechęcam. Mamy dobre chęci. Podobno jest nimi piekło wybrukowane.

Pauza, zatrzymanie się i milczenie, które zwykle na dobre wychodzi.

Nie muszę wyjaśniać wszystkiego. Zresztą, ani chcę, ani mógłbym czy potrafił to zrobić. Nie, nie jestem minimalistą i nie jestem maksymalistą, chociaż niektórzy mówią, że jestem. Znam miarę i wiem, co jest możliwe, a co nie. Zostawmy więc to tak, wbrew oczekiwaniom czy w zgodzie z nimi, zostawmy to tak, dajmy sobie i im święty spokój, przynajmniej na razie.

Jest ruch, dążenie, posuwanie się naprzód, budowanie na solidnym fundamencie i ruch wyznawania. Dążyć, posuwać się naprzód, budować na solidnym fundamencie i wyznawać. Gdy nie poruszamy się, tkwimy w miejscu. I wtedy coś nas powstrzymuje i ciągnie do tyłu. Tak, to musi być trud. Trud i odwaga. I wierność. Miłość i wierność.

Odnajduje się tylko wtedy, gdy opuści się siebie, gdy wyjdzie się z własnego wnętrza, gdy wydali się z siebie, na zewnątrz.

Niektóre dusze tak jak i niektóre ciała przyciągają się w naturalny sposób, a niektóre odpychają się lub są obojętne.

Jeżeli oni nie słuchają siebie, to nic dobrego z tego nie może wyniknąć.

Bramą wejść i bramą wyjść, jedno nie jest prawdziwsze od drugiego.

MAREK SKWARNICKI

Hejnał mariacki (16)

Odchodzenie przewodników naszego życia

Pierwszy raz w życiu zobaczyłem kardynała Ratzingera w latach siedemdziesiątych w Monachium, jak w limuzynie opluwanej i obrzucanej błotem przedierał się ku stadionowi, gdzie miał odprawić jako ordynariusz monachijski mszę świętą na zakończenie tzw. *Katholikentag* (Dni Katolika). *Katholikentagi* odbywają się w Niemczech co kilka lat i są osobliwą imprezą, bo polegają na tym, że do wyznaczonego zawsze w innym miejscu kraju miasta zjeżdżają przedstawiciele i członkowie wszystkich świeckich organizacji katolickich. W Kościele wówczas jeszcze Niemiec Zachodnich organizacje te zrzeszała centralna instytucja – Centralny Komitet Katolików Niemieckich z siedzibą w Bonn. Tym razem padło na Monachium i przygotowany przez kurię Ratzingera *Katholikentag* obfitował w liczne ciekawe spotkania na najwyższych szczeblach katolików, polityków, teologów i organizatorów życia kościelnego. Atak na limuzynę ordynariusza Monachium wyrażał stosunek do jego twardej ortodoksji w nauczaniu i staromodnego, według wielu, podejścia do tradycji kościelnej. Niemniej Joseph Ratzinger był już wtedy jednym z najwybitniejszych, a może najwybitniejszym teologiem Kościoła rzymskokatolickiego w Niemczech i Europie. *Katholikentag* obfitował również w setki imprez artystycznych nie tylko z udziałem Niemców, Polacy również w nich uczestniczyli, trochę na zasadzie wyjątku wśród krajów „demokracji ludowej”, a kontestację ordynariusza też można było zaliczać do happeningów. Przybysze z Polski brali udział w obchodach i cieszyli się właściwie wraz z innymi, ale z klimatu naszego przygnębienia przybywszy do pięknego Monachium w nie najlepszym stanie ducha, stojąc na rynku monachijskim, gdzie co jakiś czas wyskakują figurki w staromodnym zegarze, czuli się nieswojo, gdy tłum zalany w „pestkę” piwem tańczył i śpiewał ulubioną wtedy melodię: „*Tanzen, tanzen, über ganzen Welt!*”. Zarówno *Katholikentagi*, jak i różne kongresy i sympozja z udziałem delegacji Polski i Niemiec Zachodnich, prowadziły do celu, który skonkretyzował się potem w postaci trwałego ustalenia granic między naszymi krajami, a układ Schengen, wspólna przynależność do Unii Europejskiej zmienił w ogóle polsko-niemieckie relacje polityczne, kulturowe, propagandowe, gospodarcze.

W latach osiemdziesiątych kardynał Joseph Ratzinger został poproszony przez Jana Pawła II, by zgodził się przybyć do Rzymu i tam wspomagać papieża swoją teologiczną wiedzą. I tak się stało. Nawet *Tryptyk Rzymski*, który z Ojcem Świętym opracowałem, przy mnie został przekazany przez papieża w ręce Ratzingera, a nie był to przecież dokument pastoralny. Ratzingera można było spotkać oczywiście na wszystkich uroczystościach watykańskich, a także wcześniej – gdy ktoś wybrał się na mszę poranną o 7.30 u Ojca Świętego i potem przechodził przez plac św. Piotra w kierunku kolumnady po lewej stronie bazyliki, bo za nią stoi duży, stary gmach, gdzie mieści się Kongregacja Doktryny Wiary. Papież taką funkcję przyznał Ratzingerowi i miał wielkie zaufanie do jego wycucia i elastyczności. Nie podzielał zupełnie wrzasków niemieckich studentów ani bardzo licznych i mocnych wystąpień w mass mediach przeciwko Ratzingerowi. Zrobiono z niego inkwizytora usiłującego Kościół wtłoczyć w nowy, archaiczny i totalitarny sposób rządzenia kurii i kościołem. Dlatego jego abdykacja wydała się tak wielu ludziom niewiarygodna. O takiej rzeczy nie może decydować człowiek, który został arbitralnie uznany za antydemokratycznego hierarchę Kościoła. Taką osobą Ratzinger na pewno nie był i na pewno nie byłby w przyszłości.

Trzeba sobie jednak zdawać sprawę, że zarówno sprawa emerytury Benedykta XVI, jak i wszelkie związane z papiestwem sprawy dotyczą osoby, która ma następujące oficjalne tytuły i obowiązki: każdy papież jest Najwyższym Kapłanem, Biskupem Rzymu, Wikariuszem Jezusa Chrystusa, Następcą Księcia Apostołów, Patriarchą Zachodu, Prymasem Włoch, Arcybiskupem i Metropolitą Prowincji Rzymskiej, Suwerennym Władcą Państwa Watykańskiego, Sługą Sług Bożych. Ciekawi mnie, jak te wszystkie sprawy prawnie zostaną rozwiązane niebawem, bo dotyczą one jeszcze całej chmary urzędników. Bo trzeba też dodać do tego urzędy i kongregacje kurii rzymskiej, która jest służebna wobec swojego biskupa, czyli papieża, ale ma też swoją autonomię działania. Kuria rzymska z grubsza dzieli się na kongregacje, rady, sekretariaty i komisje; nie będę już zanudzał czytelników ich wyliczaniem. Nowy papież wybrany na nowym konklawe ma zupełnie wolną rękę w mianowaniu nowej struktury hierarchicznej. W Kościele rządzi tradycja nie tylko doktrynalna, ale i poniekąd organizacyjna. Z nią właśnie wraz z przejściem na emeryturę Benedykta XVI będą mieli do czynienia elektorzy konklawe. Będą musieli brać ten fakt pod uwagę, tu bowiem rozpoczyna się cała strefa wpływów, znajomości, lobby, dobrej lub złej woli i wszystkiego, co może kształtować „ziemską delegaturę Pana Boga”.

W chwili, gdy dyktuję te słowa, uwaga opinii światowej kieruje się oczywiście ku wyborowi kolejnego papieża – kim będzie i w jakim kierunku poprowa-

dzi największą religię świata. Osobiście nie mam w tej chwili żadnych kandydatów na *papabile*. W kurii rzymskiej jest mało zauważany kardynał Stanisław Ryłko, przewodniczący Papieskiej Rady ds. Laikatu; świetny kapłan, współpracownik Jana Pawła II, poliglota (kto wie...). Ogólnie rzecz biorąc oczekuję, że zgromadzenie kardynałów na konklawe skieruje swój wzrok w kierunku krajów łacińskich: Portugalii, Hiszpanii, wszystkich republik Ameryki Łacińskiej – cała Brazylia mówi po portugalsku, a inne kraje tamtego regionu mają języki wyrosłe z pnia łacińskiego, panuje wśród nich język hiszpański z czasów kolonizacji zmieszany z miejscowymi narzeczeniami. Spyta ktoś: „A co z Filipinami?”. Filipińczycy mówią własnym językiem i po angielsku. Właściwie są pod tym względem dwujęzyczni. Nie wiem, co z tego wyniknie, jeśli moja koncepcja jest rozumna i właściwa, ale myślę też, że każdy Latynos będzie żywszy i bliższy ludziom aniżeli sztywny, z trudem uśmiechający się Bawarczyk.

Ciekawi mnie jeszcze jedna rzecz. Papież wydawał książki nie będące częścią oficjalną jego urzędowego nauczania. Do nich należy m.in. tak popularna obecnie w Polsce książka *Jezus z Nazaretu*. Spytają niektórzy: „Cóż w tym nowego?”. A to jest nowe, że to jest o Jezusie z Nazaretu, tak jakby to było o Maćku z Zakopanego, czyli o żywym, prawdziwym członku społeczności, a nie otoczonym girlandami lilii i róż *Santo Padre*. Ta książka jest wspaniała i pozostanie na długo dziełem, które się cytuje albo czyta dla umocnienia i rozbudzenia własnej wiary.

* * *

Niezbýt godna chwały historia polskiej kultury lat ostatnich posiadała jednak wybitne wydarzenia, jakimi była twórczość Czesława Miłosza, Wisławy Szymborskiej, Zbigniewa Herberta, wydania *Dzieł* Gombrowicza, dzienników Sławomira Mrożka, Jarosława Iwaszkiewicza i innych poetów jego pokolenia. Dużo tego i na studiowanie przez jedno życie może nie wystarczyć, ale багаż piękna i mądrości, jaki pozostawili nam ci pisarze i poeci wart jest stałego kontaktu i przeświadczenia ich wysiłku umysłowego i duchowego. Na pierwszy plan w obecnej chwili wysuwa się porównanie między Miłoszem a Szymborską. Dzieje się tak z tego powodu, że otrzymali Nagrody Nobla, ale wysuwa się również postać Zbigniewa Herberta, o którym wielu sądzi, że to on powinien być być noblistą w miejsce Szymborskiej. Nie wiem, czym się kierują w wyborze jurorzy Nobla, ale fakt, że raz nagrodę tę otrzymał Dario Fo, autor dramatów nie najwyższych lotów, a innym razem mało znany, ale świetny powieściopisarz węgierski Imre Kertész, którego talent na skutek bariery językowej większej nawet niż w przy-

padku separowanej w Europie polszczyzny, został odkryty w znacznej mierze dzięki Nagrodzie Nobla. Miłosz czy Szymborska? Byłem i jestem za Miłoszem, aczkolwiek w ogóle takie porównywanie poziomu dwóch znakomitych autorów polskich trudne jest z wielu względów. Problemem będzie też zawsze indywidualność tłumaczy i krytyków, którzy takie porównania będą czynili. Poezja jest najtrudniej przetłumaczalnym gatunkiem literackim na świecie ze względu na problem liryki obecnej w dziele. Ta liryka płynąca z najgłębszych warstw duszy jest nie do uchwycenia w innym niż była zapisana języku, bo przecież w wyrazach, zdaniach, kompozycjach i drażeniu prawdy mamy swoje odrębne tradycje narodowe, a do tego światło rzuca na wiersze tradycja poezji, którą się ośmiela wzbogacać. Najprostszym przykładem, lekko demagogicznym, będzie np. rosyjski skrót KGB, który zupełnie inaczej zabrzmiał w uszach tego, który siedział w gułagu, a tego, który w gułagu miał władzę. Biorę ten przykład nieestety z Szymborskiej, która w młodzieńczym wieku, kiedy jej talent od razu zaczął zwracać uwagę, na łamach „Dziennika Polskiego” w Krakowie nagle włączyła do wiersza jakiegoś oficera KGB. Miłosz takich rzeczy nie robił, a mimo to uznano go za zdrajcę ojczyzny z tego z kolei powodu, że po ucieczce z PRL-u pracował w sekretariacie ambasady tegoż PRL w USA. Oskarżono go oczywiście o zdradę narodu, ojczyzny i wszystkiego, co szaleńcy polskiego nacjonalizmu potrafią wymyślić.

Zatem chodzi o różnice światopoglądowe i ideowo-polityczne. Jednak obydwoje byli lewicującymi intelektualistami, którzy wtedy wyrastali w Europie i na świecie jak grzyby na deszczu. Szymborska nie obnaża filozoficznych fundamentów swojej twórczości (jeśli chodzi o poezję). Właściwie jej poezja opiera się na jakiejś niemal nihilistycznej wizji świata. Byłoby źle, gdyby chodziło o rzeczywisty nihilizm, tymczasem w jej wierszach bardzo często skrywa się pod nim rozpacz współczesnego człowieka-Polaka. Najbardziej lirycznym wierszem Szymborskiej jest jej wiersz opublikowany po śmierci męża, Kornela Filipowicza *Kot w pustym mieszkaniu*.

Umrzeć – tego nie robi się kotu.
Bo co ma począć kot
w pustym mieszkaniu.

Są i inne wiersze o głębokiej liryce, ale jakoś nie trzymają się głowy. Jest to subtelna koronkowa liryka, jednocześnie wygaszona z jakiegokolwiek emfazy, dotycząca esencji bytu każdego człowieka, ale znajdującego się w sytuacji beznadziei. O Bogu, a nawet Szatanie nie ma mowy – pozostaje jedynie bied-

na istota, wiodąca zupełnie niezrozumiały byt na ziemi i jest nią na pewno, jak to w liryce, autorka.

Inaczej z Miłoszem. Odnosząc się znów tylko do poezji trzeba podkreślić, że jest to poeta o głębokich korzeniach narodowych, zanurzony w polskim języku, tradycji, literaturze, sztuce, filozofii, a nawet polityce.

Który skrzywdził człowieka prostego,
Śmiechem nad krzywdą jego wybuchając
(...)
Nie bądź bezpieczny. Poeta pamięta.

Wiersz *Który skrzywdził* jest najgłębiej humanistyczny w sensie lewicowości polskiej za panowania komunizmu. Miłosz przed wojną mocno tkwił w myśleniu lewicowym, ale fakt, że nagle zbuntował się przeciwko totalitarnej brzydocie swoich kolegów-pisarzy, nie świadczy, że przeszedł na prawo czy dalej na lewo. O niczym nie świadczy prócz tego, że poeta jako uczciwy człowiek zbuntował się przeciwko fałszowi zbrodni i niszczeniu polskiej chrześcijańskiej tradycji patriotycznej. Z tą chrześcijańskością były kłopoty przez całe życie Miłosza, niemniej uważam, że był osobą głęboko chrześcijańską, choć nie miejsce tu na udowadnianie tego. Więc kim był, jeśli chodzi o rdzeń zapatrywań na życie człowieka i narodu?

Traktat moralny wydany zaraz po wojnie jest wyznaniem światopoglądowym bardzo trudnym do opisywania i analizowania. Po prostu Miłoszowi udało się napisać wiersz społeczny, a nawet polityczny, tak spletany z humorystyczną wizją człowieka i narodu, że nie wiadomo, jak to oceniać.

Chyli się Polska w trudne czasy.
Przed bóstwem wódki i kiełbasy.

Tak... Ona tak się ciągle chyli, opary alkoholu nie opadają, kiełbasa jest obecnie wspanialsza na rynku kapitalistycznym Polski. Lecz – co poza tym? A jednak ten klimat bigosu historii ludzkich życiorysów znajdujący też odbicie w twórczości wielu pisarzy ma znaczenie dla nas i dzisiaj. Szymborskiej, obdarzonej dużą dozą humoru, obce są tak uogólniające, nieomal kaznodziejskie strofy. Jest to królowa fraszek i kabaretu – połączenie tych treści i form z małymi traktatami filozoficznymi o najgłębszej treści jest siłą tej poezji. Była programową ateistką, a jednak jeśli chodzi o jej olbrzymią sumę pieniędzy otrzymanych z Nagrody Nobla to czysta, piękna, otwarta dłoń dla celów charytatywnych i rozwoju talentów ludzi sztuki.

U Miłosza ważne jest również to, że większość życia spędził na emigracji w USA. W jego liryce są ślady wielkiej poezji amerykańskiej, o czym u Symborskiej w ogóle nie ma mowy. Ślady Whitmana, Audena, Frosta, Mastersa – wierszy rewolucyjnych, bo wprowadzających coraz to szerzej i szerzej prozaizację liryki. Jednocześnie Miłosz jest cudownym tłumaczem T.S. Eliota, Szekspira, również jego przekłady *Psalmów* są znakomite. Wielbił jednocześnie Jana Kochanowskiego i niezwykle cenił Herberta. Te sprawy są zresztą jeszcze nie tylko do opisanie, ale i zgłębienia – tajemnice ziemskiego bytu dwóch wspaniałych ludzi, którzy w czasach terroru, literackiego bełkotu, chwiania się fundamentów świata potrafili się i spokojnie pracować nad swoją lub obcą liryką.

19 lutego 2013 roku

LESZEK SZARUGA

Jazda (26)

69.

Hans Magnus Enzensberger znany jest u nas przede wszystkim jako poeta, słabiej jako eseista, ale powoli i te zaległości zaczynamy nadrabiać. Właśnie ukazał się – w świetnym, jak to u niej bywa, przekładzie Sławy Lisieckiej szkic biograficzno-historyczny *Hemmerstein, czyli upór* opatrzony intrygującym podtytułem *Niemiecka historia*. W tym podtytule zresztą widać doskonale kłopoty, z jakimi ma do czynienia tłumacz z niemieckiego. Gdyby przełożyć „do tyłu”, zapewne, samo w sobie, to sformułowanie otrzymałoby formę *Die deutsche Geschichte*, ale oryginał nie pozostawia żadnych wątpliwości – ma to być mianowicie *Eine deutsche Geschichte*, czyli jednak „pewna historia niemiecka” – ta jedna z wielu. Przypomina się tytuł eseju Hageny Schulze *Gibt es überhaupt eine deutsche Geschochte?*, co należałoby przetłumaczyć: *Czy w ogóle istnieje jedna historia niemiecka?*; ale można też, nie naruszając istoty pytania, lecz je w dodatku zaostrzając, sformułować to nieco inaczej: *Czy w ogóle istnieje jakaś historia*

niemiecka?. W każdym razie mamy rodzajnik nieokreślony „eine” (jakaś, pewna), który może też – w zależności od intencji, być odczytany jako liczebnik (jedna). I wiemy przecież, jaka jest odpowiedź: nie, nie ma jednej historii niemieckiej. I znamy odpowiedź inną: tak, istnieje jedna historia niemiecka.

Wszystkie te kłopoty i zawiłości pojawiają się w relacji o postawie generała Kurta von Hammersteina – Equorda (1878–1943), po I wojnie światowej czynnego w (dyskretnym) odbudowywaniu (w porozumieniu z Sowietami) niemieckich sił zbrojnych, po 1933 przeciwnika Hitlera, zaangażowanego w ruchu oporu, którego najbardziej znanym przedsięwzięciem był nieudany zamach na *führera* w lipcu 1944 roku, a zatem już po śmierci naszego bohatera, którego żywot – oraz żywoty jego potomstwa (siedmioro dzieci) – stanowią treść opowieści Enzensbergera, dla której wziął zresztą autor motto z wypowiedzi głównej postaci: „Strach to nie światopogląd”. A strachem wszak – na różne sposoby maskowanym – podszyte były zachowania części junkierskich elit wobec naziistów, którymi wprawdzie pogardzali, lecz którym jednocześnie wiernie służyli. By zrozumieć te postawy, warto wczytać się uważnie w podrozdział *Pruski styl życia*, ale też przykuwa uwagę inny jeszcze podrozdział tej książki: *Glosa piąta. O skandalu równoczesności* – chodzi tu o równoczesność tego, co określić można jako historię polityczną i tego, co stanowi bieg codzienności. Cytuje tu poeta uwagi historyka Karla Schlögela: „Do najbardziej szokujących i zarazem najważniejszych doświadczeń dla nas, potomnych, którzy wczuwamy się w obcy świat, należy doświadczenie równoczesności nierównoczesności, doświadczenie istnienia terroru i normalności, zwyczajności i sensacji, nagłówków i druku małymi literami, politycznych wstępniaków i prozy anonsów, retuszowanych zdjęć propagandowych i błahej reklamy, tego wszystkiego, na co człowiek natrafia podczas lektury gazet”. I dalej: „Więzienia sąsiadują z nowo wznoszonymi szkołami i wszyscy wiedzą, co przewozi się czarnymi samochodami dostawczymi”. Bodaj najlepszym utworem ukazującym ów „skandal równoczesności” wydaje mi się wiersz Wiktora Woroszyńskiego *Państwa faszystowskie*: „albowiem / życie biegło zwyczajnie więc naprawdę w państwach tych wielu było / ludzi zwyczajnych i ludzi dobrych i takich którzy / nie wiedzieli o niczym i którym / nie przychodziło na myśl i którzy / nie czuli się współwinowajcami i którzy / nie mieli z tym nic wspólnego i którzy nawet / nie czytali gazet lub też czytali niedbale zajęci / myślami o tym że trzeba naprawić / przeciekający dach oddać / buty do szewca (...) // A jednak były to / państwa faszystowskie”. No właśnie.

Na pewną cechę tego rodzaju struktur państwowo-politycznych zwraca uwagę Enzensberger w kolejnym podrozdziale zatytułowanym *Odpowiedzial-*

ność rodziny za czyny jej członków, co wydaje mi sygnalizować problem ostatnio jakby znów aktualny, i to w Polsce, w naszej III RP. Ale zacytujmy: „Już w listopadzie 1944 roku w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy stworzono specjalny referat o nazwie »Odpowiedzialność rodziny za czyny jej członków«. »Przez rodzinę«, czytamy w odpowiednim rozporządzeniu, »należy rozumieć małżonka, dzieci, rodzeństwo, rodziców i innych krewnych, jeśli o tych ostatnich wiadomo coś niepochlebnego«. Osoby, których to dotyczyło, były aresztowane bez nakazu i tylko ustnie informowane o powodzie aresztowania”. Nie jestem pewien czy występujący dziś w Polsce szermierze odpowiedzialności rodzinnej z lubością wskazujący na „coś niepochlebnego” w postawach i działaniach braci, sióstr i rodziców nielubianych przez siebie osób publicznych zdają sobie sprawę z tego, iż wprost nawiązują do praktyk nazistowskich, których inaczej niż plugawymi nazwać nie sposób.

Choć może i sposób. Żyjemy w końcu w demokratycznym państwie, w którym każdy ma prawo bezkarnie powiedzieć, że Hitler, owszem, zbrodniarzem był, ale przecież (z tym naciskiem na „przecież”) potrafił zwalczyć bezrobocie, a zatem nie wszystko, co czynił, zasługuje na potępienie i pogardę. Głupio trochę wyszło z tą „odpowiedzialnością rodziny” – mówią tacy, którym idea się podoba – bo to co prawda całkiem w porządku, ale zaraz nam tego Hitlera jacyś jajogłowi z „mainstrimu” wyciągną, a na Hitlera powoływać się (jeszcze?) nie wypada. Ale my przecież wiemy – dopowiadają – że jak mama pracowała w Urzędzie Bezpieczeństwa, to synek z całą pewnością też w porządku być nie może, a jak brat przyrodni wyroki w stalinizmie wydawał, to ten, kto ma takiego brata, na zaufanie nie zasługuje i za owe wyroki też jest odpowiedzialny.

Jak widać, książka niemieckiego poety o generale Hammersteinie przynosi sporo czytelnicznej uciechy. Dopełnijmy to zatem jeszcze jednym smakowitym dodatkiem, dygresyjką z polskiego punktu widzenia zajmującą. W podrozdziale *Glosa czwarta. Rosyjska huśtawka* bardzo interesująco – choć też niezwykle skrótowo – opisuje Enzensberger relacje niemiecko-rosyjskie od XVIII wieku poczynając, na Rapallo i inwazji na Sowiety kończąc. Ten przegląd wydarzeń zamyka refleksja ze wszech miar interesująca: „Po zwycięstwie Armii Czerwonej, po wygnaniu Niemców ze wschodniej części Europy Środkowej dawna, neurotycznie nacechowana ambiwalencja przybrała po raz pierwszy państwowo utrwaloną postać w podziale Niemiec i zimnej wojnie. Dobro i zło podlegało odtąd jasno zdefiniowanym miarom. Huśtawka została niejako unieruchomiona w aspekcie prawa międzynarodowego, chociaż w cichości ducha nadal ko-

łatały się dawne afekty. Nowa polityka wschodnia nieco je przyhamowała, ale »długa droga na Zachód« zakończyła się nieodwołalnie dopiero w 1989 roku. Niczego w tym nie zmienia chimeryczne próby zakwestionowania tego stanu rzeczy, podjęte przez rząd niemiecki z powodu drugiej wojny w Iraku. »Oś Paryż-Berlin-Moskwa« była jedynie upiornym przypomnieniem o stuletnim odurzeniu, z którego w końcu Niemcy się wyzwolili. Pogodzili się ze stratą dawnych terenów osiedleńczych na Śląsku i w Prusach Wschodnich, i chociaż utrata dawnego przeciwnika przychodzi Polakom z trudem, na dłuższą metę będą musieli żyć bez wielkiego wroga na Zachodzie» [podkreślenie moje – L.S.].

Uff! To bym spytał na koniec, choć wiem, iż H.M.E mi nie odpowie: na jak dalece dłuższą metę przyjdzie nam żyć bez naszego odwiecznego i „wielkiego wroga na Zachodzie”? Lubię optymizm, ale nie wydaje mi się, by w tym krótkim rozdziale stanowiącym swego rodzaju, jak to sam autor nazywa, „szkicową rekapitulację” flirtu Niemców z Rosjanami brał Enzensberger pod uwagę fakt, iż historia, co prawda, nie kieruje się żadnymi żelaznymi prawami, ale za to jest pełna niespodzianek i wszelkie przewidywania tego, co się będzie „na dłuższą metę” działo, nie są funta kłaków warte.

70.

Święty Augustyn w swym dziele *De Genesi ad Litteram* sformułował zasadę, wedle której konflikt między dosłowną interpretacją Pisma Świętego a udowodnionymi prawdami naukowymi rozwiązywać należy poprzez metaforyczną wykładnię Biblii. To, oczywiście, jedno z możliwych stanowisk, niemniej wydaje się dość rozsądne, choć nie dla wszystkich chrześcijan zdaje się mieć moc obowiązującą i wciąż nie brak takich, którzy z uporem maniaka, w szczególności w sprawach dotyczących zasad życia społecznego, trzymają się dosłownego rozumienia tekstu świętej *Xięgi*, co siłą rzeczy prowadzić musi do sytuacji dość przykrych. Jak to pięknie podkreśla w swej rozprawce *Filozofia przypadku* książd profesor Michał Heller: „Augustyn zauważa, że gdybyśmy nie postępowali zgodnie ze sformułowaną przez niego zasadą, narażalibyśmy doktrynę chrześcijańską na ośmieszenie w oczach pogan. (...) Warto pamiętać o zasadzie św. Augustyna także w dzisiejszych dyskusjach dotyczących kwestii konfliktowych między nauką a religią”.

Książkę Hellera (drugie, poprawione jej wydanie) czytałem z wypiekami na policzkach i z zaciśniętymi zębami – to drugie z powodu konieczności prze-

brnięcia przez partie, w których moja zanikająca z latami umiejętność odcyfrowywania wywodów matematycznych, zwłaszcza dotyczących teorii miary (organ nie używany zanika!), zmuszała mnie do zwielokrotnienia uwagi. Niemniej jakoś przez całość się przedarłem i uświadomiłem sobie oto – być może niekoniecznie zgodnie z tokiem wyводу Hellera – że kwestia przypadku jest fundamentalnym problemem mego człowieczeństwa. Pobiegłem sobie mianowicie dość już wydeptaną ścieżką kartezjańską i, modyfikując ją nieco, doszedłem do przekonania, że sam jestem przypadkiem, zapewne jedynym w dziejach kosmosu, takim zatem, którego prawdopodobieństwo wydawać się winno nieprawdopodobne (dotyczy to zresztą każdego z mych bliźnich), ale... Pisze Heller, że „jeżeli istnieje we Wszechświecie życie (przynajmniej na jednej planecie), to prawa fizyki muszą być takie, żeby umożliwić procesy wiodące do powstania życia”, a zatem te same procesy wiodą – skoro ja istnieję – do stworzenia tej mojej, niepowtarzalnej (mam nadzieję!) egzystencji. Jeżeli tak, to moje istnienie jest konieczne. Mój wszechświat – bo umieszczam się (dlaczego nie?) w jego centrum – jest taki, jakim go, za sprawą mojej wolnej woli, poznaję (kreuję).

Dowodzi Heller, że „w siatce praw fizyki są »wolne miejsca« na działanie przypadków i jest ich dokładnie tyle, ile trzeba, by prawa fizyki nie były abstrakcyjnymi wzorcami, lecz by mogły rządzić konkretnymi procesami w przyrodzie. Bez »wolnych miejsc« na działanie przypadków, i to »wolnych miejsc« bardzo subtelnie wkomponowanych w siatkę praw przyrody, równania pozostałyby tylko abstrakcyjnymi formułami opisującymi jedynie możliwe (a nie zachodzące w rzeczywistym świecie) zachowania”. A zatem, jeśli to traktować z odpowiednim dystansem i poczuciem ironii, okazuje się, iż rację miał stary, pocziwy Leibniz, gdy powiedział, że żyjemy w najlepszym z możliwych światów, stanowiąc zespół ponad zakomponowanych przez wprzód ustanowioną harmonię. Z tego punktu widzenia wszystko jest jasne i jest, oczywiście, dziełem przypadku, któremu na imię Wielki Wybuch. Inne, znane nam przecież formuły matematyczne opisujące alternatywne światy możliwe, oszałamiające swym pięknem i elegancją, dotyczą światów nierzeczywistych pozostając strukturami czysto abstrakcyjnymi w siatce których znalazło się przecież „wolne miejsce” na przypadek realności świata rzeczywistego czyli naszego, mojego i wszystkich tych, które, żyjąc i rozglądając się wokół siebie, każdy z nas tworzy.

Herezje zapewne tu jakoweś wygłaszam czy raczej wypisuję, wszelako i one do porządku tego wieloosobowego Wszechświata przynależeć muszą, skoro już są.

PIOTR SZEWC

Z powodu i bez powodu (31)

Bez tytułu i daty (XXV)

Ucieszył mnie kiedyś, miłośnika mopsów, wiersz Artura Międzyrzeckiego *Mops* z tomu *Koniec gry*: „Nieduży pies / 20–30 cm wzrostu / Krępy / Ze skłonnością do tycia / Waga 6–8 kg / Głowa okrągła duża / Nos krótki tępy / Oczy duże / Maską czarna / Uszy czarne / Sierść krótka czarna / Albo brązowa / Przywędrował z Chin / Popularny w XVII wieku / Zwłaszcza w Holandii / Łagodny i spokojny / Mops / Taki jest mops”. Utwór lakonicznością przywodzi na myśl suchy standard rasy z podręcznika kynologii. Niepoetycki wiersz – żart. Przypomina się hasło opisujące konia w *Nowych Atenach* księdza Benedykta Chmielowskiego. Do dziś żałuję, że nie zapytałem autora o genezę tego intrygującego mnie utworu. Odszukałem *Mopsa* Artura Międzyrzeckiego po lekturze jego i Julii Hartwig listu do Anny i Jerzego Turowiczów z 7 lipca 1972 roku z Iowa City. W tym liście czytamy: „teraz tam róże i hortensje, i heliotropy, i pies mops, co wabi się Tommy, rzadkiej rasy, ale taki sam jest u sąsiadów na lewo, też rzadkiej rasy, i identyczny po drugiej stronie ulicy, wszystko to mopsy rzadko spotykane, ale nie na Magowan Avenue, gdzie mieszkamy teraz” (w tomie *Wspólna obecność. Korespondencja Julii Hartwig i Artura Międzyrzeckiego z Anną i Jerzym Turowiczami*, Kraków 2012).

Fabula „słodkiego” snu z Mamą z 29 stycznia 2013 roku miała miejsce w Zamościu na ulicy Żeromskiego. Staliśmy w długiej kolejce, przez całą szerokość ulicy, do cukierni Ładyńskiego. Kolejka kończyła się za księgarnią z naprzeciwką (w tej księgarni kupiłem kiedyś *Duszyckę*, *Mapę pogody*, *Biłkę*; miałem niepisany przywilej wchodzenia za ladę i przeglądania, godzinami, tomików na półkach z poezją). Ale szybko przesuwiała się, co chwilę byliśmy o kilka metrów bliżej wejścia. Trapiło mnie, czy wystarczy dla nas ciastek, skoro chce je kupić tak dużo ludzi, i czy będą te, które lubię. Za ladą uwijały się dwie sprzedawczynie w białych fartuszkach. Mama kupiła nam po ciastku do zjedzenia na miejscu (zdaje się, że miałem bajaderkę). Usiedliśmy przy stoliku w rogu cukierni. Obok mnie dosiadł się młody mężczyzna, obgryzał pieczonego kurczaka. Powiedział, że nie może patrzeć na ciastka, że robi mu się niedobrze. Mama zamówiła dziesięć ciastek

na wynos. Czekaliśmy aż sprzedawczynie przygotują dla nas pakunek obwiązany na krzyż papierowym sznurkiem i podadzą przez oszkloną gablotę. Miałem go potem ponieść, jak zwykle bywało, trzymając za „uszko”.

Po czemu śmietana? Po czemu jajka? – pytały zamościanki handlarek na białem na rynku nowomiejskim i na Starym Mieście. Żywym kurom odgarniały pióra z podbrzusza, żeby zobaczyć, jakiego koloru jest skóra i czy kura jest tłusta. Żeby zachęcić do kupna, handlarki chochlą, jak pędzlem, zostawiały kleks śmietany na wierzchniej stronie dłoni kupujących. Zamościanki rytualnie go zlizywały i smakowały. Chodziły od straganu do straganu, wybierały śmietanę najlepszą i najtańszą.

Do mnie przynosi króliki, ja jestem retelna, ważę retelnie – tak mnie nagabywała jedna z ajentek, skupujących we czwartek króliki na nowomiejskim rynku. Była tłusta, niechlujna i chciwa. Mieszkała, jak się nie mylę, na Wierzbowej. Nie pamiętam jej nazwiska. Oczywiście nie była ani retelna, ani rzetelna.

Odkrywcza i czasami słuszna uwaga Marcina, że „pozory się mylą”, ma godne siebie towarzystwo: „oby moja intuicja nie myliła się”. To również powiedział Marcin.

Sede vacante – rozumiem decyzję Benedykta XVI, jej powody papież przedstawił jasno i przekonująco. Pusty tron wzbudza we mnie uczucia niepokoju i smutku. Myślę o skutkach decyzji papieża dla Kościoła w perspektywie kolejnych pontyfikatów, w perspektywie przyszłości.

Chusty tureckie pamiętają czasy półchałupniczo fabrykowanych chodników z pasków zszytego materiału. A więc to druga połowa lat sześćdziesiątych i lata siedemdziesiąte. Na chusty Babcia mówiła chustki – i my tak za nią. Miała ich kilka, może kilkanaście, każda inna. Przysyłała je z Ameryki siostra Babci – Wanda. Ciotka Wanda, jak ją nazywaliśmy. Chustki były bawełniane, lekkie, kwadratowe, ozdobione w kolorowe arabeski, z jednolitym kolorystycznie szlakiem bez frędzli. Dziś myślę o nich, że były bardzo piękne, ale wtedy wydawały mi się wstydliwie prowincjonalne. Gdy przyszła paczka z chustkami, kupowały je od Babci znajome kobiety. Nowe, wyjęte z papierowej koperty-paczki, chustki pachniały Ameryką. Mówiłem, że coś pachnie Ameryką, bo rzeczywiście pachniało mi inaczej od rzeczy rodzimych. Dość długo musiałem czekać, by Babcia przyznała mi rację.

Telewizyjna reklama środka przywracającego regularność wypróżnień przypominała mi słowa Babci: – Krowy dostały laksy. – Krowy dostawały laksy jesienią, gdy w dużych ilościach jadły liście buraków, buraczankę, jak ją nazywaliśmy.

W prawie pustym przed południem barze Rusałka 5 marca 2013 roku młody mężczyzna je i rozmawia sam ze sobą. – Gdzie tu można kupić kwas siarkowy? – pyta. – W aptece? Może w sklepie chemicznym? – pytaniami odpowiada mu kasjerka. Niby odpowiada poważnie, a przecież wiadomo, że udając uprzejmość kpi z niego w obecności postronnych słuchaczy. Jest w wieku emerytalnym, znużona i z błyszczącą twarzą, z opuszczonymi na czubek nosa okularami obserwuje uważnie salę i reaguje, jak trzeba.

Tylko we śnie mogłem zobaczyć świniokonie. Widziałem je bardzo krótko, nie dłużej niż kilka sekund. Było ich cztery, w szeregu jeden obok drugiego, zaprężone do prostego drewnianego pojazdu – ale nie tradycyjnego wozu czy bryczki – którym powoził Dziadek. Świniokonie były białe, miały końskie ogony i grzywy, głowy podobne do świńskich, z ryjami, a nie chrapami, miały racice. Wyższe od kuców, masywne, tłuste, silne. Ciągnęły pojazd na szosie w Łapi-guzie, tuż obok nitki drogi prowadzącej w stronę Sitańca.

Bez początku

O zawartości tomiku *Przekreślony początek* Ryszarda Krynickiego informuje nas podtytuł: *Dwadzieścia dwa wiersze z lat 1965–2010*. Tylko tyle czy – aż tyle? Dla nas, czytelników i miłośników tej poezji – tylko tyle, dla Autora, którego znamy z chęci nieustannego wykreślania słów z wierszy, z rezygnacji mówienia (czytaj: pisania) – pewnie aż tyle. Cieszymy się jednak z tego tomu, bo to jedna z mądrzejszych i wspanialszych książek poetyckich, jakie historia literatury przyjęła/przyjmie pod swoje skrzydła.

Co świadczy o istotności tego zbioru wierszy? Wydaje mi się, że przede wszystkim fakt, iż poezję tę cechuje niezwykła zdolność ukazywania *p r a w d y*, jakkolwiek to banalnie lub tajemniczo brzmi – inaczej nie potrafię tego określić, intuicyjnie czuję, że o to właśnie chodzi. Poprzez to stwierdzenie chcę powiedzieć, że jak w platońskiej trójjedni prawda zespolona jest z dobrem i pięknem, ale dotyczy przecież również zła i brzydoty – poezja prawdy odkrywa w błysku chwili, w błysku światła świadomości także to, co szpetne i pozbawione dobra.

Już pierwszy wiersz tomu rozpoczynający się od słów „nagi, obudziłem się nagle w kolejce po chleb”, dotyczy tej problematyki. „Nagi” – a zatem pozbawiony maski, ubrania, pod którym jest nasze prawdziwe ciało, ciało człowieka. „Nagi” w wymiarze metaforycznym – to autentyczny, prawdziwy, nieskryty za maską. „Obudziłem się” – brzmi jak wyznanie kogoś, kto został oświecony, kto nagle odkrył prawdę lub znał ją zawsze, ale pograżony był we śnie, z którego przybył do jawy; kto nie mógł się obudzić, bo zmęczenie, bo ucieczka w sen, bo przyjemność... W czterech wersach pierwszej strofy tego liryku ukazano cztery miejsca, w których „budzi się” „ja” – i jest to zarówno „ja” tego wiersza, jak i „ja” w ogóle, „ja” człowieka gotowe do ujrzania prawdy, do jej przyjęcia i poznania. Oto cztery ważne miejsca w życiu ludzi, wymienimy je po kolei. Kolejka po chleb to wymiar codzienny, praktyczny, utylitarny, pragmatyczny, ale pamiętajmy o czasach, które są przywołane w tym wierszu – to kolejka czasów PRL-u. Lekcja religii w kościele – to z kolei aspekt metafizyczny, ale i wspomnienie dzieciństwa, poznawania świata, wkraczania do niego; przestrzeń kościoła symbolizuje *sacrum*, zestawione z poprzednim miejscem –

kolejką po chleb, co ukazuje bolesną konfrontację wartości. „Czwarta klasa”, ponownie lekcja, tym razem „o kulistej ziemi” – znów mamy dzieciństwo, poznanie świata, uczenie się prawdopodobnie przedmiotu „ściśłego”, dającego wiedzę o ziemi, to znów wymiar praktyczny, wymiar dociekania prawdy poprzez naukę. I wreszcie miejsce czwarte – „nieznany dworzec”, który oznacza podróż, wędrówkę, zmianę, to metafora ludzkiej drogi życia. Mamy zatem: sklep, kościół, szkołę, dworzec – jako punkty przestrzenne w ludzkim losie, punkty poznawania rzeczywistości, zderzenia różnych aksjologicznych pól codziennych doświadczeń. Ale to jest pierwsza część wiersza, są jeszcze dwie – jedna dwuwersowa oraz ostatnia, złożona z jednej linijki, którą wypełnia jedno krótkie słowo. Druga strofoida przynosi powtórzenie słów z pierwszej, ale już bez początkowego wyrazu „nagi” – „obudziłem się nagle”, po tej frazie następuje kolejna, w drugim wersie, ze znakiem zapytania: „żeby błdzić?”. Naturalne pytanie, przynoszące myśl, że wszyscy błdzimy, przynosi jednak odpowiedź optymistyczną, kończąca – jak się wydaje. To słowo pada w trzeciej części tego siedmiowersowego tekstu i przynajmniej, że robi wrażenie taka kompozycja, bowiem pointa jednosylabowa, będąca bezokolicznikiem, jest mocnym zwieńczeniem tego utworu, który rozpoczyna

tomik. Oto podmiot mówiący odpowiada sobie: „iść”. Tak, obudziłem się nagle, nagi, żeby iść – to mocne, proste stwierdzenie, ma jakby siłę rażącą – błdzić, ale iść, nagi i chcący ukryć swoją nagość – bo przecież wiersz rozgrywa się również w onirycznej sytuacji lirycznej – to tam, we śnie podmiot – bohater utworu „obudził się nagi”; a więc nagi – ale pragnący „iść”, nie zaś – ukryć się czy schować, tak jak powinien.

Dopowiedzmy to ważne stwierdzenie – iść w prawdzie, do prawdy, poprzez prawdę, dla prawdy. „Błdzić” w takim odczytaniu oznacza – „iść w kłamstwie”, a tu mamy zdecydowanie odrzucenie błędzenia. Nie wyklucza to się z tym, o czym mówiłem wyżej – mamy tu bowiem znakomite wyzyskanie semantyki tekstu. Z jednej strony – „błdzić” w wymiarze dodatnim, czyli szukać, tak jak się błdzi w obcym mieście, szukając ulicy czy domu i trafia się tam, a z drugiej strony – „błdzić” w znaczeniu pejoratywnym: kluczyć w kłamstwie, nie znając drogi do prawdy.

W takim rozumieniu wszystkie cztery ukazane w tym wierszu miejsca doświadczeń człowieka mogą go przybliżyć do prawdy, albo ostrożniej – mogą mu wskazywać drogę do niej, ukazywać możliwości wyboru tej drogi, różne oblicza prawdy – codziennych zmagania z życiem (kolejka po chleb), wiary lub jej braku (lekcja

religii), nauki (lekcja geografii, biologii, fizyki itp.), drogi przez życie/podróż (dworzec). Najważniejsze jest, by podjąć wysiłek na tej drodze ku prawdzie.

Ważny jest język tego wiersza. Zwróćmy np. uwagę na czterokrotne powtórzenie słowa „nagle”, niemal w każdym wersie pierwszej części liryku, niemal – bowiem jedynie w trzeciej linijce go nie ma, oraz na końcu wersu rozpoczynającego strofoidę drugą. Ten zabieg służy oczywiście podkreśleniu tego stanu nagłości; obudzenie się „nagle” to metafora epifanijności, jakiegoś oświecenia, zrozumienia, błysku świadomości. Jest jeszcze w drugim wersie pierwszej części tekstu świetny zabieg aliteracji: „nagle nagi” – to podwójne „nag-”. Mamy tu zasygnalizowane oba ważne przesłania wiersza: moment iluminacji (?) i moment samoświadomości, nawet pewnego zawstydzenia – przecież ów moment „nagłości” kojarzy się z sytuacją pierwszych ludzi w Biblii – poznania dobra i zła.

W tym wierszu, który otwiera ten wybór zbiegają się najważniejsze kwestie poezji autora *Kamienia, szronu* – dążenie do jasności widzenia i jasności wypowiedzi (nie kłóci się to z metaforą tej poezji), próba bycia po stronie prawdy, wysiłek podjęcia trudu życia w świecie ogarniętym brakiem dobra. Temu służyć ma mowa i poezja, język codzienny i język

wierszy: „Język, to dzikie mięso, które rośnie w ranie, / w otwartej ranie ust, żywiących się skłamaną prawdą” – mówi Krynicki w znanym wierszu *Język, to dzikie mięso* i tu mamy pragnienie prawdy, ból kłamstwa, biologiczne uwikłanie w materię – agresję, nieopaną żądzę instynktów, ponad duchową stroną człowieka. Pesymistycznie brzmi wers zamykający i będący równocześnie odrębną częścią wiersza, złożonego z dwóch strofoid, które świetnie zderzone zostały ze sobą – bowiem pierwsza część złożona jest z dziewięciu linijek, druga zaś, o czym wspomniałem, z jednego: „to dziecko, które ucząc się prawdy, prawdziwie kłamie”. Pobrzmiewa tu, oczywiście, echo słów: „język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie”, ale jest też rzecz taka oto – ów język kłamie ze strachu? z rozmysłu? z powodów społecznych, psychologicznych itd.? W każdym razie dla mnie ważne jest stwierdzenie, że owo „dziecko – język” – uczy się prawdy. To aspekt pozytywny tego liryku, mimo zdecydowanie pesymistycznego zakończenia („prawdziwie kłamie”) – prawdy trzeba się uczyć, a nasze języki są jak dzieci, które chcą? mogą? uczyć się prawdy. W takim rozumieniu i język poezji jest takim dziecięcym językiem, dopiero wprawianym w mowę, kształcącym się.

Znakomicie łączy się to z tytułem tomu, który został zaczerpnięty

z wiersza – *Przekreślony początek*. Jest to wiersz autotematyczny – jego głównym tematem jest pisanie, (jest zadedykowany Zbigniewowi Herbertowi) – tytułowy „przekreślony początek” to wyraz zmagania z materią i duchem słowa, z wyrażaniem siebie i świata. To także metafora szukania prawdy poprzez poezję, czynienie prób i skreśleń – to szukanie drogi, pozytywne „błądzenie” o którym pisałem wcześniej. W wierszu *Unoszone wiatrem* Krynicki pisze:

Wiatr unosi strzępki
niewyraźnie zapisanej kartki:
zapomniane słowo? sen?
moje nieme ty?

drży na końcu języka.

Właśnie – jest nieuchwytnie, ale do pochwylenia, do zanotowania. Dlatego trzeba zapisać owo u m y k a j ą c e:

Niepodlegli nicości, podajmy dalej
niebotyczne pismo obłoków,

podawajmy je z ust do ust.

(*Podajcie dalej*)

stuk-puk

(przez sen,
od M.B.?)

Nic
ości
nie ma
ale coś
ć

ma
(być?)

(*stuk-puk*)

(...) „Spróbuj chociaż
wystругać łódkę z kory!”

(*Muszę sobie tylko wyobrazić drzewi*)

Te autotematyczne wypowiedzi służą podkreśleniu ważności podejmowania prób docierania do prawdy poprzez sztukę, poprzez poetycką twórczość – wyrazem wiary w to są słynne dwa słowa z przywołanego liryku *Podajcie dalej* – „niepodlegli nicości”. Metafora z tego samego tekstu: „podajmy dalej / niebotyczne pismo obłoków” oznacza zaś to, że do poety należy odczytanie znaków świata i próba zapisu ich w sztuce lirycznej mowy, tak by trwała chociaż przez chwilę.

Są w tym tomiku także ślady historycznych wydarzeń, jak wiersz *31 marca 1971, godzina 19.21*, zaczynający się wersem „cały świat patrzy na Moskwę”, w którym mieszają się porządki różnych równoczesnych zdarzeń tego okresu, jak „mecz na stadionie (...) / Manchester City prowadzi (...)”, „Charlie Manson / czekając na śmierć w komorze gazowej”, a najważniejsza jest informacja: „ocalał jeden / zginęło dziesięciu górników / na Wybrzeżu / w tajemnicy po- grzebano zabitych // milczymy”. Pojawia się w tym utworze nazwisko Peipera, który był bardzo ważny dla poetów Nowej Fali, widać tu podobieństwa z *Kroniką dnia* tego autora.

Są tu też piękne liryki miłosne, jak np. *Światelko*, przywołujące na myśl *haiku*:

Gaszę światło, jestem zmęczony.
Ledwo tli się we mnie światełko
twojego snu.

Drży, czuwa.

Ryszard Krynicki zapisuje „Niepojęte: // Jest.”, przekreśla początki i końce swoich wierszy, przekreśla ich środki, zapisuje je od nowa, opisuje rany świata i „stare błędy ludzkości”. Jego pismo, jak „pismo obłoków” jest z nami.

Paweł Tański

Ryszard Krynicki, *Przekreślony początek. Dwa dzieścia dwa wiersze z lat 1965–2010*, Biuro Literackie, Wrocław 2013

Droga na szczyt

Ogród nauk (1979), który Czesław Miłosz (1911–2004) nazwał „prywatną księgą różności”, został napisany po *Ziemi Ulro* (1977) i w trakcie pracy nad przekładami ksiąg Starego i Nowego Testamentu. Są to wypisy z autorów od starożytności do współczesności: przekłady biblijne, wiersze, fragmenty poematów, dramatów, esejów, filozoficznych pism i traktatów, dzienników, opowiadania, kroniki, słownika i chasydzkiej przypowieści, a także autorskie szkice i eseje, w sumie wielkie bogactwo i różnorodność. To kolejna próba „poszukiwania formy bardziej

pojemnej, / która nie byłaby zanadto poezją ani zanadto prozą”, kalejdoskop fragmentów zmiennych, możliwych do czytania w dowolnej kolejności i nawzajem wzbogacających swój sens. Miłosz kieruje tę księgę do czytelnika, jakiego sobie upodobał, choćby, jak mówi, miał on być tylko mieszkańcem jego fantazji. Zaprasza go do wędrówki i prowadzi na szczyt.

Zaczyna od rozważań na temat gorliwości, która według Mickiewicza daje wraz z pracą nadzieję „postąpienia na wyższe stopnie”. Mówi o słabo rozwiniętym zmyśle formy w kulturze polskiej, o jej drugorzędności i o tym, że z tych wielkich luk trzeba sobie здаwać sprawę, jeżeli chce się dokonać czegoś ważnego. Snuje rozważania o polskim głupstwie, które polega na braku hierarchii, czyli nierozróżnianiu pomiędzy tym, co prawdziwie ważne i tym, co mało ważne, mówi o wybredności Norwida, jego pogardzie dla lokajstwa i arystokratycznej skali wartości, którą mieli także Conrad, St. Ign. Witkiewicz i Gombrowicz, cytuje m.in. Blake’a: „Niech każdy Chrześcijanin, ile tylko ma mocy, otwarcie i publicznie, przed całym światem, przykłada się do jakiegoś Umysłowego przedsięwzięcia, aby budował Jeruzalem”, przytacza fragmenty z Pascala i Weil i stwierdza: „Tor zostaje wyznaczony i ma się do wyboru albo bezustanną umysłową aktywność, codzienną pracowitość albo zgubę – nawet gdyby wyrzuciło

nas na wyspę bezludną". Czy można zacząć jaśniej i bardziej zachęcająco?

Dla Miłosza słowa Eklezjasty „są wzorem wszelkiej poezji lirycznej, bo w nich ten, kto mówi i stwierdza, że musi przeminąć tak jak inni, wznosi się ponad swoją zniszczalność poprzez rytm języka". Potrzebne nam jest myślenie o czasie i porządkowanie przestrzeni, w której się porusza, zakorzenienie tak w tzw. rzeczywistości jak i w świecie ducha, stworzenie bohatera, w którego istnienie uwierzą i autor i czytelnicy, przeznaczenie czyli ziarno właściwej danej osobie energii oraz dobry przewodnicy, najlepsi jacy mogą być, wybrani nie tylko wśród współczesnych.

Spotykamy się z Kierkegaardem, stykamy z *Zaślubinami niebios i piekieł* Blake'a, przypominamy siedem grzechów głównych zgrupowanych pod wspólnym hasłem *Saligia*, wędrujemy po *Infernie* Dantego i po *Raju utraconym* Milтона (krótkie streszczenie ich akcji pełne są dobrych energii Miłosza), poznajemy Niebo i jego cuda oraz piekło teurga Swedenborga. Trwa praca przygotowawcza i spisywanie inwentarza.

Jednym z głównych tematów *Ogrodu* jest język, przede wszystkim polski: Tam gdzie koza uwiązana, niech trawę gryzie lub: Policz dary, jakie dostałeś, ceń, co masz, przytacza znane przysłowia. Pokazuje zalety i wady polszczyzny na tle innych języków słowiańskich i europejskich, pisze o jej cechach, energii, wigorze i niemocy, dostojęństwie,

słabości i kształtowaniu, literackości, ustawieniu, rytmie i „uwadze składniowej” dochodząc do jej mistrza nad mistrzami i rozdział pt. *Mickiewicz* dobrze byłoby zacytować w całości w myśl prawdy, że dobrego nigdy za wiele. Mówi w nim m.in. o głównym nurcie rytmicznym polszczyzny, o jej trzech odmianach, o stylizacji i parodii, skłonności do zapożyczeń, niedowładzie składni, „wyrabianiu się” i indywidualnym ideale języka i kultury, czyli o rzeczach pierwszorzędnych.

Część pierwszą kończy esej pt. *Niemoralność sztuki*. Miłosz zastanawia się w nim nad zagadkowym związkiem słów z rzeczywistością, który poddany jest innym prawom w każdej epoce i mówi o bezsilności poezji i literatury wobec tego, co objawia się jako rzeczywistość, która wydaje się za trudna (tu: „samowystarczalna czynność języka”). Artysta powinien być zimny wobec niej i, jak stwierdził Tomasz Mann, „nieludzki, poza-ludzki”, a ponadto musi zdawać sprawę z tego, że największe tragedie, które wydarzyły się w dwudziestym wieku to, tylko wstępny przejaw ujawniania się „z primordialnych wód” Lewiatana, wszechwładnego państwa, Bestii Apokalipsy. Ludzie, którzy widzą wielkie rzezie jako oderwane od siebie pojedyncze i tylko ludzkie fakty historyczne i nie uwzględniają tego, co jest zapisane w Biblii, są jak co najwyżej dokumentaliści, a nie artyści.

Barierą, która jest nie do przekroczenia, jest znalezienie najwłaściwszej ekspresji i najwierniejszego wyrazu w języku, nie mówiąc o najodpowiedniejszych formach i ta bariera obecna jest przez cały czas. Miłosz mówi, że w dwudziestym wieku odbywał się „jakby wyścig pomiędzy coraz mniej rzeczywistym słowem i coraz bardziej niemą rzeczywistością”. Czy tak samo, a nawet gorzej nie jest i dziś, na progu nowego wieku? Znowu potrzebne, a właściwie niezbędne do opisu ludzi i zdarzeń są przypowieść i metafora. Jesteśmy w większości formowani przez media i tzw. obiegowe opinie i jak bohaterowie Kafki nie tyle działamy, ile jesteśmy działani, znajdując się „we władzy sił, których najistotniejsze cechy są wszechmoc i bezwzględność”. Czy dziś nie jest z tym gorzej niż w latach, w których Miłosz pisał *Ogród?* Język, którego właścicielem jest państwo, ma nad ludźmi władzę, o jakiej wcześniej nikomu się nie śniło. Jaki jest ratunek? Czy jest jakiś ratunek?

Drugą część, którą wypełniają wiersze i rozważania wokół nich, rozpoczyna szkic pt. *Gorliwość tłumacza*. Miłosz był nim prawie przez całe życie, przekładając z literatury francuskiej i angielskiej, a także z polskiej na angielski. Plon jego przekładów to około dwa tysiące stron dokonań wybitnych i najświetniejszych. Jednak postępując w latach, odczuwał wielką chęć sięgnięcia do tekstów biblijnych: odnowił łacinę,

nauczył się greki (*koiné*) i hebrajskiego i zajął się tłumaczeniem ksiąg biblijnych. Pokazuje swoją do nich drogę, przedstawiając przekłady wierszy Baudelaire’a, Bomse’a, Cowpera, Mertona, Oskara W. Miłosza, Yeatsa, Venclovy, Whitmana i Jeffersa. W uwagach dotyczących Whitmana stwierdza, że to właśnie poezja tego amerykańskiego poety sprawiła, że do nowoczesnego pisarstwa wtargnęła Biblia: swoim biblijnym wersem wyswobodzonym z rymu i strof, ale naznaczonym jak największą zawartością rytmiczną, zataił on różnicę pomiędzy „zwykłą” poezją a prozą, przy czym zaznacza, że nie należy mylić wersetu biblijnego z prozą poetycką.

Kulminacją całości jest część ostatnia zawierająca szkic pt. *Eklektastes* i przekład tej niezwykłej księgi. Jesteśmy na szczycie. W *Saligii* stwierdził: „Gust do »rzeczy ostatecznych« nadał kierunek całemu mojemu życiu”, a tu mówi wprost, że po nauczaniu się języków biblijnych otworzyła się przed nim dziedzina, którą „jak teraz myślę, niekiedy pożyteczniej się zajmować niż nowoczesną poezją i literaturą”. Współczesny przekład Biblii na polski to głównie sprawa języka, gdyż dominuje żargon gazetowo-telewizyjny, nie ma stylu wysokiego, hieratycznego i właściwie trzeba biblijną polszczyznę tworzyć od nowa. Drugi główny problem to obecność w Biblii tzw. miejsc niejasnych, których nigdy dobrze nie

da się pokonać. Miłosz mówi: „Nie przebywa się na co dzień z Biblią bezkarnie: wciąga. Tak i ja zostałem wciągnięty” i ten, kto codziennie obcuje z biblijnymi tekstami, wie, że tak jest.

Krzysztof Myszkowski

Czesław Miłosz, *Ogród nauk, Dzieła zebrane*, tom 34, Wydawnictwo Znak, Kraków 2013

Science fiction i to, co najważniejsze

Góry parnasu to jedyna i niedokończona powieść *science fiction* Czesława Miłosza. Pisał ją głównie w latach 1970–1971 i jest to jego ostatnia próba napisania powieści – ciekawe świadectwo poszukiwania formy i jednocześnie spory ładunek treści nad podziw aktualnej i zachęcającej do działania.

Miłosz miał na temat prozy ugruntowane poglądy, które wyrażał stanowczo i konsekwentnie, bagatelizując dokonania współczesnych jej mistrzów: Joyce’a, Prousta, Kafki czy Becketta. „Wygląda, że wszystko poszło w tej dziedzinie krzywo” – powtarza tu w *Uwagach wstępnych*. A przecież wiedział, że w XX wieku niemożliwa była narracja, jaką stosowano w powieściach dziewiętnastowiecznych, bo świat zmienił się

radykałnie i zmienili się ludzie i nie można było tego nie uwzględnić nawet przy konstruowaniu powieści *science fiction*, co sam stwierdził: „nie jesteśmy tak pocziwi jak bohaterowie Jules Verne’a”. Alternatywą było albo poprzestać na uproszczonym rysunku jakby z powieści dla młodzieży albo zmienić się w „po-kafkowskiego narratora całą gębą”, a ani jedno, ani drugie mu nie odpowiadało. Czuąc jednak, że w tych diagnozach jest coś nie tak, określił swoje żale jako „grymasy lisa, który orzekł, że winogrona są kwaśne, bo były za wysoko”. Ale zobaczył, że przedstawiając rozdziały, które były częścią całości, mimo woli wpadł na trop ciekawego „rodzaju eksperymentalnego”, bo „wyobraźnia czytelnika dostaje tutaj sporo drobnych podniet, a także duży obszar, w którym wolno jej swobodnie szybować, co może lepiej, niż kiedy wszystko jest nazwane i dociśnięte do końca perypetiami bohaterów”. I tak jest, chociaż nie tyle jest to „eksperyment”, co mocno zakorzeniona w literaturze tradycja, której najświetniejszym przykładem są zbudowane z fragmentów biblijne poematy i opowieści.

Miłosz chciał dawać ludziom nadzieję, a nie ją pomniejszać czy zabierać, chciał pomagać, a nie szkodzić. W *Uwagach wstępnych* stwierdza: „Prawda nie może szkodzić. Zapewne. Jest ona jednak zawsze złożona

i wielostronna, i chyba prawda wyłącznie czarna pomaga tylko wtedy, kiedy strasząc i przygnębiając, do pełniejszego życia podnieca. Nie wydaje mi się, żebym to zadanie umiał wypełnić". Czy czarne prawdy Becketta nie spełniają tego zadania? I dodaje, że jego zwycięstwo w zmaganiu się z powieściową materią i jej duchem polega na tym, że zamiast napisać powieść poronioną, w porę umiał się powstrzymać, co przecież zawsze godne jest pochwały i naśladowania.

Na *Góry Parnasu* składa się pięć rozdziałów-fragmentów, które służą Miłoszowi do ponownego wyrażenia tego, co według niego w życiu i w literaturze jest najważniejsze.

Rozdział pierwszy wypełnia obszerna część opisowa: widzimy amerykański krajobraz z nie za wysokimi górami, przełęczami, przepaściami, skalnymi stromiznami i krętymi wązami o spadzistych ścianach, dolinami, kotlinami i skałkami, iskrzącymi się jeziorami, rzekami, wodospadami, kaskadami i strumieniami, sinawą zielenią iglastych lasów, tudzież lasami mieszanymi i liściastymi, zagajnikami i niedostępnymi chaszczami. Widzimy parki, trawniki, ogrody i łąki, rezerwaty z uschniętymi drzewami porośniętymi mchem, wijące się drogi, szosy, ścieżki i szlaki, kampingowe obozowiska, miasteczka i ocean. Opis ten mógłby we fragmentach być opisem np. krajobrazów litewskich lub polskich. To „ziemia

bez ojcostwa": „ojcowie odeszli i dzieci z *kindergarten* zostały same", samotne i opuszczone, tęskniące do dawnego patriarchalnego majestatu.

W drugim rozdziale opisane są przygody Karela, który dociera do tego miejsca. To osiemnastoletni młokos, który „jeżeli czegoś był pewien, to chyba tylko złudności jakichkolwiek danych poza zmiennymi napięciami swojej psychiki". Czyż wielu młodzieńców i nie tylko młodzieńców nie jest i dziś w takiej jak on, a nawet gorszej sytuacji? W świecie Karela, a rzecz dzieje się pod koniec XXI wieku, nie było już „bogów", którzy „swoją niezniszczalną potęgą gwarantowali istnienie prawomocnego świata", ani dostojnych mędrców, którzy wskazywali ludziom sens mijającego życia. Prawie wszystko sprowadzone zostało do podniet osiąganym drażnieniem prądem M 37, do gier erotycznych i seksu, z jednoczesnym zablokowaniem dostępu do wyższych zatrudnień ducha.

Pogrążony w zniechęceniu i bezwładzie Karel chce popełnić samobójstwo, zabijając się strzałem z pistoletu w grze zwanej rosyjską ruletką. Próba się nie udała, ale niespodziewanie zaszła między nią a pojawieniem się WBN, czyli Wyższego Bractwa Nirwany, zależność przyczynowo-skutkowa, której wynikiem stało się to, że Karel uodpornił się na działania tegoż Bractwa, niby opozycji podległej wszechwładnemu Związkowi Astronomów,

który likwidował ludzi jeśli nie na masową, to na wielką skalę. „Pstryknęło mu coś wtedy w głowie (...) Wylądował w strefie jasności, wewnętrznego chłodu i znakomitego funkcjonowania (...) jakby została zdarta zasłona strzegąca czegoś, co, jak wyczuwa się, jest, ale czego się nie zna” i postanowił te zdolności wykorzystać.

Odkrył w sobie niepokojący dar widzenia: widział, że wszyscy znajdują się w „coraz to zmieniającym się układzie, którego elementy są w ruchu, i o naszej przegranej zwykle przesądza nieznajomość prawideł, według których ten ruch się odbywa”. Potrafił przewidzieć, „jak zachowają się elementy i w jaki ułożą się nowy zespół”. Płacił za to powtarzającymi się atakami bólu i duchowego kryzysu, co jednak dzięki wewnętrznej dyscyplinie uodparniało go na piekielne działania WBN. Wydawało się, że nie ma dla niego wyjścia z tej sytuacji. Widział „obrzydliwy komizm nicości przebiegającej się w nic” i wibrację, czy aurę, jaka z tego wynikała: bezsensowną materialność i bezsensowną brutalność. Nie był przystosowany do świata, który na swoją modłę urządziło Bractwo, płacił za to cenę, ale dawało mu to jasność widzenia i możliwość obserwowania tego z zewnątrz, co w ostatecznym wyniku mogło być dla niego wybawiającym ratunkiem.

W trzecim rozdziale pojawia się Efraim, wróg systemu, który wrócił z siedmioletniego zesłania na Wyspę

Foczą i Karel dowiaduje się o jego powrocie. Zostajemy poinformowani o sposobach rządzenia, jakie mają miejsce w tej WBN-owskiej krainie. Jest to mieszanka liberalizmu i totalitaryzmu, ustrój, w którym niepotrzebne są śledztwa i kodeksy karne uzależniające karę od winy, bo ścigane są tylko „niewłaściwe skłonności umysłu”. Głównym i podstawowym dziełem ideologicznym jest *Teoria Indywidualności* profesora Motohiro Nakao, sławnego uczonego, który „rozbił indywidualność na składniki pierwsze, poddając się matematycznym działaniom”, co doprowadziło jego uczniów do wynależenia tzw. Oprzędzenia, które polegało na tym, że kogoś wartościowego umieszczało się w „niewidzialnym kononie”, co powodowało, że gdy chciał wypowiedzieć swoje myśli, popadał w „niezrozumiały bełkot” (z *Czekając na Godota* pamiętamy, że może też być bełkot „zrozumiały”). Sensowne porozumiewanie się było coraz mniej możliwe, a większość nie wiedziała, a nawet nie domyślała się, dlaczego tak się dzieje. Efraim należał do tych, którzy wiedzieli i wykazywał dużą odporność na Oprzędzenie.

Rozdział czwarty zawiera odnaleziony przez Efraima przy pomocy bibliotekarza w Miramar testament kardynała Petro Vallergera. Jest to ostatnia wola, posłanie do wiernych i jednocześnie spowiedź. Kardynał mówi o swojej przeszłości, wyznając, że

„mogłaby być dla niewierzących dowodem istnienia Boga”, o długoletnim odcięciu od wiary z powodu nękającego go „bodźca ciała”, o pomieszanu pojęć w ludzkich głowach, o celibacie i demonicznej podstępności płci, o pokusach diabelskich, instynkcie i splecionej z nim świadomości, o Królestwie, ufności i Jezusie, o modlitwie i o woli wyobraźni, która prowadziła go do Galilei, o słabościach i grzechach ludzi, o duchowych walkach i swoim wyćwiczonym i uzbrojonym rozumie, o pysze ciała i walce o pieniądze, o ambicji i pogardzie, o litości, współczuciu i nadziei, o bramach piekielnych i o Kościele, o diabłach świętego Augustyna i o Księciu Tego Świata, o próchnie formy, drewnie słów i reformie liturgii, o Janie XXIII i *aggiornamento*, o wierze i o walce z wiarą, o wezwaniu, grzechu pierworodnym, ogniu wiecznym i ciała zmartwychwstaniu, o *daimonizomenoi* i energii Złego, o czarnych mszach i zamęcie w umysłach, o rozpacz, upadku *sacrum* i bezdomności człowieka pod pustym niebem, o apostołach, Ostatniej Wieczerzy, wspólnocie istot przemienionych i o Obietnicy, która zostaje z człowiekiem do końca. Pełen napięcia i siły jest ten monolog.

Rozdział piąty pt. *Opowieść Astronauty* jest historią Otiego, czyli Lino Martineza, uczestnika wyprawy na Sardion i długoletniego członka ściśle hierarchicznego i onnipotentnego Związku, wychowanka wzorowanego na

dyscyplinie wojskowej zakładu Astronautów, świadomego i wiernego „żołnierza ludzkości”. Mówi, że tak bardzo utożsamiał się ze Związkiem, że Związek był nim, a on był Związkiem. Wspomina o długim treningu, który odbył. W młodości przeżył kryzys wiary. Dzięki udziałowi w wyprawie na Sardion należał do najdalej wysłanej w międzyplanetarną pustkę „straży przedniej ludzkiego rodu”. Ożenił się z Ilen, która przeszła takie samo przeszkolenie jak on i towarzyszyła mu w wyprawie. Na statku przeżył ostro zarysowane przeciwnieństwo: „my, ludzie, i obojętne wobec nas ono, wszechświat”. Po powrocie, po spędzeniu pięciu lat w Kosmosie, co równało się pięćdziesięciu latom na Ziemi, przeżył wstrząs nieporównywalny z niczym, czego doświadczył w podróży i na Sardionie. Wspomina wczesną młodość, opowiada o Haukim, który był dla niego niedościgłym wzorem, uwielbiał go i był w nim prawie zakochany, mówi o krewnych – Wincen tym i Felisie i o ich skomplikowanych relacjach, o miłosnym wtajemniczeniu, o obsesyjnych próbach odzyskania ciągłości swojej własnej osoby i tożsamości, o żalu, pięknie i przebaczeniu, o złudnym świadectwie zmysłów i niezrozumiałej dla niego, powolnej i stopniowej przemianie, jaka w nim się odbywała i w której niewiele pomagało mu to, czego się nauczył, a której główną chęcią było, żeby przegrać: „Ciemny mus, ościń, nie przestanie nas nękać,

aż wykonamy, czego żąda. Bo jakby solidarność z nimi, z ludźmi, popychała mnie na krawędź, mogłem być z nimi, tylko spadając". Czuł, tak jak Hauki, który popełnił samobójstwo, „bezsens tego wszystkiego” i „pragnienie śmierci”, ale jednak nie stracił nadziei.

Pewnego dnia, nic nikomu nie mówiąc, zniknął i wszystko zostawił za sobą. Zdezerterował z grupy zwycięzców i przeszedł do tych, którzy przegrali. Wędrował i szukał sensu, uczył się Ziemi i liczył, że w nowej sytuacji osiągnie wyjaśnienie. Na zawsze i na dobre odszedł od Związku. Nie mógł zadowolić go model życia, z którego usunięto Boga i w którym główną rolę odgrywały: konsumpcja, materializm, bezmyślność, erotyka, siła, brutalność i terror. Był to świat spod znaku pustki i nihilizmu, czyli świat bez sensu, ze zdegradowaną, zdesakralizowaną i zdehumanizowaną sztuką, świat diabła. A dla niego brak wiary i brak sensu były jak głód. W ostatnich słowach wyznaje, że nie żałuje tego, co zrobił i mówi: „jeżeli cały nasz ludzki rodzaj miał do wyboru albo przegrać, albo tak wygrać, jak wygrał, wygrać nie było warto”. Czy tych słów nie mogłoby powtórzyć wielu z nas?

Do tych rozdziałów edytorzy dołączyli *Liturgię Efraima*, która po raz pierwszy była opublikowana w paryskiej „Kulturze” w 1968 roku i która jest jakby ich osią. Składa się z komentarza wyjaśniającego, kim był Efraim i jakie

było tło historyczne jego działalności i z apokryfów, które znajdują się w części drugiej zatytułowanej *Msza katechumenów*.

W *Komentarzu* Miłosz wypowiada zasadnicze i przełomowe słowa dotyczące sztuki XX wieku: „...zbudowała Wieżę Babel bełkotu i hałasu wzajemnie się zagłuszających fortepianów. Jeżeli pomimo masowego wysiłku talentów i geniuszów jedynym pełno brzmiącym głosem człowieka pozostały nadal pisma Starego i Nowego Testamentu, należało uznać, że boskość raz tylko przeniknęła w ludzkość, natomiast błąd sztuki jest błędem wszystkich surogatów”. I Efraim, który nie był ani filozofem, ani teologiem, a tylko, jak mówi Miłosz, przeciwdziałał milczeniu i chciał czynić dobro, swoje rzemiosło pojmował jako „umiejętność kształtowania danego, gotowego, materiału, podobnie jak to czynili niegdyś malarze ikon, sięgał do zapomnianych liturgicznych tekstów łacińskich czy staro-cerkiewno-słowiańskich, a także bezpośrednio do Biblii”.

W *Mszy katechumenów* zaprezentowane zostały warianty tych tekstów, które Efraim wprowadził w swojej gminie czy zborze: kazanie w mowie rytmicznej i spowiedź pojęta jako rodzaj terapeutycznych wyznań wobec całego zgromadzenia.

Karel, Efraim, kardynał Vallerga i Martinez to autokreacje samego

Miłosza, jego zmieniające się maski. Akcenty autobiograficzne są wyraźne, a w tle pojawiają się wydarzenia historyczne z jego życia, np. druga wojna światowa jako Wojna Miłośników Rasowego Pokoju i kontrkultura '68 roku czyli Stowarzyszenie Podpalaczy. Jeżeli nie ma w życiu człowieka i społeczeństwa realnego wymiaru religijnego i duchowego, to takie życie staje się domeną diabła, zniewoleniem i wegetacją bez sensu, a w końcu nieszczęściem i zagładą. Dlatego konieczna jest walka ze Złym, bo tylko tak człowiek może zostać zbawiony. I właśnie świadectwem takiej walki są historie tych czterech bohaterów, a także życie samego Miłosza i jego twórczość, wszystko to, co jest w niej najlepsze.

Być przeciw złu, szukać prawdy i Boga i na tyle, na ile sił i możliwości, umacniać dobro – to jest najwyższy i najważniejszy cel, bardzo konkretny i rzeczywisty. Być z tymi, którzy przegrali i jak najmniej mieć wspólnego

z tymi, którzy zwyciężyli, to znaczy z tymi, którzy tak w swojej głupocie uważają. Nie Parnas a Ziemia powinna być krainą dla artystów. Cywilizacja to obecność Boga wśród ludzi, odróżnienie dobra i zła, światła i ciemności, widzenie człowieka i rzeczywistości, a nie złowieszcze i realne zło i jego fantasmagorie.

Cokolwiek by Miłosz nie napisał, nawet gdy jest to niedokończona powieść *science fiction*, i tak obraca się ku temu, czemu służył przez całe życie: pomocy biednemu człowiekowi zaplątanemu w propagandowe i ideologiczne pułapki w bezwzględny, bezduszny, zdesakralizowany świecie i zachęcenie go, jakkolwiek to nie brzmi, do godnego i pełnego życia.

Krzysztof Myszkowski

Czesław Miłosz, *Góry Parnasu. Science fiction*, wstęp i posłowie Sławomir Sierakowski, przygotowała do druku i posłowiem opatrzyła Agnieszka Kosińska, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2012

Matsuo Bashō (1644–1694), pseudonim Matsuo Munefusy, japońskiego poety, znanego też jako Bashō; urodził się w prowincji Iga niedaleko Kioto jako syn samuraja, sam również był samurajem. Jego pierwszy wiersz został opublikowany w Kioto w 1664 roku. Po śmierci swojego pana w 1666 roku porzucił służbę, aby studiować literaturę i kaligrafię. Po roku 1672 przeniósł się do Edo. Był już wtedy uważany za mistrza haiku.

Stefan Chwin, ur. 1949 w Gdańsku, prozaik, eseista; profesor Uniwersytetu Gdańskiego; ostatnio ogłosił *Samobójstwo i „grzech istnienia”* (2013). Mieszka w Gdańsku.

Michał Głowiński, ur. 1934 w Warszawie, prozaik, eseista, historyk i teoretyk literatury polskiej, krytyk literacki; profesor IBL PAN; opublikował m.in. *Kręgi obcości* (2010) (patrz: „Kwartalnik Artystyczny” 2010 nr 2 (66)), ostatnio *Realia, dyskursy, portrety. Studia i szkice* (2011). Mieszka w Warszawie.

Renata Gorczyńska, ur. 1943 w Warszawie, eseistka, tłumaczka, krytyk literacki; ostatnio opublikowała tom szkiców *Jestem z Wilna i inne adresy* (2003). Mieszka w Gdyni.

Jacek Gutorow, ur. 1970 w Grodkowie, autor wierszy, tłumacz, krytyk literacki, eseista; nauczyciel akademicki Uniwersytetu Opolskiego; ostatnio opublikował zbiór wierszy *Nad brzegiem rzeki (1990–2010)* (2010) oraz tom szkiców *Księga zakładek* (2011). Mieszka w Opolu.

Jacek Hajduk, ur. 1982 w Krynicy-Zdroju, filolog klasyczny, autor powieści *Pliniusz Młodszy* (Gdynia 2012), publikował m.in. w „Tygodniku Powszechnym”. Mieszka w Krakowie.

Julia Hartwig, ur. 1921 w Lublinie, poetka, eseistka, tłumaczka; autorka m.in. kilkunastu tomów wierszy i monografii Apollinaire’a; ostatnio w Wydawnictwie a5 ukazał się tom jej wierszy *Gorzkie żale* (2011) (patrz: „Kwartalnik Artystyczny” 2011 nr 3 (71)), zbiór *Wspólna obecność. Korespondencja Julii Hartwig i Artura Międzyrzeckiego z Anną i Jerzym Turowiczami* (2012), *Korespondencja Artur Międzyrzecki i Julia Hartwig / Czesław Miłosz* (2012), *Julia Hartwig, Artur Mię-*

dzyrzecki / Katarzyna i Zbigniew Herbertowie. Korespondencja (2013). Mieszka w Warszawie.

Katarzyna Herbert, ur. 1929 w Zarzeczu, wdowa po Zbigniewie Herbercie; z jej inicjatywy w roku 2010 powstała Fundacja im. Zbigniewa Herberta. Mieszka w Warszawie.

Zbigniew Herbert (1924–1998), poeta, dramaturg, eseista; patrz m.in. nr 1/1998 (17), 2/1999, (22) i dodatek do nr. 2/2008 (58) Kwartalnika Artystycznego; w 2011 roku w Wydawnictwie a5 ukazał się tom wierszy Herberta w większości wcześniej nie publikowanych *Utwory rozproszone. (Rekonesans)* pod redakcją Ryszarda Krynickiego, suplement do wydanych w 2008 *Wierszy zebranych*.

Ireneusz Kania, ur. 1940 w Wieluniu, tłumacz, eseista; przełożył wiele książek z kilkunastu języków; ostatnio opublikował przekłady: Jack Goody *Renesans: czy tylko jeden* (2012), Wasilij Rozanow *Opadłe liście* (wraz z Jackiem Chmielewskim, 2013). Mieszka w Krakowie.

Konstandinos Petru Kawafis (gr. Κωνσταντίνος Πέτρου Καβάφης, 1863–1933), nowożytny poeta grecki; twórca kunsztownej poezji w duchu parnasizmu i symbolizmu pozostający pod silnym wpływem literatury starożytnej; przedstawiciel greckiego modernizmu. Uważany za jednego z najwybitniejszych poetów greckich XX wieku. Debiutował zbiorem wierszy *Poimata* (1904). W Polsce wydano *Wybór wierszy* (1967), *Poezje wybrane* (1979), *Wiersze zebrane* (1992, 1995) – efekt wieloletniej pracy tłumacza Zygmunta Kubiaka. W 2011 ukazał się wybór wierszy Kawafisa w nowym polskim przekładzie autorstwa Antoniego Libery.

Bogusław Kierc, ur. 1943 w Bielsku-Białej, poeta, krytyk literacki, dramaturg, aktor, reżyser, pedagog, edytor; ostatnio opublikował tom wierszy *Manatki* (2013). Mieszka we Wrocławiu.

Piotr Kłoczowski, ur. 1949 w Poznaniu, eseista, edytor, wydawca; wicedyrektor Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie, kurator Instytutu Dokumentacji i Studiów nad Literaturą Polską, wykładowca Akademii Teatralnej w Warszawie. Mieszka w Warszawie.

Ryszard Krynicki, ur. 1943 w Sankt Valentin (Austria), poeta, tłumacz, wydawca; autor dziesięciu tomów poetyckich, tłumacz poezji niemieckiej, m.in. Paula Celana, Georga Trakla, Nelly Sachs; edytor wierszy m.in. Wisławy Szymborskiej i Zbigniewa Herberta; ostatnio opublikował *Kamień*, szron (2005 i 2011), *Wiersze wybrane* (2009) oraz tłumaczenie wyboru wierszy Paula Celana – *Psalm i inne wiersze* (2013). Mieszka w Krakowie.

Krzysztof Lisowski, ur. 1954 w Krakowie, poeta, prozaik, krytyk literacki; redaktor Wydawnictwa Literackiego; ostatnio ogłosił tomik wierszy *Nicości, znikaj* (2011) (patrz: „Kwartalnik Artystyczny” 2012 nr 2 (74)) oraz zbiór małych próz i poetyckich traktatów pt. *Czarne notesy* (2012). Mieszka w Krakowie.

Jacek Łukasiewicz, ur. 1934 we Lwowie, poeta, eseista i krytyk literacki; profesor Uniwersytetu Wrocławskiego; ostatnio opublikował książkę o Tadeuszu Różewiczu *TR* (2012). Mieszka we Wrocławiu.

Piotr Matywiecki, ur. 1943 w Warszawie, poeta, eseista, krytyk literacki; ostatnio ogłosił m.in. zbiór wierszy: *Zdarte okładki (1965–2009)* (2009) oraz tomik pt. *Widownia* (2012). Mieszka w Warszawie.

Adam Michnik, ur. 1946 w Warszawie, eseista, publicysta i działacz polityczny; od 1989 redaktor naczelny „Gazety Wyborczej”; ostatnio opublikował antologię *Przeciw antysemityzmowi 1936–2009 (tom 1–3)* (2010). Mieszka w Warszawie.

Leszek A. Moczulski, ur. 1938 w Suwałkach, poeta, autor tekstów piosenek; ostatnio opublikował *Antologię* (2012). Mieszka w Krakowie.

Krzysztof Myszkowski, ur. 1952 w Toruniu, prozaik, eseista; autor m.in. powieści *Funebre* (1998). Mieszka m.in. w Bydgoszczy.

Anna Nasiłowska, ur. 1958 w Warszawie, autorka wierszy, prozaik, eseistka i krytyk literacki; profesor IBL PAN; ostatnio opubliko-

wała powieść pt. *Konik, szabelka* (2011) i *Wolny agent Umeda i druga Japonia* (2013). Mieszka w Warszawie.

Tadeusz Różewicz, ur. 1921 w Radomsku, poeta, dramaturg i prozaik; autor ponad trzydziestu pięciu tomów poetyckich, m.in. *Niepokój* (1947), *Plaskorzeźba* (1991), *Zawsze fragment* (1996), ostatnio opublikował *Kup kota w worku* (2008), *To i owo* (2012); pięciu tomów opowiadań, m.in. *Śmierć w starych dekoracjach* (1970), *Próba rekonstrukcji* (1979); dwunastu dramatów, m.in. *Kartoteka* (1960), *Grupa Laokoona* (1962), *Pułapka* (1982), *Palacz* (1997); laureat licznych nagród i tytułów *doctora honoris causa* (patrz: „Kwartalnik Artystyczny” 2004 nr 2 (42), 2006 nr 2 (50), 2010 nr 4 (68), 2011 nr 4 (72)). Mieszka we Wrocławiu.

Michał Rusinek, ur. 1972 w Krakowie, tłumacz, pisarz, prezes Fundacji Wisławy Szymborskiej; pracownik naukowy Uniwersytetu Jagiellońskiego; ostatnio opublikował *Retoryka obrazu. Przyczynek do percepcyjnej teorii figur* (2012). Mieszka w Krakowie.

Marek Skwarnicki (1930–2013), poeta, prozaik, tłumacz, publicysta i felietonista; opublikował m.in. tom wierszy *Wygłani z rajów. Poezje zebrane 1956–2006*; autor wspomnień o Janie Pawle II i Czesławie Miłoszu.

Leszek Szaruga, ur. 1946 w Krakowie, autor tomików wierszy, prozaik, eseista, krytyk literacki, tłumacz poezji niemieckiej; profesor Uniwersytetu Warszawskiego; ostatnio opublikował zbiór *Kanibale lubią ludzi* (2012). Mieszka w Warszawie.

Piotr Szewc, ur. 1961 w Zamościu, prozaik, poeta, krytyk literacki, redaktor „Nowych Książek”; ostatnio opublikował tom wierszy *Moje zdanie* (2009). Mieszka w Warszawie.

Paweł Tański, ur. 1974 w Toruniu, autor tomików wierszy, krytyk literacki; pracownik naukowy Uniwersytetu Mikołaja Kopernika; ostatnio opublikował *Ślad. Świat poetycki Jerzego Hordyńskiego* (2012). Mieszka w Toruniu.

To niełatwe zadanie wybrać z bogatego dorobku Jarosława Iwaszkiewicza zaledwie czterdzieści cztery sygnowane w tytule serii wiersze. Mnie jednak wybór Jacka Dehnela satysfakcjonuje, mimo iż nie ma w nim wielu utworów, które bardzo cenię.

W *Posłowie* Dehnel stwierdza, że Iwaszkiewicz wciąż poszukiwał swojej dykcji, że nie był pewny, jakim głosem ma mówić. Dla mnie jednak Iwaszkiewicz świetnie poprzez różne „głosy” oddawał różnorodność języków i mowy, sprawdzał pojemność poetyki i stylistyki. Ten świadomy artysta dobrze wiedział, co i jak chce powiedzieć, nawet jeśli pisał niekiedy dziwne wiersze polityczne. Myślę, że właśnie ta mozaika prób pisarskich świetnie oddaje jego szamotaninę jako człowieka i pisarza, a jednocześnie jest świadectwem tamtych czasów.

Iwaszkiewicz był poetą niezwykłym, co ujawnia się w tak wspaniałych wierszach jak – tu wymieniam tylko te, które znalazły się w wyborze Dehnela – *Szczęście – że widzisz niebieski kubek*, *Rzeczy* (z frazy z tego liryku został zaczerpnięty tytuł tomiku), *Lasy opadły*, *Byłeś samym ciałem*, *Zbudziłem się w nocy*, *Santo di Pietro*, *Pokój w hotelu*. Jest w nich Iwaszkiewicz epifanijski i elegijny, docierający do sedna,

w „namiętnej pogoni za rzeczywistością”, jak mówi o tej poezji Czesław Miłosz, który przecież napisał o nim wspaniały wiersz.

W tych lirykach jest cały bliski mi Iwaszkiewicz, potrafiący docenić okruciny dnia – chleba powszedniego, piszący o szczęściu z powodu drobin bytu, istnienia, codzienności, chwalać bliskie przedmioty, dzięki którym czuł się zdomowiony u siebie, oplakujący bliskich i życie, które mija, zapisujący uczucia zagubienia, smutku, tęsknoty i czułości, także wobec zwierząt, poszukujący ładu, sensu i światła, podnoszenia się, jasności i wysokości.

Tym bardziej lśnił więc te wiersze w sąsiedztwie tekstów mniej wartościowych, które się jednak czyta dziś też nie najgorzej, prócz oczywiście straszego *Na wydobycie pancernika „Gneisenau”*. Myślałem o tym, czy nie lepiej by było, gdyby Dehnel nie umieścił tego utworu w swoim wyborze, ale dobrze się stało, że jednak zdecydował się go zamieścić, bo jest to dowód na to, jak człowiek może upaść i zasmuca nas to, ale jest potrzebne, byśmy mogli widzieć dramat ludzi tamtych czasów.

Wielkie, pobrudzone, zachwycone zwierzę to dobry tytuł na ten wybór. Ukazuje bowiem w tej metaforze nie tylko samego Iwaszkiewicza, ale

w ogóle ludzi – trzy cechy, które charakteryzujące człowieka, wszystkie trafne, oddające i uwikłanie w biologię i zdolność do duchowych olśnień. Zwierzę „wielkie” wobec istot mniejszych, bezbronnych, często niezdarne, „pobrudzone”, chociaż – wierzymy w to! – dążące do „czystości”, szukające zachwyty.

P. T.

Jarosław Iwaszkiewicz, *Wielkie, pobrudzone, zachwycone zwierzę*, wybór i posłowie Jacek Dehnel, seria „44. Poezja polska od nowa”, Biuro Literackie, Wrocław 2013

Janusz Szuber to poeta, który w swoich wierszach szuka tożsamości i języka, który najlepiej opisze jego wnętrze i widzenie rzeczywistości i to mu się udaje. Zadomowiony w polskiej poezji, ma teraz szansę zagościć w rejestrach języka hiszpańskiego, bowiem ukazał się tomik *Entelechia/Entelequia*, wydanie dwujęzyczne: polsko-hiszpańskie, w tłumaczeniach Zygmunta Wojskiego, który również jest autorem wyboru. Mamy tutaj dwadzieścia dziewięć wierszy bardzo dobrze dobranych, ukazujących twarz i głos poety z Sanoka.

Rozpoczyna liryk *Patrząc w obłoki*, będący znakomitym zapisem refleksji o świadomości i opisem kontemplacji, zachwyty widokiem chmur oraz rozmyślań o sposobie wyrażania myśli, możliwości *nazywania*, a więc oddania w mowie doświadczeń, wiedzy,

przeżyć i uczuć. Kończy się natomiast wierszem pt. *Długoterminowe prognozy mnie nie dotyczą*, rzeczą o przemianach, ale i o porządkowaniu chaosu rzeczywistości w kosmos poprzez twórczość, mowę i docenienie życia: „Na własny użytek jestem jeszcze / i korzystam z krótkoterminowych prognoz”. Wiersz rozgrywa się w sytuacji lirycznej burzowego czerwca, w drodze spędzonej w samochodzie – to ważna rzecz, bo zbudował tu Szuber spójny poetycki obraz – metafora prognozy odnosi się do pogody, a ta została tu właśnie przedstawiona. To tekst o przyszłości człowieka – ciekawie opowiedziany poprzez metaforę meteorologicznej prognozy. Jaką będę miał „pogodę życia” – jutro, pojutrze, w ciągu kilku tygodni? – może się zastanawiać bohater tego utworu.

Wiele tu wierszy wspaniałych, wskażmy tylko dedykowany Miłoszowi *Pianie kogutów* – o bolesnych, trudnych i mozolnych próbach oddania w poezji rzeczywistości, *Nad szklanką czerwonego wina* – o bogactwie zmysłowych doznań, obserwacji świata i kruchości życia, *Oktostych* zaś to przejmujący liryk o nadziei w życiu po życiu: „I nadzieja wbrew nadziei, / Że On – Spas Nierukotworny – / Od nicości mnie wybawi. / Żywy przejdę wrota śmierci”.

P. T.

Janusz Szuber, *Entelechia/Entelequia*, układ tomiku i tłumaczenie na język hiszpański Zygmunt Wojski, Biblioteka „Frazy”, Rzeszów 2012

Duże wrażenie robi najnowszy tomik wierszy Bogusława Kierca *Manatki*. Liczący ponad dziewięćdziesiąt stron, a więc obszerny zbiór, przynosi liryki, w których widać kunszt języka, panowanie nad wypowiedzią poetycką i, przywołując słowa Barańczaka, „chirurgiczną precyzję”. Nieprzypadkowo wspomina tu tego mistrza rymu i rytmu, bo wiem Kierc jest również swego rodzaju mistrzem rymowania i rytmiki wierszy. Układa teksty w strofy czterowersowe, tercyny, dystychy, zdarzają się też utwory stychiczne. Konsekwentnie używane formy zwrotek i ich porządek przynoszą ukojenie, wprowadzają ład w otaczający chaos świata i języka. Kierc jest jak kompozytor – na kartach tomiku zapisał partytury elegancko ułożone, równe, czyste, rozłożone systematycznie.

Jest odkrywcy, pomysłowy, zaskakujący, wiele jest u niego pięknych fraz, metafor, gier i zabaw słownych, które służą sprawom istotnym, oddaniu bogactwa mowy, świata, przeżyć, myśli, stanów ducha i ciała. A ciało jest ważnym tematem tej poezji. Jak w pięknym liryku *Tak się leci*: „Tak się leci i leci, / jakby się stało. / Jest niebiesko naprzeciw, / a w dole białe. // To tamten pod tym białym / poblask na wodzie / coś zrobił z moim ciałem, / że znowu wschodzi”. To podnoszenie się ciała, podnoszenie się człowieka – to ważna problematyka poetyckiego świata autora *Innej wersji*. Pojawia się w tych tekstach również motyw snu, który ma za zadanie ukazać

prosty, ale jakże istotny fakt – to niesamowita, dziwna część naszego życia, pomagająca w rozumieniu i interpretacji doświadczenia, losu, wewnętrznego świata człowieka.

Jakże piękny i pomysłowo zrobiony jest wiersz pt. *Składanie*, liryk miłosny:

Składam Twoją koszulę, jakbym może składał
skrzydła, gdybym miał skrzydła, ale nie mam
skrzydeł
– nawet intencjonalnych, chociaż może radar
miłości widzi czasem mnie, jak sobie idę

i nagle lecę, ale na szczęście poza tym
radarem nikt nie chwyta tych moich unie
sień;

i teraz, kiedy składam koszulę, skrzydlaty
jakoś jestem i kto wie, dokąd mnie poniesie,

kiedy znów ją rozłożę; ale po tej stronie
będzie widać wariata, jak rozkłada białą
koszulę, jak ostrożnie kładzie na niej dłonie,
żeby z niej twoje bycie mu nie uleciało.

I tak też składa swoje wiersze Bogusław Kierc – by z nich bycie „nie uleciało”, a dzięki poetyckiemu talentowi udaje mu się uchwycić wiele z miłosnych uniesień do człowieka i świata, na przekór śmierci i rozpacz, przemian i bólowi, a humor i ironia jego poezji niosą ulgę.

P. T.

Bogusław Kierc, *Manatki*, Biuro Literackie, Wrocław 2013

Czarne notesy Krzysztofa Lisowskiego to książka interesująca. Złożyły się na nią krótkie, w przeważającej mierze

jednostronicowe lub zaledwie kilkunastozdaniowe teksty, które mają formę prozatorskich zapisków, notatek – eseistycznych, zbliżonych do „małych próz”, czasem bardziej poetyckich, czasem mniej. Dotyczą wielu spraw, bo są tu i refleksje o zapachach („Gdzie się podziewają zapachy nasze, dokąd idą? Pisała o pachnącej potem flanelowej koszuli swojego ojca Anna Świrszczyńska, którą prała zaraz po śmierci malarza. Jej srebrne włosy pachniały intensywnie rumiankowym światłem”, *Zapachy*), książkach, pisarzach, wspomnienia z dzieciństwa, refleksje z podróży, obrazki z rzeczywistości jak np. w utworze *Kwiat mleka*:

Tak sobie przetłumaczyłem nazwę nowego rodzaju lodów u braci Sycylińczyków w małym lokalu przy jednej z głównych ulic Starego Miasta. Jest ich trzech, przyjechali z Katanii. Sprzedaje ten, który najlepiej opanował liczebniki i formy grzecznościowe naszego języka. Od niedawna pomaga mu Polka, dziewczyna o dużych migdałowych oczach.

Pytam, co to za białe lody, bo białe bywają także cytrynowe. A on – dajmy na to Mario o ciemnej karnacji – powiada: *fior di latte*. Mnie to nic nie mówi, ale nagle zapala się światelko, i mówię: Campo de' Fiori. I widzę teraz rynek kwietny w Rzymie, tam gdzie spalono na stosie Giordana Bruno...

Tymczasem Mario się śmieje głośno, bo to przecież lody śmietankowe, i śmietanka jest właśnie „kwiatem mleka”, a jeśli to jeszcze prawdziwe mleko bawolic z Kampanii! *Fantastico! Gelato śmietanka!*

Nagle więc wszystko rozumiem, dobieram jeszcze drugi smak – krwisty, jagodowy. I wychodzę z kwiatem mleka w wafłowym rożku na rozżarzoną ulicę.

Metafora tytułowa *Czarne notesy* odnosi się do tego, jak ważne jest dla autora zapisywanie spostrzeżeń, myśli i emocji; „notesy” to oczywiście rzecz konkretna, przedmiot – zeszyt, notatnik, kalendarz, w którym dokonuje się zapisków, ale i metafora przechowywania w pamięci – poprzez pismo, notatkę, zapis – obserwacji świata, człowieka, śladów kultury, życia; „czarne” natomiast to nie metafora sposobu widzenia rzeczywistości, wyraz pesymizmu czy rozpacz, ale po prostu przymiotnik określający kolor tych zeszytów: „Nowy czarny notes leży jeszcze w półmroku tego ranka obok mapy, ale przyszłe zdarzenia już przecierają oczy” (*Drugi czarny notes*).

Kończy się *Traktatem o niekonieczności* – to świetny zabieg kompozycyjny, bowiem ten niespełna sześciostronicowy utwór jest poetyckim zwieńczeniem prozatorskich zapisków. I jest to wspaniały hymn o pięknie świata, o uważności w życiu, pasji poznawania, ciekawości, która nie jest bynajmniej „pierwszym stopniem do piekła”, lecz wręcz przeciwnie – spokój płynący z tego tekstu ma koić ból przemijania i dać odczuć metafizyczny ład.

P. T.

Krzysztof Lisowski, *Czarne notesy*, Wydawnictwo Forma, Szczecin–Bezzecze 2012

Czwarty i przedostatni tom *Dzieł wszystkich* Bolesława Leśmiana (1877–1937) zawiera opracowane na nowo na podstawie rękopisów i przedstawione chronologicznie wszystkie jego utwory dramatyczne oraz listy, w tym kilkanaście odnalezionych od czasu ostatniego wydania, które miało miejsce pół wieku temu.

Pierwsze dwa to, wydane przez PIW w 1985 roku w opracowaniu Rochelle H. Stone, dramaty mimiczne: *Pierrot i Kolombina* oraz *Skrzypek opętany* (ten pierwszy jest wcześniejszą wersją drugiego). Widzimy w nich wpływy symbolizmu i modernizmu, „teatr żywych marionetek” rodem z dramatów Maurice’a Maeterlinca, a także cechy filmów niemych. Ciekawostką jest komedia czy „farsa” pt. *Bajka o złotym grzebyku*, będąca odniesieniem do *Pierścienia wielkiej damy* Cypriana Norwida.

Dzieńba leśna znana jest z ostatniego, wydanego pośmiertnie tomu: krytyka zwraca uwagę na to, że formy dramatyczne znacząco obecne są w końcowym okresie jego twórczości w wierszach.

Najciekawszym dramatem Leśmiana jest napisany rymowanym, regularnym trzynastozgłoskowcem „poemat fantastyczny odbywający się w krainie pośmiertnej” – *Zdziczenie obyczajów pośmiertnych*. Mamy do czynienia z pierwszym rzutem utworu, właściwie rękopisem, w którym dokonano wielu poprawek. W nowym wydaniu

zaprezentowana została całość rękopisu z wszystkimi jego wariantowymi ujęciami i skreśleniami. Jest to moralitet, dramat śmierci i zbrodni dziejący się kiedyś realnie, a teraz, powtarzany w zaświatach, w „nagrobnej repetycji”, co przypomina formę i sytuację dramatyczną *Komedii* Samuela Becketta.

Listów jest niewiele, jedynie sto pięćdziesiąt trzy. Główny blok stanowi sto trzynaście listów z lat 1897–1919 do Zenona Przesmyckiego. Z innych uwagę zwracają – do adresatki cyklu erotyków *W malinowym chruśniaku* Dory Le-benthal, z przywróconymi pikantnymi wyrazami, które zniknęły w poprzednim wydaniu, do Zuzanny Rabskiej i Marii Krzetuskiej oraz m.in. do Emila Zygadłowicza, Ludwika Hieronima Morstina, Artura Górskiego, Kornela Makuszyńskiego, Stanisława Balickiego i Kazimierza Wierzyńskiego. Ciekawym uzupełnieniem jest aneks z listami rodziny Leśmiana do Jacka Trznadla, z których wyróżniają się swobodne i z wigorem napisane relacje Marii Ludwiki Mazurowej, córki Poety.

M. W.

Bolesław Leśmian, *Utwory dramatyczne. Listy*, zebrał i opracował Jacek Trznadel, *Dzieła wszystkie*, tom IV, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2012

Tom zaczyna się od dwóch długich, zręcznych i bardzo ciekawych listów świętego Augustyna o różnych

rozumieniach pochodzenia duszy, napisanych w kontekście sporu z pelagianami, w tym prośby o wytłumaczenie zdania Hieronima, że każda poszczególne dusza jest stwarzana oddzielnie oraz prośby o wyjaśnienie zdania apostoła Jakuba: „Bo każdy, kto zachowuje całe Prawo, a w jednym wykracza, staje się winnym wszystkiego”. Znajdujemy w nich świetne fragmenty m.in. o nieśmiertelności duszy, o jej zabijaniu i śmierci, o jej naturze, która jest ani cielesna ani bezcielesna, o poglądach o jej wcieleniu i wychodzeniu z ciała człowieka, a także akapity o wolnej woli, o cnotach i o grzechach, o głupocie i mądrości, o upadaniu i miłości, o sądzie i miłosierdziu. „ – mam na myśli treść, nie słowa, bo o te się nie troszczę” – stwierdza, a my podziwiamy, jak precyzyjne i piękne są jego zdania, np.: „Dlatego muzyka to jest umiejętność i sztuka odczuwania, z Bożej hojności udzielona została także śmiertelnikom mającym dusze rozumne, aby im zwrócić uwagę na wielką rzecz. / Jeśli więc człowiek biegły w układaniu pieśni wie, jaką ma nadać długość i jakim głosem, aby to, co śpiewa, przez następstwo dźwięków miało jak największą harmonię, to o ile bardziej Bóg, którego mądrość, przez którą wszystko uczynił, należy stawiać ponad wszystkie sztuki, nie pozwala przeminąć żadnym odstępom czasu w rodzących się i ginących naturach; te odstępstwa jakby głoski i słowa należą do cząstek tego świata w tej

jakby przedziwnej pieśni rzeczy płynących czy to krócej, czy dłużej według tego, czego wymaga przewidziana i naprzód określona modulacja”.

W liście do Kytezyfona, zwolennika Pelagiusza, znajdują się odniesienia do wielkich herezji, z którymi Hieronim dzielnie walczył, m.in. do tzw. *kontrowersji pelagiańskiej*, do bazyliidianów, manichejczyków, gnostyków, montanistów, marcjonitów, arian, donatystów, zoroastrian, eunomian i macedonian. Mówi o ich wstrętnym osadzie, trucielskiej mocy i hańbie, brzydocie diabelskiego błędu i ohydny towarzystwie. „Wszystko, co mamy dobrego, jest smakiem Pana” – stwierdza i dodaje, że „Jedyną doskonałością ludzką jest świadomość własnej niedoskonałości”. Rozprawia o ułomności ciała, która prowadzi do śmierci i o męstwie ducha, które prowadzi do życia. Krótko odpisuje Augustynowi usprawiedliwając się, dlaczego tak długo nie odpowiadał. W liście do Aproniusza, przyjaciela i duchowego syna, zachęca do odwiedzenia miejsc świętych w Jerozolimie (sam mieszka w Betlejem), a prezbiterowi Cyprianowi obszernie wyjaśnia z trzech wersji językowych „najtrudniejszy” Psalm 89.

W krótkich listach do Augustyna gratuluje mu zaradności w zwalczaniu heretyków i daje świadectwo swojego zainteresowaniu tą sprawą: „Dobrze się spisałeś! Masz uznanie w świecie. Katolicy cię szanują jako odnowiciela

dawnej wiary i patrzą na ciebie; heretycy cię nienawidzą, co jest oznaką większej chwały”. Temat herezji pojawia się w kolejnych listach. Jest w nich także zachęta do pokuty i pokory. „Kto wznosi się, z niższego do wyższego się wznosi”. – mówi i ostrzega, że ten, który wstępuje na urwiska pychy, „spada na złamanie karku w otchłań”. Jednego ze swoich korespondentów nazywa „apostołem Antychrysta”, a do matrony Celancji pisze o powodach pobożnego życia i daje dobre rady, np.: „Niech twoja mowa we wszystkich okolicznościach będzie umiarkowana i oszczędna i dowodzi, że nie tyle chcesz mówić, ile musisz. (...) Niech myśl odważa twoje słowa, a umysł niech wyznacza obowiązki językowi. Dlatego Pismo mówi: »Stop złoto twoje i srebro, zważ słowa twoje, ustom twoim załóż wędzidło; abyś przypadkiem nie potknął się językiem.«”

Chwali Rypariusza za zwalczanie heretyków i podtrzymuje go na duchu. W ostatnich listach żali się na starość, niedomagania, częste choroby i ich skutki (utrata bystrości umysłu i sił ciała) i nazywa siebie „starym osiołkiem”. W jednym z ostatnich listów z wigorem stwierdza, że heretyków należy tępić i zabijać duchowo, „skoro przez okłady i łagodne leczenie nie mogą odzyskać zdrowia”, a w następnym dodaje: „Żadna rzecz – powiada dawny komediopisarz – nie jest tak łatwa, żeby nie stała się trudna, jeśli ją robisz niechętnie”

i raz jeszcze zachęca do pielgrzymki do Ziemi Świętej.

K. M.

Hieronim ze Strydonu, *Listy V (131–156)*, opracowanie na podstawie tłumaczenia ks. Jana Czuja Monika Ożóg, tekst łaciński przygotował Henryk Pietras SJ, seria „Źródła Myśli Teologicznej”, tom 68, Wydawnictwo WAM, Kraków 2013

Numer specjalny 1/2012 „Zeszytów Literackich” poświęcony Leszkowi Kołakowskiemu (1927–2009) otwierają m.in. szkice o nim Alaina Besançona, Barbary Skargi, Tony Judta i Adama Michnika oraz opracowany przez Barbarę Toruńczyk *Słownik pojęć użytecznych*, w którym na początku umieszczone jest hasło **Albo–albo**, które brzmi: „Albo Bóg – albo nihilizm poznawczy, nie ma nic pośredniego”. Wchodzimy więc do poważnej rozmowy toczącej się na wysokości i jak się okaże, zostaniemy w takiej do końca.

W *Słowniku* znajdują się znakomite fragmenty dotyczące m.in. Boga, Jezusa Chrystusa, chrześcijaństwa („Być niechrześcijaninem to znaczy wyłączyć się z naszej kultury”) i zasadzek nauczania chrześcijańskiego, religii, wiary, kultu, teologii i filozofii, honoru, cnót i kluczowego przesłania, papieża Jana Pawła II (patrz: **Papieża winić**), kultury europejskiej i konfliktu wartości, pytania źle postawionego, zła, diabła, jego działań i walki z nim, krytyki (tu ważne wyróżnienie:

czym się różni krytyka policyjna od opiekuńczej), mądrości prawdziwej i oczywistości, Brzozowskiego, polityki, KOR-u i Polski, spraw ważnych i godziwych (patrz: uwaga o schamieniu języka) i męki pisania.

W haśle **Unieważnić Jezusa i co to oznacza** Kołakowski stwierdza: „Wszelka próba »unieważnienia Jezusa«, usunięcia go z naszej kultury pod takim oto pretekstem, iż nie wierzymy w Boga, w którego On wierzył – wszelka taka próba jest śmieszna i jałowa. Próba taka jest tylko dziełem ludzi ciemnych, którzy wyobrażają sobie, że sam prostacko zapisany ateizm nie tylko może wystarczyć jako pogląd na świat, ale może ponadto upoważniać do tego, by dowolnie, wedle własnego doktrynerskiego zamysłu, okrawać tradycję kulturalną, wyjąławiąjąc ją z najżywotniejszych soków”. Czy można mówić jaśniej?

Dalej znajdują się m.in. wykłady wygłoszone na Uniwersytecie w Bazylii o Jaspersie i na Uniwersytecie w Tilburgu o Leibnizu i Hiobie, mała antologia przekładów poetyckich i wybór z osobistej antologii wierszy, teksty publikowane głównie w „Zeszytach Literackich”, rozmowa listowna z Józefem Czapskim oraz „rozmowa pamiętna” z Wojciechem Karpińskim i wiele innych ciekawych materiałów, ale uwagę skupia przede wszystkim i podziw budzi składająca się z trzydziestu listów i ośmiu kart pocztowych

korrespondencja z Czesławem Miłoszem z lat 1968–1992, jakże cenna wymiana myśli. Miłosz pisze m.in. o stopniowym i systematycznym pograżaniu się świata w obłęd (czyż nie taką mamy i dziś sytuację?), o amerykańskich udrękach i obcości, o cywilizacji dotkniętej utratą zmysłu rzeczywistości, co wyraża się w składni (sic!), o dezintegracji duchowej i chorobie duchowej zachodniego świata, o rozziwieniu pomiędzy oceną dla siebie i oceną, jaką wolno komunikować innym i ich wzajemnym na siebie wpływie, o „niezłomności” i mentalności polskiej powojennej emigracji i o swojej wobec nich osobności, o technice stosowanej przez radio Free Europe, o *condition humaine*, o utrzymywanej przez całe życie postawie religijnej (jest to zapis z 1973 roku), o losie Polski i dwóch polskich więziach uniwersalnych, które jako jedyne liczą się w świecie – linii romantyczno-socjalistycznej i katolicyzmie, o otwieraniu wymiaru („tylko i jedynie historia religii jest warta, żeby się nią w cywilizacji europejskiej zajmować”), o języku polskim, o pomysłach dla siebie i dla swojego korespondenta, a Kołakowski, wywołany przez Miłosza, mówi o sprawie diabła i grzechu, o tradycji, której należy się trzymać, a także, trochę żartując, o nawróceniu. Jakże to znaczące, że w 1977 roku Miłosz uważał, że tylko Kołakowski może napisać coś interesującego o *Ziemii Ulro*, która właśnie wtedy się ukazała –

w *Świadectwach* umieszczony został szkic Kołakowskiego o tej książce z „Zeszytów” z 2001 roku.

Jest to wymiana listów na rzadko spotykanej w literaturze polskiej wysokości i gdy się to czyta, serce rośnie!

Do książki dołączona jest płyta z prawie godzinny filmem DVD pt. *Profesor* w reżyserii Marii Zmarz-Koczanowicz.

K. M.

Leszek Kołakowski, *Mądrość prawdziwa*, „Zeszyty Literackie”, numer specjalny poza serią, Fundacja Zeszytów Literackich, Warszawa 2012

W trzecim tomie *Dziennika* Sławomira Mrożka obejmującym lata 1980–1989 czytamy o zmaganiach autora z samym sobą, o jego interpretowaniu siebie, ciągłym, mocnym, zapalczym, o jego pisaniu, o rozmyślaniu o pisaniu, pomysłach na opowiadania, o rysowaniu, pisaniu listów, planach zawodowych, pieniądzach, o rozważaniach na temat śmierci i ludzi, także wzmianki o książkach, filmach, wydarzeniach historycznych, podróżach, problemach z ciałem, ze starzeniem się, zmęczeniem, bezsennością, uzależnieniem od palenia papierosów itp.

Bardzo ostro i gorzko pisze o wprowadzeniu stanu wojennego, podkreśla niechęć do generała Jaruzelskiego i deklaruje swoją wolność: „Ja jestem wolny od okoliczności”. I to dążenie

do wolności widoczne jest na kartach tego obszernego tomu. O komunizmie wypowiada między innymi sąd, że „jest zły”, „jest nicością”, „nie mówi żadnym ze znanych języków. Używa wyłącznie swojego”.

Przyznaje szczerze: „Część tego tutaj pisania – z lenistwa. Często nie mam nic do powiedzenia, a tylko chcę uniknąć, pod przyzwoitym pretekstem, wykonywania obowiązków, do których od dawna już należy pisanie zawodowe. (Bo to już nie przyjemność)”. Myślę jednak, że tak nie było – dziennik wyzwał w nim siłę do rozmyślań o sobie, swoim życiu, losie, doświadczeniach, niewątpliwie pełnił rolę terapeutyczną; więc to nie lenistwo było przyczyną i chęć uniknięcia obowiązków, a pragnienie ulgi i ukojenia.

Interesujący jest stosunek Mrożka do Gombrowicza i Manna – dla niego to ważne osobowości, pisze: „Gombrowicz był ostatni (?), który mówił o sztuce. (...) Myślał o sztuce poważnie, naprawdę, jak Tomasz Mann”.

Zapiski kończą się 21 kwietnia 1989 roku, tuż przed wyjazdem Mrożka do Meksyku.

P. T.

Sławomir Mrozek, *Dziennik*, tom 3, 1980–1989, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2013

Album, który ukazał się w setną rocznicę urodzin Witolda Lutosławskiego

(1913–1994), jest wynikiem kwerendy w dostępnych archiwach rodziny i przyjaciół kompozytora oraz innych zbiorach. Efekt jest dosyć eklektyczny, chociaż autorka koncepcji i wyboru Elżbieta Markowska uporządkowała zebrany materiał w poszczególne odrębne działy. W pierwszych czterech widzimy Lutosławskiego jako kompozytora, pianistę, dyrygenta i obywatela. Oglądamy dziesiątki zdjęć, rękopisy, dokumenty, okładki partytur, dedykacje, plakaty i programy koncertów zaopatrzone niekiedy we fragmenty pism, zapisków, wystąpień, rozmów radiowych, wywiadów czy listów.

W części pt. *Krąg* zgromadzone są wypowiedzi m.in. Jana Krenza, Stefana Jarocińskiego, Julii Hartwig, Mieczysława Tomaszewskiego, Andrzeja Wajdy i Krystyny Zachwatowicz, Ryszarda Kapuścińskiego, Anne-Sophie Mutter

i Tadeusza Kaczyńskiego ozdobione wieloma zdjęciami i rękopisami listów, a także partyturą i fragmentami tekstów Lutosławskiego.

W *Rodzinie* przedstawione zostały zdjęcia rodzinne, świadectwa szkolne, listy oraz wspomnienia syna Pani Danuty Lutosławskiej z pierwszego małżeństwa – Marcina Bogusławskiego, jego żony Gabrieli z d. Zamoyskiej oraz spokrewnionej z kompozytorem Krystyny Witkowskiej.

Ostatnia część pt. *Radio* prezentuje ten zakres zainteresowań i działań kompozytora, a całość zamyka *Kalendarium* jego życia i twórczości.

M. W.

Lutosławski 1913–2013, koncepcja albumu, wybór materiałów i opracowanie Elżbieta Markowska, Towarzystwo im. Witolda Lutosławskiego i Muzeum Historyczne Miasta Stołecznego Warszawy, Warszawa 2012

Wydawca:

Wojewódzki Ośrodek Kultury i Sztuki w Bydgoszczy przy finansowej pomocy
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego**

Adres redakcji:

85-033 Bydgoszcz, plac Kościeleckich 6
tel./fax 52 585 15 00;
e-mail: kwartalnik@wok.bydgoszcz.com
www.kwartalnik.art.pl
87-100 Toruń, ul. Podmurna 60
tel. 56 622 20 65

Prenumerata: Ewa Krupa, tel. 52 585 15 04
Korekta: Barbara Laskowska

Projekt okładki: Ewa Bathelier

Warunki prenumeraty:

Cena rocznej prenumeraty „Kwartalnika Artystycznego”:

- krajowej – 40 zł
- zagranicznej – 20 USD / 15 EUR

Cena egzemplarza archiwalnego (wraz z wysyłką):

- krajowa – 12 zł
- zagraniczna – 10 USD / 8 EUR

Wpłaty prosimy kierować na konto:

PKO SA II Oddział Bydgoszcz 68 1240 3493 1111 0000 4305 7874 „Kwartalnik Artystyczny”

*Redakcja „Kwartalnika Artystycznego” serdecznie dziękuje
Urzędowi Marszałkowskiemu Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu
i Gminie Miasta Toruń za pomoc finansową*



Województwo
Kujawsko-Pomorskie



Miasto
Toruń

Nakład 600 egzemplarzy

Skład, łamanie, druk i oprawa: PPU MULTIGRAF s.c.
ul. Bielicka 76 C, 85-135 Bydgoszcz, tel./fax 52 340 41 37

Biuro Literackie

Wielogłos. Krystyna Miłobędzka w recenzjach, szkicach, rozmowach, wybór, opracowanie i redakcja: Jarosław Borowiec, Wrocław 2012

Fundacja Pogranicze

Bora Ćosić, *Konsul w Belgradzie*, z serbskiego przełożyła Danuta Ćirlić-Straszyńska, seria Meridian pod redakcją Krzysztofa Czyżewskiego, Sejny 2012

Mirko Kovač, *Miasto w lustrze*, z chorwackiego przełożyła Dorota Jovanka Ćirlić, seria Meridian pod redakcją Krzysztofa Czyżewskiego, Sejny 2012

Claudio Magris, *Alfabety*, z włoskiego przełożyła Joanna Ugniewska, seria Meridian pod redakcją Krzysztofa Czyżewskiego, Sejny 2012

Alexandra Laiquel-Lavastine, *Duchy Europy. Miłosz, Patočka, Bibó*, przełożył Jan Maria Kłoczowski, seria Meridian pod redakcją Krzysztofa Czyżewskiego, Sejny 2013

Fundacja Terytoria Książki

Schulz / Forum 2, Gdańsk 2013

Państwowy Instytut Wydawniczy w likwidacji

Janusz Degler, *Witkacego portret wielokrotny. Szkice i materiały do biografii (1918–1939)*, Warszawa 2013

Koran, z arabskiego przełożył i komentarzem opatrzył Józef Bielawski, Warszawa 2013

Podkarpacki Instytut Książki i Marketingu

Jacek Napiórkowski, *Podwójne życie zegarów (1985–2010)*, redakcja i wstęp Krzysztof Karasek, Rzeszów 2013

Towarzystwo Przyjaciół Sopotu

Przemysław Dakowicz, *Teoria wiersza polskiego*, Biblioteka „Toposu”, tom 84, Sopot 2013

Mirosław Dzień, *Linia*, Biblioteka „Toposu”, tom 85, Sopot 2013

Towarzystwo WIĘŻ

Beata Dorosz, *Nowojorski pasjans. Polski Instytut Naukowy w Ameryce. Jan Lechoń. Kazimierz Wierzyński*, Biblioteka „Więzi”, tom 281, Warszawa 2013

Andrzej Bobkowski, *Listy do Aleksandra Bobkowskiego 1940–1961*, podała do druku i opracowała Joanna Podolska, Biblioteka „Więzi”, tom 286, Warszawa 2013

Wydawnictwo a5

Tadeusz Dąbrowski, *Pomiędzy*, Biblioteka Poetycka Wydawnictwa a5 pod redakcją Ryszarda Krynickiego, tom 75, Kraków 2013

Ewa Lipska, *Miłość, droga pani Schubert...*, Biblioteka Poetycka Wydawnictwa a5 pod redakcją Ryszarda Krynickiego, tom 76, Kraków 2013

William Shakespeare, *Sonety*, przekład, wstęp i opracowanie Stanisław Barańczak, Biblioteka Poetycka pod redakcją Ryszarda Krynickiego, tom 12, wydanie z płytą CD: czyta Marek Kondrat, muzyka Grzegorz Turnau, Kraków 2013

Wydawnictwo słowo / obraz terytoria

Daniel Heller-Roazen, *Echolalie. O zapomnianiu języka*, przełożyła Barbara Brzeziecka, Gdańsk 2012

Jean-Jacques Wunenburger, *Filozofia obrazów*, przełożył Tomasz Stróżyński, seria Epoka obrazów, Gdańsk 2011

Wydawnictwo Znak

John Maxwell Coetzee, *Dzieciństwo Jezusa*, przekład Mieczysław Godyń, Kraków 2013

Francis Scott Fitzgerald, *Wielki Gatsby*, przełożył Jacek Dehnel, seria „50 książek na 50-lecie Znaku”, Kraków 2013

poezja
proza
esej
dzienniki
listy
rozmowy
recenzje
noty o książkach
numery
monograficzne
najwybitniejsi
pisarze
współcześni

**KWARTALNIK
ARTYSTYCZNY**

„... jest pismem,
na które zawsze czekam”
Wisława Szymborska

„...to pismo niezastąpione...”
Krystyna Zachwatowicz
Andrzej Wajda

„...jest jednym z najważniejszych
pism literackich w Polsce”
Michał Głowiński

„...druk w tym piśmie
uważam za wyróżnienie”
Julia Hartwig

kwartalnik.art.pl



CENA 11 zł (w tym 5% VAT)